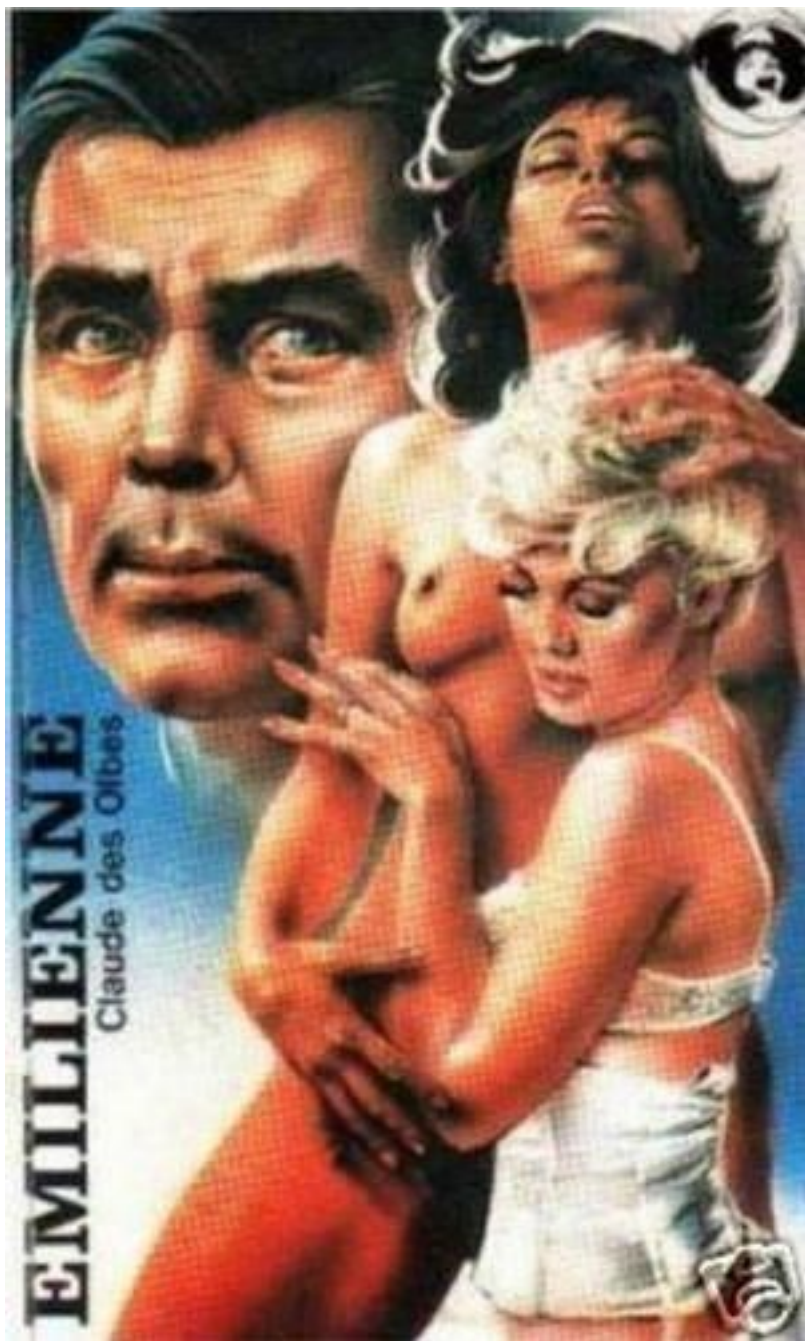


# EMILIE

Claude des Ombres



Emilienne

Claude des Olbes

Emilienne

Tłumaczenie: Mieczysław Dutkiewicz

almapress

Studencka Oficyna Wydawnicza ZSP Warszawa 1990

Tytuł oryginału „Emilienne“

Projekt okładki, znak serii Andrzej Bilewicz

Redaktor serii

Andrzej Naglak

Redaktor techniczny Włodzimierz Kukawski

Korektor Elżbieta Wygoda

© by Le Terrain Vague 1968

© by SOW ZSP Alma-Press 1990

ISBN 83-7020-076-1

Część pierwsza

Przesłanki

Już od dziewięciu lat byłem szczęśliwym mężem Emilienne. Pracowała wówczas na pół etatu jako redaktor w jednym z wydawnictw na lewym brzegu Sekwany. Jeżeli chodzi o mnie dzieliłem swój czas pomiędzy Paryż, gdzie kierowałem firmą zajmującą się reprodukcjami dzieł malarstwa, a Lyon, gdzie raczej jako krytyk niż malarz objąłem zastępczo na sezon 1946-1947 katedrę w Akademii Sztuk Pięknych. W ten oto sposób przyszło mi spędzać - i to nie bez przyjemności - trzy dni w tygodniu w naszym domku w Allee des Brouillards wspólnie z coraz

mniej ekscytującą, ale jeszcze nie nużącą mnie żoną, która wszelkim przejawom szarżyzny stała małżeńskiego mogła przeciwstawić piękne ciało, czułe serce i bystry umysł. Madame Claude des O... z domu de K. de T. de S. de N., latorośl bretońskiej rodziny urzędników magistratury o licznych przydomkach szlacheckich, była efektowną blondynką, wysoką, w miarę szczupłą, o okrągłej twarzy z lekko zadartym nosem, szarych, niezgłębionych oczach, powabnych ramionach i piersiach oraz zdumiewająco gęstych włosach, które wbrew modzie pozostały długie. Jej doskonale świeże ciało miało zapach soli i jodu, typowy dla kobiet, które wyrosły na wietrze wybrzeża, a dusza trzydziestolatki zachowała przyzwoitość dzieciństwa nie tyle prowincjonalnego, co wiejskiego. Jej pełnej uśmiechu prostoduszności nie zdołały zaszkodzić ani liceum w Rennes, ani Sorbona, ani późniejsze obcowanie z na wskroś sztucznym światem literatury. Należała do tych kobiet, u których zdobywanie wykształcenia dokonuje się na gruncie nie należącym do osoby, nie narusza jej rzeczywistej istoty; wiedza zbudziła w niej jedynie inteligentną, aktywną i wyrafinowaną zmysłowość, nastawioną na baczność obserwację wszelkich kaprysów mojej zmysłowości i wykorzystywanie ich w celu osiągnięcia własnego zaspokojenia. Poza sprawami zawodowymi przyświecał jej, jak się zdawało, tylko jeden cel: rozpieszczanie mnie, kiedy przebywałem razem z nią, i przygotowywanie kolejnych karesów, gdy nie było mnie w domu. Warunki, w jakich żyliśmy, nie dawały powodu do narzekania: byliśmy jedynymi lokatorami domu w samym środku Montmartre'u, którego oba piętra wypełniały obrazy, książki i

rozmaite pieczołowicie zgromadzone rupiecie. Ogrodowy basen, wyłożony kamieniami i muszelkami, otaczały barwne róże.

W obliczu tego raj, jakiego nie była w stanie zmącić nawet zatwardziała bezpłodność Emilienne, należy uznać niewątpliwie za błąd fakt, że podczas mojego cotygodniowego pobytu w Lyonie zadałem się z jedną z moich studentek, pełną życia brunetką o imieniu Adilee, słuchaczką początkowo pilną, a potem wręcz natarczywą. Adilee P., córka kolonisty z Blidy, który - jak opowiadała - owdowiał, po czym ożenił się ponownie, przyjechała do Lyonu rzekomo w celu kontynuowania studiów, a w rzeczywistości po to, by spotkać się ze swoją kuzynką Tatianą, studentką jak i ona, z którą wspólnie zamieszkała. Kiedy poznałem ją w listopadzie 1946 roku, była wysoką, szczupłą, dwudziestotrzyletnią dziewczyną o czarnych, płomiennych oczach, prostym nosie, wąskich wargach, zarówno łakomych jak i uwodzicielskich zębach, nieco zbyt szczupłych ramionach i nogach, zręcznych dłoniach i naturalnym, może nawet zuchwałym sposobie bycia. Była dosyć gadatliwa i obnosiła się ze swą powierzchowną wiedzą, podczas gdy Emilienne kryła raczej swoje solidne wykształcenie. Znużona najwidoczniej dziewictwem, jakie zachowała dzięki surowemu nadzorowi rodziny, przybyła do Francji z nieskrywanym zamiarem poznania życia i miłości. Wkrótce oprócz rysunków z zajęć

zaczęła pokazywać mi własne próby powieściowe i poetyckie; przychodziła do mnie po wykładach, wyraźnie zafascynowana otaczającym mnie nimbem profesora z Paryża i w pewnym sensie

dumna z faktu, że ja, mężczyzna czterdziestoletni, zwróciłem na nią uwagę. Byłem brunetem, dobrze zbudowanym i trochę zarozumiałym. Mówiono, że mam rzymski profil. Wyraźniejsze znaki dały mi do zrozumienia, że owa zacofana nieco uczennica liczy na moją pomoc w uzupełnianiu swej edukacji. Krótko mówiąc, pewnego marcowego wieczoru, po kolacji, na którą pozwoliła się zaprosić bez zbędnych ceregieli, poszła ze mną do hotelu „Europejskiego“, gdzie oddała mi się z zachwytem i bez większych problemów. Zdumiały mnie, ale tylko trochę, jej wyrafinowane pieszczoty, które następowały tuż po wyraźnych dowodach naiwności, jak również niezrównane wyczyny języka, stanowiące jaskrawy kontrast z niedoświadczeniem bioder. Zniewolony przez jej żywy temperament i czar zwinnego ciała o naturalnym, jakże intensywnym zapachu, okazałem się na tyle słaby, by wynająć dla niej małe mieszkanie na Rue Peney: tam właśnie spędzaliśmy razem czas każdorazowo, gdy przyjeżdżałem do Lyonu; podczas mojej nieobecności natomiast przenosiła się do swojej kuzynki.

Tymczasem semestr dobiegł końca. Profesor, którego zastępowałem, zapowiedział swój przyjazd w październiku, wróciłem więc na dobre do Paryża. Adilee, przeświadczona, że przysługują jej już z mej strony szczególne względy, a co za tym idzie: bardziej pewna siebie, wzięła mi za złe list z końca września, w którym pożegnałem się z nią, a zarazem obiecałem dosyć niezręcznie i mętnie kolejne spotkanie.

Na jej nagłać listy odpowiadałem coraz rzadziej, nie zdziwiłem się więc zanadto, kiedy pewnego pięknego poranka jesienią 1947 roku

zastąpiłem ją w przedsiönku mojego biura przy Rue de Tournon. Jak mi opowiedziała, nie mogła już znieść dłużej mojej nieobecności, a tym bardziej milczenia, przyjechała więc - częściowo za zgodą rodziny, częściowo na własną rękę - oficjalnie w celu nawiązania kontaktów z kręgami artystycznymi, właściwie jednak po to, by spotkać się z jedynym mężczyzną, którego kocha. Daremnie usiłowałem nakłonić ją do powrotu do Lyonu, czy choćby Blidy, nie udało mi się jej nawet powstrzymać przed zamieszkaniem w atelier na Rue de Cherche-Midi, za które zdecydowała się płacić pieniędzmi otrzymywanymi co miesiąc od ojca. Ponieważ czynsz pochłaniałby resztki jej dochodów, ja musiałem zatroszczyć się o resztę, po to więc, by nie stanowiła dla mnie zbyt wielkiego ciężaru, postarałem się dla niej o posadę sekretarki na pół etatu w niewielkiej galerii.

Dopóki przebywałem na zmianę to na Montmartre, to znów w Lyonie, świadomość mojej zdrady małżeńskiej nie docierała do mnie w pełni; a przynajmniej nie zaprzątałem sobie głowy ewentualnymi komplikacjami. Sytuacja przestała być tak prosta, odkąd w Paryżu zjawiała się Adilee. Natychmiast przekształciłem się w mężczyznę, który - miotając się między wymaganiami żony a kaprysami kochanki - może odnaleźć spokój tylko dzięki ryzykownej sieci kłamstw.

Co gorsza, czułem się coraz bardziej związany z Adilee i nieustannie oddalałem się cieleśnie od Emilienne, jakkolwiek nie przestałem jej kochać. Nie mogłem wprawdzie zdobyć się na całkowite zerwanie z żoną, która górowała nad swą rywalką pod każdym względem, nie potrafiłem już jednak obyć się bez kochanki, której

pikantny urok owładnął całkowicie moimi zmysłami. Nie mogłem przyznać się Emilienne do mego podwójnego uczucia, gdyż wtedy zdecydowałaby się na rozwód, nie wolno mi też było zwodzić dłużej Adilee, zmuszać, by żyła nadzieją na korzystniejszy rozwój wypadków w przyszłości. Do tego, bym wiódł to podwójne życie, zmuszała mnie zazdrość - zrodzona u Emilienne ze zranionej dumy, a u Adilee z pożądlivości.

— Co mi z tego - mówiła pierwsza - że przestałeś jeździć do Lyonu? Wtedy, gdy spędzałeś tam połowę czasu, widywałam cię częściej!

— Nie, doprawdy - mówiła druga - skoro zamieszkałam w Paryżu specjalnie dla ciebie, mogłam się spodziewać, że nasze spotkania będą teraz czymś łatwiejszym, niż w Lyonie pomiędzy jednym wykładem a drugim!

I znowu Emilienne:

- O co właściwie chodzi? Zachowujesz się tak, jakbyś się bał, że wracając do domu o normalnej porze obrazisz jakąś kochankę!

I znowu Adilee:

- A więc monsieur boi się, że jego żona, która jest podobno dla niego ciężarem, mogłaby coś zauważyć? A to, że jest jej posłuszny, nie męczy go? Widzę, że moje zmartwienie i łzy liczą się mniej, niż jedno słowo madame.

Nie mogąc znaleźć wyjścia, pozostałem przy kompromisie. Z dnia na dzień przesuwalem moment podjęcia decyzji równie niezbędnej co niemożliwej. Jednym słowem, znajdowałem się w rozpaczliwej

sytuacji, którą pogarszały jeszcze bardziej rosnąca podejrzliwość żony, zaniepokojonej już nie na żarty, oraz naciski Adilee, której kusząca młodość stanowiła bardzo silny oręż. I wtedy nastąpiły wydarzenia, będące głównym przedmiotem mej opowieści.

### Osobliwe skłonności

Już od kilku lat Emilienne zdradzała pewne - początkowo ledwie dostrzegalne - skłonności do innych kobiet i muszę przyznać, że nawet trochę popierałem je, ożywiony tak kuszącą dla wielu mężczyzn wizją podwojenia partnerki. Nie chcąc, by w tym nieskrępowanym świecie, w jakim żyliśmy, uznano ją za głupią gęś, Emilienne wystrzegała się wszelkich uwag krytycznych na temat jakichkolwiek wymyślnych inklinacji seksualnych; przyjęła raz na zawsze, że w każdej innej dziedzinie rozum nie musi okazywać tak daleko idącej tolerancji, jak w sprawach żądzы cielesnej. Twierdziła, że jej samej nie pociągają przedstawicielki jej płci - może dlatego, że los nie zetknął jej do tej pory z kobietą godną zainteresowania, ale raczej przyczyniło się do tego głębokie uczucie, jakim darzy mnie.

- Myślę - powiedziała - że wszystko zależy od tego, czy w grę wchodzi miłość. Jeżeli tak, to wszystko w porządku. Dodała jednak: - Ale uważam, że gra, która osobnikom tej samej płci zastępuje nie raz tę miłość, może okazać się niebezpieczna. Biada też temu, kto daje się ponieść namiętności, podczas gdy jego partner pozostaje zimny. - Nie



dając

za

wygraną, zacząłem uporczywie przedstawiać jej pewne praktyki jako naturalne

finezje spotykane u bardziej wytwornych kobiet.

– Jeżeli tak przy tym obstajesz - zgodziła się wreszcie - ofiaruję ci widok przelotnego intermezzo z nieznajomą, ale wiedz, że uczynię to tylko dla twojej przyjemności i na własną hańbę. Nigdy potem nie spotkam się z tą kobietą.

– A gdyby chodziło o dłuższe intermezzo z osobą na odpowiednim poziomie?

– To przecież niemożliwe! Bo i z kim? To nie wchodzi w rachubę choćby ze względu na łatwą do przewidzenia reakcję otoczenia. Wymagałoby to zbyt wiele taktu, stałego ukrywania się.

W każdym razie zauważyłem, że Emilienne zaczyna wykazywać niezwykle zainteresowanie określonym typem literatury. Zachwycała ją Colette, nie mogła wyjść z podziwu dla „Sodomy i Gomory“ Prousta, znała na pamięć wiersze Renee Vivien, a „Pieśni Bilitis“ wprowadzały ją w nastrój rozmarzenia. Recenzje literackie, jakie pisała dla wydawnictwa Jullimard, świadczyły o jej pobłażliwości - a nawet o czymś więcej - wobec książek o kobietach, które kochają kobiety. A może to te książki ją zepsuły?

Jeśli chodzi o Adilee, nie miałem żadnych wątpliwości od pierwszej chwili. Już w Lyonie, kiedy ujrzałem, jak zażyłe stosunki łączą ją z kuzynką, zacząłem się zastanawiać czy przypadkiem wzajemne pieśczoćy nie osładzają im długiego okresu oczekiwania na

miłość lub czy ta osobliwa przyjaciółka nie zastępuje mnie podczas mojej nieobecności. Na ramionach, udach, a nawet pośladkach mojej młodej towarzyszkii widywałem ślady, jakie nie ja zostawiłem. Na rękach, a przede wszystkim pod pachami widniały ślady zębów - zbyt drobnych i szpiczastych, by mogły należeć do mężczyzny. Obie gołabeczki nie krępowwały się zresztą w mojej obecności ścisnąć sobie dłonie, obejmować się w talii, czynić aluzje i uśmiechać się porozumiewawczo do siebie. W tym przypuszczeniu - które wcale nie było dla mnie niemiłe - utwierdziłem się jeszcze bardziej, gdy zorientowałem się, że Adilee jest stałą bywalczynią kawiarni, gdzie roi się od dziewcząt w spodniach i krawatach, a jej uwagi na temat kobiecych wdzięków nie różnią się od tych, jakie czyniliby w takich sytuacjach mężczyźni.

Wreszcie, pewnego uroczego wieczoru, wyznała mi wszystko o rozkoszach swojej młodości - ale przedtem musiałem pogratulować jej wyszukanego gustu. Przyznała, że nadal jeszcze odczuwa pewną tęsknotę za kuzynką.

- Zrozum... samo wspomnienie pierwszego dreszczu... upojnego zakłopotania przed i po pierwszym razie... to cudowne zmieszanie przy pierwszym śmielszym

dotknięciu, pierwszej dwuznaczonej propozycji: „No, nie przyjdiesz do mnie do łóżka?“, nieśmiała odpowiedź: „To chodź ty!“ - A potem przyzwyczajenie się do piersi, bioder, do tej wypukłości ciała, za którą tęskni się nawet przy najbardziej ukochanym mężczyźnie, owa

krażliwość, wilgoć, do czego aż się ‘garną palce i usta... Nawet jeżeli ktoś zdecyduje się na to z braku innej możliwości, przekona się bardzo szybko, że został naznaczony już na zawsze... Chyba nie jesteś zazdrosny?

– Oczywiście, że nie. Ale byłbym jeszcze mniej zazdrosny, gdybym mógł przypatrzeć się raz, czy dwa razy.

– O, mój drogi, to już zupełnie inna sprawa.

Owa rozmowa sprawiła, że marzenia, których do tej pory nie traktowałem zbyt poważnie, przybrały kształt bardziej intensywny, niemal namacalny. Nie dość, że dawne i przyszłe zepsucie mojej kochanki pobudzało me żądze - zacząłem pragnąć, aby podobne przeżycie mogła wyznać mi również żona.

Mimo to nawet w najśmielszych marzeniach nie myślałem jeszcze wtedy o związku cielesnym Emilienne i Adilee - i dopiero sama natura, a może zły duch, ukazała

mi we śnie otchłań mej podświadomości. Bowiem właśnie we śnie ujrzałem obie kobiety nagie, splecione w miłosnym uścisku i widok ten wprowadził mnie w niezwykle podniecenie. Tę wymarzoną scenę zachowałem troskliwie w pamięci, rozkoszując się nią bez wyrzutów sumienia, tym bardziej że nie byłem jej autorem. Moja odpowiedzialność rozpoczęła się dopiero w momencie, kiedy owa obsesja okazała się silniejsza ode mnie i opowiedziałem cały sen Adilee. Wybuchnęła perlistym śmiechem, ale brzmienie tego śmiechu zdradziło, że udało mi się umieścić ziarno w odpowiedniej glebie. - Rzeczywiście - zażartowała. - To rozwiązałyby cały problem.

Zaskoczyła mnie tą uwagą. Oto moje bezsensowne marzenie stawało się na szczęście coraz bardziej realne. To jedno posunięcie mogłoby rzeczywiście rozwiązać problem mego podwójnego życia. To prawda, należało liczyć się z kłopotami, a nawet z pewnego rodzaju niebezpieczeństwami: brałem je pod uwagę, ale z drugiej strony właśnie ta świadomość podsycala moją odwagę. A zresztą: czyż Piran-dello nie uczył, że każdy może osiągnąć swoje szczęście, buntując się przeciw społeczeństwu?

Aby rzucić Emilienne w ramiona Adilee, trzeba było zdecydować się na ryzykowną grę. W jaki sposób moja kochanka miała przemilczeć, kim jest dla mnie? Czy w poufnych rozmowach, jakie wydawały mi się nieuniknione, moja żona nie zaczęłaby chwalić mnie za

wierność? Mogłem doprowadzić do dramatu, ale czyż ów dramat nie zagrażał nam i

tak?

Mimo wszystko zwyciężyłby jednak rozsądek, gdyby sama Adilee nie powróciła do

tego tematu po kilku dniach.

– To znaczy, że myślałaś o tym? - zapytałem, czując, że moja twarz pokrywa się rumieńcem.

– Wszystko zależy od tego, jakie wrażenie zrobi na mnie Emilienne. Przecież ja w ogóle nie znam tej kobiety. Kiedy wreszcie przedstawiśz mnie swojej żonie?

– Nie miałbym tyłu skrupułów, gdybym był pewien, że

Emilien-ne nie dowie się nigdy o naszym związku.

– Uważasz mnie za tak głupią?

– Jeśli nasz plan ma się udać, moja żona nie może nawet podejrzewać, że się znamy, ty i ja.

– No więc dobrze, musimy coś wymyślić.

– Nie chciałbym jednak zachęcać cię do kroków, które mogą okazać się

bezużyteczne. Nie wolno przecież wykluczyć, że Emilien-ne lubi wprawdzie tego typu literaturę, może nawet ma inklinacje w tym kierunku...

– Och, w to nie wątpię. Ma je każda kobieta.

– Mimo to musiałybyś być w jej typie.

– A ona w moim, to prawda. Ale w końcu mógłbyś jakoś zetknąć nas ze sobą, nie narażając się na żadne ryzyko. Jeżeli o mnie chodzi, jestem gotowa spotkać się z Emilienne, pod warunkiem, że i ty tego chcesz.

Teraz chodziło już tylko o to, aby natchnąć tą samą myślą Emilienne, której rozwój nie przebiegał tak szybko, jak bym sobie tego życzył. Podczas naszego najbliższego intymnego sam na sam zebrałem się na odwagę, by wyszeptać jej do ucha, że widziałem ją we śnie w ramionach jakiejś brunetki.

– A konkretnie: w czyich ramionach? - zapytała z ożywieniem.

– Och, jakiejś nieznajomej.

– Jak wyglądała? I co ze mną robiła?

– Była wysoka, szczupła, zwinna, dosyć młoda. Rozbierała cię i pieściła jednocześnie.

– A ty... co ty robiłeś w tym czasie?

– Ja... ja... przyglądałem się.

– Z dużym zainteresowaniem, jak sądzę.

– Chciałaś zapewne powiedzieć: z zachwytem, moja droga.

Muszę ci się przyznać, że odkąd miałem ten cudowny sen, nie mogę przestać myśleć o tym, c<sup>^</sup>w nim widziałem.

– No cóż, a więc odszukaj brunetkę z twego snu i podaj mi ją na złotej tacy - odparła z wymuszonym uśmiechem.

11

I znowu oddaliśmy się słodkim pieszczotom, ale w pewnej chwili otworzyłem oczy i

ujrzałem jej nieruchome spojrzenie.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? - zapytała.

– Wcale nie patrzę na ciebie, lecz na tę brunetkę, która kryje się w twych oczach.

Stała w pąsach. Ja zaś zacząłem rozmyślać, w jaki sposób skojarzyć wreszcie je obie: łanię i panterę. Okazało się jednak, że żywa fantazja Adilee działa szybciej, niż moja. Upłynął zaledwie tydzień, kiedy podczas spotkania klepnęła

się w czoło.

– Mam pomysł. Przecież twoja żona pracuje w wydawnictwie, prawda?

– Jest redaktorem u Jullimarda.

– Wspaniale. Właśnie zaczęłam pisać nowelę czy też opowiadanie, trochę w stylu... Chodzi o dwie kobiety, które się kochają - kto wie, może okaże się to załączkiem większej powieści. Więc tak: przepiszę na czysto kilka pierwszych stron i wyślę do Jullimarda, jako próbkę antologii opowiadań, oferując zarazem opcję. Emilienne

przezysta tekst... \_\_ I

– I albo jej się to spodoba, albo nie. Jeżeli tak, to napisze do mnie, ja jej odpowiem, ustalimy termin spotkania, a potem pozostanie już tylko czekać, aby stwierdzić, jakie wrażenie wywarłyśmy na sobie. W ten sposób zostanie zrobiony pierwszy, może jednocześnie ostatni krok, ty zaś nie będziesz musiał nawet kiwnąć palcem.

– Rzeczywiście, będę mógł powiedzieć, że umyłam ten palec, a nawet obie ręce. A czy mógłbym przejrzeć tekst?

– Nie muszę ci chyba mówić, że to wszystko czysta fantazja - odparła,

wyciągając z torebki zwitek papieru. - Po prostu tak bardzo zafascynował mnie twój sen.

I w ten sposób zacząłem czytać pierwszą część. Mnais i Phyllodocis

Mnais o ciemnych warkoczach pokochała złotowłosą Phyllodocis. Jedna pobierała od drugiej nauki w żeńskiej szkole, którą światła Anactoria założyła na wyspie Lesbos po utracie swojej towarzyszki, Safony, zmarłej w Leukadii. Mnais, pełna wdzięku tancerka w kwiecie swych osiemnastu lat, nie była jeszcze obeznana ze słodkimi igraszkami Afrodyty, podczas gdy Phyllodocis, która zbliżała

się już do swego siódmego pięciolecia, zdążyła poznać dziewięciomiesięczny cykl Hery. Była bowiem żoną Phao-na, zapaśnika, który zezwalał jej na nauczanie młodych dziewcząt i każdego ranka otwierał przed nią pilnie strzeżone drzwi szkoły - z jednej strony, aby tym łatwiej mogła przeboleć utratę swego przedwcześnie zmarłego dziecka, z drugiej natomiast, aby także wносиła wkład do niezbyt hojnie obdarzonego dobrami doczesnymi domu.

Początkowo Phyllodocis zdobyła szlachetne serce Mnais dzięki wielkości swego umysłu, ale po kilku miesiącach, w ciągu których ciemnowłosa dziewczica obserwowała prawidłą rytmu zwinnych ruchów jasnowłosej kobiety, Mnais dostrzegła, że jej nauczycielka ma cudowne ramiona i nogi. Do głębi jej młodzieńczych zmysłów przeniknęła siła tej doskonałej twarzy o rysach częściowo męskich, do czego przyczyniło się stanowisko nauczyciela, a zarazem kobiecych, co podkreślała świadomie fryzura; długie włosy, układające się w naturalne loki. Podobny kontrast tkwił w ciele Phyllodocis; w tej samej mierze bujnym i silnym, w jakiej drobna i delikatna była postać Mnais. O ile jej wzrost i postawa były godne wojownika, to wypukłości piersi i bioder zdumiewały swym rozmiarem - nawet jak na kobietę. I raptem uczucie, jakie stopniowo rozwijało się w sercu Mnais, ogarnęło ją wszechpotężną falą: nie tylko rzucała nauczycielce podczas zajęć spojrzenia, które zbiłyby z tropu nawet zimną Pallas, lecz również przewracała się nocami na posłaniu z boku na bok, schnąc z tęsknoty do chwili, kiedy usłyszałaby od tej, którą nazywała już w myślach swą



przyjaciółką, inne słowa, nie napomnienia lub informacje o złych ocenach. Pociągały ją owe twarde, krągłe piersi, aksamitny brzuch, na którym - jak zdołała dostrzec poprzez peplos - nawet poród nie pozostawił żadnej fałdy. I doszło do tego, że nie mogąc zaznać ukojenia zaczęła opuszczać swą samotną celę. Pod osłoną nocy pokonywała ogrodzenie i krążyła wokół domu Phyllodocis. Jakże szczęśliwą czuła się, widząc poprzez jedyne okno olśniewającą żonę Phaona, odzianą i poruszającą się inaczej niż w szkole.

I tak pewnej nocy, gdy wracając znad brzegu morza odważyła się wdrzeć do ogrodu, który rozciągał się pomiędzy domem a wybrzeżem, los sprawił, że Phaon leżał chory, a Phyllodocis, odziana w cienką szatę, wyszła narwać trochę melisy. Zjawiała się tak niespodziewanie, że Mnais nie zdążyła już wymknąć się z powrotem, a nauczycielka dostrzegła ją, jak drżąc na całym ciele tuli się do tej samej kraty, przez którą jeszcze przed chwilą zaglądała z ciekawością. Phyllodocis nie od razu poznała kobiecą postać, na pół skrytą wśród gałęzi wawrzynu. Kiedy jednak rozgarnęła je, nieszczęsny promień Artemidy oświetlił przerażoną twarz intruza.

- Ty tutaj! - szepnęła żona Phaona. - Czyżbyś chciała tu coś wyśledzić  
albo  
ukraść?

Mnais nie widziała jednak jej zmarszczonych brwi, całą swą uwagę skierowała na pięknie wymodelowane kolana Phyllodocis i widoczne pod rozchyłoną nocną tuniką

uda, które niczym dwie kolumny wspierały oz-

dobę świątyni. Zrzuciwszy własną szatę, objęła rękami oba filary o odcieniu kości słoniowej i przywarła wargami do złocistego akantu owej niezrównanej w swej piękności głowicy kolumny.

– No, no! - wykrzyknąłem z uznaniem, kiedy poprawiłem już kilka budzących zgrozę błędów ortograficznych.

– Jak na początek, to Mnais nieźle sobie poczyną, nie krępuje się nic a nic! Doprawdy, chylę czoła, ta historyjka mogłaby równie dobrze pochodzić od Fenelona, który uczył się swej sztuki u Pierre Louysa. Jeśli jednak mam być szczery, to nie mogę sobie wyobrazić, by tak szacowny, poważny wydawca Jullimard przyjął tego typu rękopis. Co najwyżej, można by pomyśleć o wydaniu broszurowym w ograniczonym nakładzie.

– A ja wykonałabym ilustracje. Widzisz, w ten sposób mogę zadebiutować za jednym zamachem w literaturze, sztuce i...

Nie dokończyła, ale nie wątpiłem ani przez chwilę, w jakim kierunku podąży już w myślach.

Kilka dni później Emilienne - zazwyczaj bardzo dyskretna w sprawach zawodowych - okazała się przy stole bardziej gadatliwa.

– Dziś rano dostałam razem z innymi rękopisami początek zadziwiającego, krótkiego utworu, niestety zbyt frywolnego abyśmy mogli zachęcać autora do kontynuowania go, o wyraźnie safickiej wymowie. Nadeszła go jakaś nieznajoma. Jest to prosta nowela, pierwszy fragment antologii opowiadań, na którą autorka oferuje nam opcję. Jest tam wszystko: ciepło uczucia, szczerłość wypowiedzi, nawet doskonałość formy. Jeszcze teraz jestem pod wrażeniem tego

opowiadania.

– Nawet nieco podniecona, jak widzę. Czy mogę rzucić okiem?

– Och, nie sędzę, by mogło to ciebie zainteresować.

Mimo to wieczorem wróciła do domu ze stertą zwiniętych karteek. Wyglądało na to, że Adilee, zachęcona moją pochwałą, dopisała do tego, co już zdążyłem poznać, kilka jeszcze śmielszych stron.

Gwiazda nieskałanej bogini nie tylko rozjaśniła przed oczyma Mnais cudowne ciało Phyllodocis i ów wzgórek podobny do kokonu, jaki gąsienica jedwabnika przedzie wśród liści morwy; ukazała również oczom Phyllodocis gładkie ramiona i plecy, smukłe biodra i krągłe pośladki Mnais. Nauczycielka, podniecona pocałunkiem uczennicy, nachyliła się niczym jodła, padająca pod ciosem drwała, i objęła zuchwałą. Jej duże dłonie ścisnęły szczupłe pośladki, usta rozchyliły się do pocałunku, który nie mógł osiągnąć celu. Zaledwie pojęła, że głowa ślicznotki znajduje się poza zasięgiem jej warg, opadła na wznak. Gałęzie wawrzynu same rozpostarły się z trzaskiem na ziemi, tworząc dla niej posłanie. Na ustach le-

żącej jasnowłosej dokonał się pocałunek klęczącej dziewicy, ognie ich rozpalonych oczu połączyły się w jeden wielki płomień, języki splotły się tak ściśle, jakby już nigdy nie miały się rozdzielić. Ale w tej samej chwili dobiegł je zza ogrodzenia gromki głos Phaona:

– Co ty tam robisz, Phyllo? Co to za hałas? Cóż to, bawisz się w ogrodzie z jakimś kotem, podczas gdy ja mam takie bóle brzucha, jakby ktoś rozszarpywał mnie gorącymi szczypcami? Ileż czasu można

czekać na tę melisę? Phyllodocis zerwała się na równe nogi i rzekła do Mnais:

– Biada nam, biada! Przejdź szybko, ale na palcach, przez tę małą furtkę i zapomnij o tej nieszczęsnej przygodzie!

I Mnais odeszła, upojona szczęściem i zawstydzona tym pożegnaniem.

Jak bardzo dłużyła się jej ta noc, którą spędziła na rozpamiętywaniu swych uczuć, nie mając jednak odwagi rozważyć ani tego, co zyskała, ani tego, co mogło jej teraz grozić. Następnego dnia Phyllodocis zjawiała się w szkole jeszcze bardziej surowa i nieprzystępna, niż dotychczas: można by pomyśleć, że umyślnie unikała spojrzeń bezwstydney uczennicy, łajała ją też tak ostro za najmniejsze przewinienie, że po zajęciach Mnais z płaczem zaszyła się w najciemniejszy kąt.

– Proszę cię - powiedziała wtedy Phyllodocis do szlachetnej Anac-torii - pozwól mi zamienić na osobności kilka słów z tą uczennicą. W jej piersi zamieszkał olbrzymi smutek, zrodzony być może przez wzrok jakiegoś satyra. Dla dobra jej nauki muszę dowiedzieć się prawdy.

– Czy jesteś jednak pewna - odparła przebiegła Anactoria - że nie chodzi tu raczej o jakąś nimfę? Ale dobrze, idź z nią, wyjaśnij tę sprawę.

I tak oto Mnais i Phyllodocis oddaliły się od innych; ciemnowłosa szła o trzy kroki w tyle, z głową opuszczoną, jak robią to małe dzieci, które obawiają się kary. Phyllodocis nie odwracała się do

niej, jakkolwiek świadomość, że owa rozwiązała dziewica kroczy tuż za nią, nie dawała jej spokoju. W końcu doszły nad morze, tam gdzie zarówno niewielkie wzgórze jak również gaj oliwkowy konkurowały

ze sobą, by lepiej osłonić to miejsce przez wzrokiem ewentualnych ciekawskich ze szkoły. Ruchem dłoni Phyllodocis dała Mnais znak, by usiadła pod drzewem, po czym rzekła podniesionym głosem:

- Tak jak wymaga tego należyta rozprawa sądowa, zrekonstruujemy najpierw two wczorajsze przewinienie.

Własnoręcznie, stojąc przed siedzącą uczennicą, rozpięła klamry swego peplum, obnażyła te same filary i tę samą głowicę, które ostatniej nocy ofiarowała światłu księżycy, a potem, przytrzymując szatę na ramieniu dwoma palcami, powiedziała:

- Teraz zaś, jeśli masz na tyle odwagi, pokaż za dnia, jakimż to zuchwalstwem zawstydziałś noc.

Mnais, posłuszna jej wezwaniu, zrzuciła z siebie uczniowski strój i ponownie objawiła swoje uwielbienie - z jeszcze większą namiętnością, niż uczyniła to w nocy. Phyllodocis objęła ją gwałtownie, zatoczyła się, Mnais padła na nią, ich języki złączyły się jak wczoraj, ale po chwili wargi uczennicy powędrowały po rozdygotanym ciele nauczycielki aż do wypukłości świętego wzgóрка Afrodyty. Potem Phyllodocis poderwała się z głośnym okrzykiem, przewróciła na ziemię tę, która atakowała ją do tej pory, i teraz ona z kolei posiadała ją. A

kiedy z szeroko otwartych ust Mnais wydobyły się jęki najwyższej rozkoszy, nauczycielka przywdziała na powrót szatę, mówiąc:

- Mam nadzieję, że zrozumiałaś należycie moje napomnienie.

Weszła w głąb gaju oliwkowego, aby ułożyć porządnie swoje jasne

loki, Mnais, też już ubrana, poczęła zaplatać ciemne warkocze. Trzymając się za ręce, szły przez lasek, aż dotarły do miejsca, gdzie stykały się obie drogi wiodące do szkoły - jedna od brzegu, druga od domu Phyllodocis.

- Oto twoja ścieżka, Mnais, a ja pośpieszę do domu, gdyż jest już późno i nie chcę rozgniewać Phaona. Nie lubi czekać na posiłek.

Przystanąły pomiędzy dwoma drzewami i tu ciemnowłosa rzuciła się swej kochance na szyję. Żegnały się wilgotnym pocałunkiem, a nad nimi zapadał zmierzch. Na szczęście jednak ich wargi zdołały się rozdzielić, zanim tuż obok nich rozległ się głos męczyzny:

- Tam do kata!

Był to Phaon; zatroskany faktem, iż jego żona nie wraca do domu tak długo, wykrzyknął te słowa, w których mieszały się i zazdrość i głód. Zwinna Mnais odeszła na bok i opuściła Phyllodocis, żegnając się z nią tak przykładowie, by nie zdradzić, w jak zażyłych stosunkach są już ze sobą. Phyllodocis natomiast zbliżyła się do męża z miną niewiniątka, tak nienaturalną, że tym bardziej mogła rozbudzić w nim nieufność.

– Czy mógłbym dowiedzieć się, jaka jest przyczyna twego spóźnienia i towarzystwa? - zapytał zimnym tonem.

– To biedne dziecko - odparła jego żona - uległo już pierwszym popędom Afrodyty, nie chce mi jednak wyjawić imienia mężczyzny, do którego poczuła pociąg. Oby bogowie sprawili, by nie chodziło jej o ciebie, syna Adonisa!

– Wiesz przecież, że nie lubię niedojrzałych owoców - ofuknął ją szorstko Phaon. - Ale nie chcę też, byś ty ich kosztowała zamiast mnie.

– Co ty wygadujesz!

– Każdy mężczyzna wie dobrze, o co chodzi jeśli w grę wchodzi uczennica światłej Anactorii, towarzyski Safony. Mogę uwierzyć, że oparłaś się zakusom dyrektorki, ale to jeszcze nie znaczy, że miałabyś teraz ulec wdziękom tej debiutantki. Nawet w Mitylene karano żony za dużo mniejsze przewinienia. Mam nadzieję, że się rozumiemy. A teraz do domu! Nie mogę już doczekać się tego bobu!

Odłożyłem na bok ostatnią kartę papieru i patrzyłem, jak zwiija się w rulonik.

– No i co ty na to? - zapytała Emilienne. Nie spuszczała ze mnie oka, chcąc wyczytać z mej twarzy, jak zareagowałem na lekturę. - Czy to dziełko nie emanuje zmysłowością i głębią uczucia? A jakim głupcem okazał się ten mężczyzna!

– Nie wiem wprawdzie - powiedziałem - czy postąpiłbym tak jak on, ale nie podzielam twego zachwytu. Zobaczmy, co będzie dalej.

– Widzę, że potrafisz być nieczuły jak głaz. Nie zasługujesz

nawet na to, bym pozwoliła ci przeczytać załączony do opowiadania list.

Nowela, zakończona na razie trzema rzędami wielokropków, była istotnie zaopatrzona w list przewodni skierowany do sekretarza wydawnictwa Jullimard: Adilee, ze względu na ewentualną opcję, prosiła w nim o pisemną lub ustną recenzję.

- Z pewnością jakaś zdeprawowana trochę studentka, która rozpiśała się na temat odpowiadający aktualnym gustom. Ale w końcu nie ryzykujesz niczym, jeśli ją przyjmiesz. Może to być jakieś brzydkie kaczątko... albo też niedopieszczona

staruszka, która nagryzmoliła tu coś, o czym kiedyś gdzieś czytała.

— To by mnie bardzo zdziwiło - odparła Emilienne, z lekkim protestem w głosie.

— Ale masz rację, muszę ją zobaczyć, abym wiedziała potem, co jej odpowiedzieć. Formę mojej oceny uzależnię od tego, co to w ogóle za osoba.

— Nie uchybisz sobie w niczym, jeżeli poprosisz ją o zdjęcie - zadrwiłem delikatnie.

Potem poszliśmy do łóżka, gdzie dałem Emilienne wystarczające dowody na to, że w rzeczywistości owa lektura roznamiętniła mnie w nie mniejszym stopniu niż ją. Spotkanie obu dam

Trzy dni później Adilee już z oddali zaczęła wymachiwać ku



mnie kopertą z nadrukiem firmowym wydawnictwa Jullimard, nie tając swego entuzjazmu: „Mademoiselle, pani utwór uważam za bardzo interesujący i z przyjemnością spotkam się z panią w czwartek, 29 stycznia w siedzibie wydawnictwa Jullimard, aby szczerze wypowiedzieć swą opinię,

Z wyrazami szacunku E. des O.“

Aż do dnia 29 stycznia „Mnais i Phyllodocis“ leżała na nocnym stoliku Emilienne,

tuż obok „W cieniu zakwitających dziewcząt“ i „Nieprzyzwoitej“ - powieści przyniesionych z wydawnictwa.

Wreszcie nadszedł ów czwartek i tego dnia Emilienne zjawiła się w domu na

obiedzie z pewnym opóźnieniem, niezwykle podniecona.

– Wszystkiemu jest winna nasza młoda pisarka, z którą spotkałam się dzisiaj - zaczęła się usprawiedliwiać. - Nie jest to ani rozpustna staruszka, ani głupia gęś; przegrałbyś zakład, mój drogi przyjacielu. Nieznajoma, która odwiedziła mnie w wydawnictwie, jest po prostu sympatyczną, młodą kobietą, dosyć wysoką, szczupłą, o czarnych oczach i jakimś egzotycznym zapachu ciała.

– Byłaś przy niej tak blisko, że mogłaś to poczuć?

– A co miałam zrobić? Wiesz, jak ona zręcznie potrafi zbliżyć się do kogoś, z kim rozmawia...? Ma już taki sposób bycia, swobodny, może nawet zuchwały. W

każdym razie nosi spodnie!

To było dla mnie coś nowego. Z trudem powstrzymałem się od śmiechu. Emilienne

natomiast zarumieniła się lekko i powiedziała, niby żartem:

– Możesz już nie szukać tej ciemnowłosej nieznajomej, tak mi się przynajmniej wydaje. Chyba niebo mi ją zesłało.

– Zobaczysz się z nią jeszcze?

– No... w następny czwartek ma mi przynieść dalszy ciąg „Mna-Is i Phyllodocis“.

– A więc znalazła w twoich oczach uznanie?

– Tak, jest pod każdym względem tą ciemnowłosą dziewczyną z noweli. Jej styl wydaje mi się zbyt efekciarski, ale i tak z wszystkich kobiet tego typu, jakie do tej pory poznałam, ona wzbudza we mnie najmniej niechęci.

– Gdy tymczasem ty, blondynka...

– Zamilcz!

Zmusiła się do uśmiechu. Zrozumiałem, że podczas tej pierwszej rozmowy Adilee

przesadziła ze swoją sztuką uwodzenia, ale pojąłem też, że żądza Emilienne jest

już żywsza, niż myślałem - skoro nie odstraszyła jej nawet tak niezręczna forma.

Aby zachować twarz, doradziłem jej ostrożność, ale potwierdziłem zarazem

wyraźnie swoją aprobatę.

Następnego dnia Adilee przedstawiła mi swoją wersję

spotkania.

– Ty gałganie, dlaczego mi nie powiedziałeś, że masz tak miłą żonę?! Zawsze opisywałeś mi ją jako matronę. Gdybym poznała ją wcześniej, nie zgodziłabym się zostać twoją kochanką. To typ, który by mi odpowiadał. Może jest w niej troszkę za dużo fałszywej prostoty, pod którą kryje się pewna zarozumiałość, może mówi trochę zbyt protekcjonalnym tonem, ale poza tym naprawdę mi się podoba.

– A więc, jak brzmi twój wyrok?

– Powiedziałam przecież, że mi się podoba.

– I gdyby wepchnięto ci ją w ramiona...?

– Och, mój drogi, w moje objęcia musiałyby już paść sama.

Na nocnym stoliku Emilienne nadal piętrzyły się tomy Prousta, ale do Adilee wróciliśmy w rozmowie dopiero podczas naszego niedzielnego spaceru.

– Nie widziałeś jej od tamtej pory? - zapytałem na wszelki wypadek.

– Skąd wiesz? Właśnie, spotkałam ją przypadkowo, kiedy skręcała z Rue du Dragon w bulwar Saint-Germain. (A więc jednak moja żona odważyła się zapuścić w tamtą dzielnicę!) Jeśli mam być szczerą, tym razem podobała mi się już trochę mniej. (To zastrzeżenie wydało mi się mocno podejrzanę.) Była nieco wyzywająca, jakby ordynarna. Wiesz, teraz żałuję nawet, że ją poznałam!

– Rozmawiałaś z nią?

– Zamieniłyśmy zaledwie kilka słów. Wyglądało na to, że made-moiselle dokądś

się śpieszy. W każdym razie dowiedziałam się, że pochodzi z Algierii i uczęszczała dawniej do Akademii Sztuk Pięknych. Nie powiedziała tylko gdzie. Przyjechała do Paryża, aby nawiązać kontakty ze środowiskiem malarzy. Jeśli o to chodzi, to mógłbyś jej chyba pomóc, prawda?

– Och, mam inne kłopoty na głowie, naprawdę, nie bierz mi tego za złe!

– Ale czy mimo to nie mógłbyś dowiedzieć się dyskretnie czegoś na jej temat?

– Możesz śmiało zrobić to sama. Kilka zręcznych pytań i będziesz wiedziała wszystko. Spotkasz się z nią w ten czwartek?

– Miałam już zamiar odwołać spotkanie. Ale jest jeszcze ta sprawa z jej powieścią, której początek dała już do przepisania na maszynie, abym mogła ją potem przeczytać.

– Może ograniczy się do tego, że odda maszynopis.

– Och, to by nie było ładne z jej strony. Ale i tak będę ją trzymała na dystans.

Czwartek był więc dniem oczekiwanym z olbrzymią niecierpliwością. Emilienne zorientowała się, że wiem o tym.

- Za kogo ty mnfe uważasz? Przysięgam, że jeszcze przed dwa tygodniami coś takiego nie postałoby mi w głowie. Teraz zaś, no tak, myślę o tym, zastanawiam się, czy mam przepuścić okazję zyskania przyjaciółki, której tak bardzo mi brakowało.

W czwartek, o umówionej porze, Adilee - cóż za wyrefinowanie! - telefonicznie odwołała spotkanie, przesłała jednak dalszy ciąg tekstu. Emilienne wróciła do domu wzburzona.

– Źle zrobiłam - powiedziała - że zajęłam się tą beczelną dziewczyną. Nie dość tego, że nie przyszła do wydawnictwa, ale dostarczyła kolejne strony powieści, gdzie w stosunku Mnais i Phyllocis coś się już psuje. Zazdrość młodej Greczynki staje się coraz bardziej natarczywa, zerwanie wprost wisi w powietrzu. Całość zdaje się zmierzać ku niesmacznej tragedii.

– A na czym to się wtedy skończyło?

– Phaon spotyka obie przyjaciółki w gaju oliwnym tuż po tym, kiedy ostatecznie przypieczętowały swój związek, i grozi, że porzuci żonę.

Zacząłem czytać dalej:

Ta groźba dała Phyllocis wiele do myślenia, nie przeszkodziła jej jednak w tym, by już nazajutrz przyjąć u siebie Mnais, korzystając z normalnej o tej porze dnia nieobecności Phaona. Na szczęście w chwili, gdy jej bystry pan i władca wrócił do domu, pokazywała dopiero klejnoty i materiały. Phaon zgrzytnął zębami i oświadczył, że jeśli zostanie w gineceum jeszcze choć raz niepożądanego gościa, rozbierze Mnais do naga, postawi pod śliwą przodem do pnia, przywiąże do drzewa i podda tak silnym pchnięciom, że wszystkie owoce spadną na ziemię.

Tak oto miały się sprawy, kiedy Phyllocis, nie zamierzając poświęcać swej miłości, postanowiła zwierzyć się światłej Anactorii.

Dawna towarzyszka Safony nie oddawała się uciechom Afrodyty już od dłuższego czasu, zachowała jednak upodobanie do owych tak dobrze jej znanych igraszek. Była nawet skłonna osłaniać miłośki swoich nauczycielek i uczennic, o ile tylko nie cierpiała na tym dyscyplina. I w ten sposób Mnais i Phyllodocis zaczęły spotykać się w wolnych chwilach pomiędzy zajęciami w ustronnych pomieszczeniach szkoły, gdzie bez przeszkód mogły oddawać się upojnej idylli. Niekiedy otrzymywały zgodę na przebywanie w sypialni Anactorii, która jednak w takich przypadkach zastrzegała sobie prawo do przyglądania się ich rozkoszom.

Minęły trzy miesiące, a młode kochanki gorliwie wykorzystywały ten czas na doskonalenie owej jakże słodkiej sztuki pieszczot. Namiętność przepelniała je do tego stopnia, że każdorazowe rozstanie oznaczało potok łez: łez, których ślady nie mogły ujść uwagi Phaona, zaalarmowanego i tak coraz późniejszym powrotem żony do domu. Jego zazdrość nie mogła jednak znaleźć żadnego wiarygodnego potwierdzenia - do momentu, kiedy Mnais uczyniła pewien nierozważny krok: zatraciwszy się w upojnym szale miłości, wbiła swoje ostre paznokcie tak mocno w delikatną skórę na plecach Phyllodocis, że ani maść ani puder nie zdołały potem zakryć śladów. Phaon wpadł w gniew, chwycił nawet za kij, i dopiero taka argumentacja, bardziej widocznie skuteczna od dotychczasowych perswazji, sprawiła, że jego żona zaczęła dygotać ze strachu.

- Posłuchaj - powiedziała następnego dnia do Mnais po jeszcze gorętszym uścisku niż zazwyczaj - obawiam się, że będziemy musiały

się rozstać. Nie mogę dłużej przychodzić do domu i narażać się na to, że szlachetny Phaon zajrzy mi pod

peplos i dostrzeże ślady twych pocałunków. W końcu zwróci swój gniew przeciw tobie i - mówiąc jego językiem - potraktuje cię, nagą i przywiązaną do drzewa, w taki sposób, jaki ubóstwiają jedynie urodziwi młodzieńcy. Uwierz mi, będzie lepiej, jeżeli zaczniemy spotykać się rzadziej - aż jego podejrzenia pójdą w zapomnienie.

- Jak możesz? - wykrzyknęła Mnais. - Och, nie wypowiedziałabyś tych okrutnych słów kilka minut temu, kiedy twe drżące wargi błagały o moje pocałunki! Bądź

pewna, że kiedy twa żądza zbudzi się na nowo, zaczniesz żałować, żeś zaczęła tę nieszczęśliwą rozmowę, ale wtedy będzie już za późno: nie odnajdziesz mnie

więcej!

Zwróciłem Emilienne kartki z przeczytanym tekstem. - Ale ja nie jestem tak zazdrosny jak Phaon - powiedziałem. - Musisz to wziąć pod uwagę. Zresztą to Mnais mówi pierwsza o pożegnaniu, nie Phyllodocis. A jeśli to opowiadanie, które nie jest jeszcze ukończone, nie podoba ci się, to przecież wystarczy, jeżeli zwrócisz je autorce.

- Ależ ono jest jedynym środkiem, jaki mam, by utrzymać z nią kontakt!

Naiwna! Naprawdę myślała, że tylko w ten sposób może sprawić przyjemność tej

uroczej dziewczynie! Adilee natomiast okazała się na tyle wyrafinowana, by zamilknąć na całe dwa tygodnie. Tom „W cieniu zakwitających dziewcząt“ z nocnego stolika, Emilienne była zbyt rozdrażniona, bym mógł się odważyć na

podjęcie tego tematu. Dopiero w następną niedzielę powiedziała:

- Teraz już wiem, dlaczego mężczyźni twierdzą zawsze, że na kobietach nie można polegać. Wyobraź sobie teraz mężczyznę, który byłby na serio zakochany w Adilee: jego życie przypominałoby chyba piekło.

W tej sytuacji poczułem się zmuszony do zbesztania mej kochanki, gdy tylko spotkaliśmy się w poniedziałek:

– Wyraziłem zgodę, byś przypodobała się Emilienne, nie prosiłem cię jednak, byś ją dręczyła.

– Cierpliwości, cierpliwości - odparła Adilee. - Zaufaj mi.

dy Mnais uczyniła pewien nierozważny krok: zatraciwszy się w upojnym szale miłości, wbiła swoje ostre paznokcie tak mocno w delikatną skórę na plecach Phyllodocis, że ani maść ani puder nie zdołały potem zakryć śladów. Phaon wpadł w gniew, chwycił nawet za kij, i dopiero taka argumentacja, bardziej widocznie skuteczna od dotychczasowych perswazji, sprawiła, że jego żona zaczęła dygotać ze strachu.



– Posłuchaj - powiedziała następnego dnia do Mnais po jeszcze gorętszym uścisku niż zazwyczaj - obawiam się, że będziemy musiały się rozstać. Nie mogę dłużej przychodzić do domu i narażać się na to, że szlachetny Phaon zajrzy mi pod peplos i dostrzeże ślady twoich pocałunków. W końcu zwróci swój gniew przeciw tobie i - mówiąc jego językiem - potraktuje cię, nagą i przywiązaną do drzewa, w taki sposób, jaki ubóstwiają jedynie urodziwi młodzieńcy. Uwierz mi, będzie lepiej, jeżeli zaczniemy spotykać się rzadziej - aż jego podejrzania pójdą w zapomnienie.

– Jak możesz? - wykrzyknęła Mnais. - Och, nie wypowiedziałabyś tych okrutnych słów kilka minut temu, kiedy twoje drżące wargi błagały o moje pocałunki! Bądź pewna, że kiedy twoja żądza zbudzi się na nowo, zaczniesz żałować, żeś zaczęła tę nieszczęśliwą rozmowę, ale wtedy będzie już za późno: nie odnajdziesz mnie więcej!

Zwróciłem Emilienne kartki z przeczytanym tekstem. - Ale ja nie jestem tak zazdrosny jak Phaon - powiedziałem. - Musisz to wziąć pod uwagę. Zresztą to Mnais mówi pierwsza o pożegnaniu, nie Phyllodocis. A jeśli to opowiadanie, które nie jest jeszcze ukończone, nie podoba ci się, to przecież wystarczy, jeżeli zwrócisz je autorce.

- Ależ ono jest jedynym środkiem, jaki mam, by utrzymać z nią kontakt!

Naiwna! Naprawdę myślała, że tylko w ten sposób może sprawić przyjemność tej uroczej dziewczynie! Adilee natomiast okazała się na tyle

wyrafinowana, by  
zamilknąć na całe dwa tygodnie. Tom „W cieniu zakwitających  
dziewcząt“ zniknął z  
nocnego stolika, Emilienne była zbyt rozdrażniona, bym mógł się  
odważyć na podjęcie tego tematu. Dopiero w następną niedzielę  
powiedziała:

- Teraz już wiem, dlaczego mężczyźni twierdzą zawsze, że na  
kobietach nie można  
polegać. Wyobraź sobie teraz mężczyznę, który byłby na serio  
zakochany w Adilee:  
jego życie przypominałoby chyba piekło.

W tej sytuacji poczułem się zmuszony do zbesztania mej  
kochanki, gdy tylko spotkaliśmy się w poniedziałek:

– Wyraziłem zgodę, byś przypadobała się Emilienne, nie  
prosiłem cię jednak, byś ją dręczyła.

– Cierpliwości, cierpliwości - odparła Adilee. - Zaufaj mi.

Czy naprawdę muszę cię pouczać, w jaki sposób należy  
traktować kobiety? Zarzuciłeś mi kiedyś, że zaczęłam z nią zbyt ostro.  
Zapomniałam ci powiedzieć, że moim zdaniem ten postępuje mądrze  
pod względem taktycznym, kto w takich sprawach decyduje się na  
śmiały wypad do przodu, a potem przystępuje do odwrotu. W ten  
sposób wzbudza się nadmiar uczucia, a następnie ból po swoim  
odejściu. Kiedy zaś zjawia się z powrotem, partnerka rzuca się z  
zachwytem na to, co przedtem ją przeraziło.

- Ileż mądrości w tak młodym wieku! - pokręciłem głową.

- Ech, z wiekiem ludzie tylko stają się głupszy. A więc moje milczenie niepokoi ją, czy tak?

- Wydaje mi się, że ją męczy.

- Miło mi to słyszeć!

Następnego dnia zadzwoniła i zapytała o ocenę napisanych przez nią ostatnich stron. Emilienne poinformowała ją suchym tonem, że oczekuje jej w czwartek koło południa, o ile oczywiście nie chodzi tu o jakiś żart.

- Czy mam iść? - zapytała mnie w środę swawolna Adilee, kiedy spoczywaliśmy na kanapie. - Robię to tylko dla ciebie!

- Powiedzmy, że to prawda - uśmiechnąłem się i ucałowałem ją czule. - Ja jednak odnoszę wrażenie, że z naszej trójki właśnie ty jesteś tym najbardziej zainteresowana.

- Przyznaj się, że masz chrapkę na to, by zobaczyć nas obie razem.

Nie było innej rady; musiałem okazać jej swój zachwyt w ten sam sposób, w jaki udowodniłem to Emilienne.

Decydujące kroki

W czwartek, 19 lutego o godzinie pierwszej, moja żona wpadła do domu, rozpromieniona na twarzy.

- Tym razem przyszła na spotkanie i wywarła na mnie o wiele lepsze wrażenie, niż przedtem. Była porządniej ubrana, zachowywała się bardziej normalnie i mówiła dużo rozsądniej. Myślę, że zrobiłam słusznie, przetrzymując ją trochę. Jeśli chodzi o nowelę, to spuściła z tonu i powiedziała tylko, że będę zaskoczona rozwiązaniem intrygi. Jest

zresztą skłonna zmienić zakończenie w taki sposób, żeby opowiadanie mogło zostać wydrukowane.

- Myślę, że taka ustępliwość przystoi debutantce. A kiedy spotkacie się znowu?

- W sobotę wieczorem, u „Lippa“. Tym razem na czysto przyjacielskiej stopie. Ale zastanawiam się teraz, czy rzeczywiście miała na myśli to, co jej przypisywałam. Z trudem namówiłam ją, by dała mi dla wydawnictwa swoje zdjęcie, och... prawie tak małe, jak paszportowe. Mam je chyba nawet w torebce. O, oto ono, ale muszę cię uprzedzić, że w rzeczywistości jest o wiele ładniejsza.

I pokazała mi trochę powiększone zdjęcie z automatu.

- Trudno tu coś powiedzieć - mruknąłem niedbale. - Na pierwszy rzut oka ta dziewczyna jest wcale, wcale, chociaż samo zdjęcie - okropne. Musiałbym zobaczyć oryginał.

Adilee natomiast pochwaliłem za powściągliwość. Bez ogródek przedstawiła mi swoją wersję spotkania.

- Teraz to ona czyni mi awanse. Wiesz, co mi powiedziała? Że moje prawdziwe powołanie to miłość lesbijska, powinnam ją jednak najpierw przeżyć, aby napisać tak wspaniałą książkę, jakiej się po mnie oczekuje. Stałam za nią, musnęłam dłonią jej ramię, a ona ujęła ją, aby przesunąć sobie na pierś. Muszę przyznać, że przy dotknięciu jej świeżego ciała przeniknęło mnie coś, jakby uczucie rozkoszy. Tobie to dobrze!

- A ty, co ty robiłaś?  
- Och, postarałam się tylko, by poczuła na karku mój oddech, i wyciągnęłam palec, jakbym chciała sięgnąć do jej piersi, ale nie zrobiłam tego.

- Jesteś naprawdę szatanem!  
- No, nie wiem, kto z nas obojga jest nim w rzeczywistości.  
- Powiedzmy, że jesteśmy wszyscy razem szatanem w potrójnej postaci.

- Ale, ale, mówiliśmy też o tobie. Wygląda na to, że od jakiegoś czasu zaniedbujesz trochę swoją żonę.

- Istotnie, to prawda, ale dziwię się bardzo, że rozmawiała z tobą o takich sprawach.

- Może zależy jej na tym, bym uważała ją za osobę sfrustrowaną. Według niej, cenisz kobiety kochające się w kobietach.

Sobota przyniosła zdecydowany postęp. Tak jak przedstawiła mi to Emilienne, Adilee przyszła do „Lippa“ z pewnym opóźnieniem i usiadła przy niej z lewej strony. Tłumacząc się żywo, położyła dłoń na kolanie swej nowej przyjaciółki i nie zdjęła jej już stamtąd. Według słów Adilee, Emilienne ściągnęła żakiet, aby zakryć nim natarczywą dłoń: była to zarazem wspaniała okazja do zademonstrowania swoich pięknych ramion. Rozmowa toczyła się, jak powiedziały mi obie, najpierw wokół stosunków między mężczyznami, a potem zeszła na temat kobiet. Emilienne przyznała, że jest pod tym względem zupełnym laikiem, a próbuje jednak ten rodzaj miłości, a nawet jest nim nieco zaintrygowana. Adilee powołała się na pewne doświadczenie z

przeszłości, które jednak musiałyby przeżyć jeszcze raz, aby móc sobie wyrobić jasny pogląd. Ich spojrzenia spotkały się; jedna i druga pożerały się wprost oczyma, Emilienne nerwowo ścisnęła pod żakietem dłoń Adilee, zabłąkaną przelotnie na jej gołym ramieniu, i odsunęła ją przezornie trochę dalej. Potem Emilienne zapłacała i obie wyszły, trzymając się pod rękę. Żadna z nich nie potrafiła stwierdzić, która pierwsza pocałowała przyjaciółkę na pożegnanie. Stało się to na rogu Rue du Cherche-Midi i Rue du Vieux-Colombier: skrzyżowaniu, które istotnie zasłużyło na to, by oznakować je czerwonym krzyżykiem. Jeśli chodzi o pocałunek, to każda z nich twierdziła, że nadstawiła policzek, ale trafiła przy tym na wargi drugiej. Nie posunęły się jednak dalej. Emilienne uciekła w popłochu, nie słysząc nawet pytania przyjaciółki o termin następnego spotkania.

W ten sposób opowiedziały mi o wszystkim najpierw Adilee, czekająca na mnie w pobliskim „Mefistofelesie“, a w godzinę później Emilienne, którą zastałem w domu z wypiekami na twarzy.

– Ma przyjemne usta! - dodała jeszcze Adilee, Emilienne natomiast:

– Nie wiedziałam, że tak wspaniałe są wargi kobiety!

Podniecenie sprawiło, że tego wieczoru była dosyć milcząca. Widocznie chciała rozważyć to, co się wydarzyło w samotności. W nocy zauważyłem, że wykonuje gwałtowne ruchy, ale nie dotyczyły one mnie.

Kiedy spotkałem się z Adilee na Rue de Tournon, natychmiast zaczęła mnie wypytywać o reakcję Emilienne, sama była jednak

podniecona w znacznie mniejszym stopniu.

- Wydaje mi się, że teraz mogłabym zrobić z nią wszystko, na co miałabym ochotę

- oświadczyła. - Chyba nie masz nic przeciwko temu? - Nie mogłem zdobyć się na żadną odpowiedź, tak zagmatwane i sprzeczne były moje uczucia. Z jednej strony odczuwałem pewną satysfakcję, ale z drugiej - również strach. Na kolejne

spotkanie obu kobiet nie czekałem już z taką niecierpliwością, wydawało mi się, że po tym szaleństwie całej naszej trójce przyda się kilka dni wytchnienia.

Emilienne snuła się po domu jak błędna owca, niekiedy siadała, by przeczytać coś lub przyszyć, potem znowu odkładała na bok książkę czy robótkę, wpatrywała się w okno rozmarzona i milcząca. Ale Adilee przystąpiła wkrótce do następnego ataku:

- Noszę jeszcze w sercu pocałunek twojej żony - powiedziała w tydzień później.

- Czyżbyśmy miały na tym poprzestać?

- Myślę, że jest trochę oszołomiona. Daj jej dojść do siebie.

Wszelkie naciski mogą tylko wszystko popsuć.

Trzy dni po tej rozmowie otrzymała od Emilienne ten oto list:

„Poniedziałek, 1 marca. Urocza przyjaciółko!

Czyż to możliwe, że zapomniała Pani o mnie tak prędko? Istnieją sprawy, których nie potrafię już pojąć, ale jeśli przywiązuje Pani do nich wagę choćby w dziesiątej części taką jak ja, proszę spotkać się ze mną i pomóc mi zastanowić się nad nimi. Niech Pani odwiedzi mnie w piątek o czwartej. Claude’a nie będzie w domu: to jego „dzień wyjść“. Phyllodocis chętnie powita swoją Mnais. Z całego wzburzonego serca pozdrawiam Panią, moja czarująca przyjaciółko. Emilienne.“

– No i co? - zapytała Adilee, składając liścik. - Co o tym myślisz? Czy nie uważasz, że i mnie należy się za to „dzień wyjść“?

– Słusznie. Zresztą ja też nie wyjdę na tym źle.

Nie mogłem już nic zrobić, aby zapobiec tej ryzykownej rozmowie. Nastął piątek, a kiedy wybiła czwarta, serce zaczęło walić mi w piersi jak oszalałe. Po obiedzie opuściłem Emilienne. Widać było, że jest zaaferowana czekającą ją wizytą, przy czym bardziej troszczyła się o własny wygląd niż o nakrycie do stołu. Nie bez rozczulenia dostrzegłem, że wyjmuje z szafy czarną, tiulową bluzeczkę, którą zakładała nieraz na gołe ciało, kiedy mieliśmy się kochać. Przewiesiła ją przez krzesło i założyła stanik z czarnego jedwabiu. O wpół do piątej, nie mogąc znieść już dłużej tego napięcia, wskoczyłem do samochodu, a potem, niczym złodziej, zakradłem się pod własny dom i wszedłem na górę po schodach, na których silne perfumy Adilee pozostawiły odurzający ślad. Kiedy dotarłem do ostatnich stopni - trzymając się



poręczy, by uniknąć wszelkiego hałasu - brzmienie ich głosów trafiło mnie niczym silny cios w żołądek: dobiegały nie z salonu, lecz z naszej małżeńskiej sypialni. Nadstawiłem ucha, odważyłem się podejść bliżej: ale w tym momencie ich rozmowa miała czysto platoniczny charakter. Adilee mówiła o swoich planach literackich,

Emilienne - o pracy w wydawnictwie. Potem nastąpiła cisza, jakby słowa zostały zastąpione przez gesty. Przeciągającą się przerwę w rozmowie zmały raptem jakieś westchnienia, tłumione okrzyki, szelest rozdieranego materiału. Drzwi otworzyły się gwałtownie i za ledwie zdołałem skryć się za załomem muru, gdy Adilee wypadła na schody i zbiegła szybko na dół. Dostrzegłem jeszcze jej przekrzywiony kapelusz na potarganych włosach i zsuniętą z ramion suknię, którą usiłowała poprawić sobie rozdygotanymi rękami. Przeleciała przez ogród, otworzyła furtkę i zatrzasnęła za sobą, nie odwracając się nawet. Dopiero wtedy zszedłem po schodach i wróciłem pół godziny później, jak gdyby nigdy nic. Żonę zastałem z chusteczką w dłoni; spod poszarpanego tiulu sterczała jedna pierś, drugą stanik okrywał tylko w połowie, podkreślając swą czernią biel ciała. Szlochała, jej wargi były rozchylone.

— Gdzie Adilee...? - zapytałem.

— Już wyszła. A ja chciałam tak zostać, żebyś sam to zobaczył: przyjąłem ją w tej bluzce - i oto, co z nią zrobiła.

Padłem na kolana i z trudną do opisaną czułością ucałowałem twarde, sterczący pączek jej piersi.

Zasiedliśmy do kolacji. Emilienne, już uspokojona, zaczęła



- Kocham ją, wiesz - szepnęła, przywierając wargami do moich ust z niespotykaną u niej dotąd siłą. - Kocham ją, tak jak kocham tylko ciebie, w inny sposób, ale też całym sercem.

Z Adilee spotkałem się tuż przed południem. Jeszcze wzburzona opowiadała:

- Byłam bardziej śmiała, niż się tego po sobie spodziewałam. Zresztą Emilienne ułatwiła mi sprawę, otworzyła mi drzwi odziana tylko w tiulową bluzkę, przez którą mogłam prawie dojrzeć piersi. Ale kiedy odważyłam się natrzeć na nią, poczułam coś dziwnego: zrozumiałam, że mogę za bardzo ją skrzywdzić... albo też za bardzo

uschęśliwić. Uciekłam stamtąd jak szalona, nie mogłam zasnąć, muszę ci powiedzieć, że jeszcze teraz nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Spróbuj mnie zrozumieć: nie ma to znaczenia, jeśli zadaję się z jakąś zwykłą dziewczyną, ale sprawa nabiera innego wymiaru, kiedy wciągam w to kobietę określonej wartości, kobietę, która traktuje to na serio. Wolałabym nie spotkać się z nią nigdy więcej.

- Och, tylko nie to! To by ją zabiło!
- Gdyby przynajmniej ciebie nie było...
- Cóż to znaczy?

– Chciałam powiedzieć: gdybym mogła ją pokochać. Ale ponieważ kocham tylko ciebie, czuję, że postąpię podle, jeśli rozkocham ją w sobie. Może byłoby lepiej skończyć z tym wszystkim?

– A co się właściwie wydarzyło?

– No więc otworzyła mi drzwi, ubrana w tę prowokującą bluzkę. Poczułam, że nogi uginają mi się w kolanach... Zrozumiała! Zaprosiła mnie na kanapę w sypialni i usiadła obok mnie. Zaczęła paplać coś nieistotnego, ale mówiąc, przechyliła się w tył, wypięła piersi... Nalała mi trochę porto, a kiedy podała mi kieliszek, dotknęła umyślnie mojej dłoni. Potem odstawiliśmy kieliszki, ona położyła dłoń na mojej ręce i spojrzała mi głęboko w oczy. Byłam wstrząśnięta, nie mogłam się

już opanować, rzuciłam się na nią. Jeśli mam być szczerą, obawiam się, że musiałam ją niezłe potarmosić, kiedy dobrałam się do jej piersi. Ale ona prawie straciła przytomność i wtedy poczułam strach. Pocałowałam ją w ramię, może nawet ugryzłam, a potem uciekłam, nie żądając od niej niczego więcej.

– Co za maniery! Nie mówię tu o stanie jej zmysłów, w jaki ją wprawiałaś i w jakim ją zastałem...

– Mam nadzieję, że wykorzystałaś to w należyty sposób!

– Ale mam na myśli stan jej duszy. Zaklinam cię na wszystko, przyjdź chociaż jeszcze raz, aby się z nią pożegnać. Przecież ona płakała przez całą noc! Adilee nie zdołała powstrzymać się przed okazaniem triumfu:

– A nie mówiłam: doprowadzę do tego, że będzie leżała u

mych stóp!

Widocznie jednak i ona była tym przejęta; zjawiała się bowiem bez uprzedzenia jeszcze tego samego dnia. Niewiele dowiedziałem się o tym spotkaniu, ale wieczorem Emilienne była już o wiele bardziej spokojna i pogodna. Adilee przypieczętowała swój podbój z poprzedniego dnia, wyjaśniła mej żonie czule, że nie powinna się niczego obawiać i pocałowała ją na dobranoc, szepcząc przy tym:

- Kocham cię. - Jedno nie uległo wątpliwości: Algierka była najwidoczniej bardziej skłonna brać, niż dawać. Obie umówiły się na godzinę trzecią w najbliższy wtorek.

27

Zawieszenie broni

Zachowanie Emilienne w niedzielę, 7 marca, którą spędziłem z nią raczej jako

powiernik niż małżonek, zaprzątnęło mą wyobraźnię bez reszty. W nieskrywanym

podnieceniu demonstrowała jeden po drugim najbardziej żywe przejawy wszelkich

możliwości uczuć. Podczas obiadu w „Rela au Montmartre“ zamęczała mnie

pytaniami:

– Ciekawe, jak ona żyła do tej pory? A jak żyje teraz? Och, umarłabym, gdyby się okazało, że zadaje się z mężczyznami, albo, co

gorsza, z inną kobietą. Potem znów podejmowała motyw upojnego wstydu.

– To dziwne uczucie, wiedzieć od kilku dni, kim się naprawdę jest.

– A cóż w tym takiego okropnego? Staraj się przynajmniej znosić swą namiętność z godnością!

– Powiedziałeś: namiętność? Och, od trzech tygodni chodzę jak lunaticzka. Nigdy nie myślałam, że mogłabym być tak rozpustna, tak wyuzdana. To straszne! Czy naprawdę sądzisz, że powinnam posunąć się dalej? Czasem boję się samej siebie, ale jest to strach połączony z rozkoszą. Ja, Emilienne de K. de T. de S. de N. - okazałam się kobietą, która kocha kobiety! A więc ta istota, którą widzę teraz w lustrze, to lesbijka. Ja, która zawsze zastanawiałam się, skąd w ogóle takie potwory biorą się na tym świecie!

– Jeszcze nią nie jesteś, najdroższa - sprostowałem łagodnie. - Zrobiłaś zaledwie kilka kroków w stronę tego tajemniczego królestwa. Uwierz mi, aby zasłużyć na to miano, jakie przed chwilą wymówiłaś, trzeba uczynić o wiele więcej.

– Wielki Boże, jak więc daleko trzeba się posunąć?

– Nie wiem, ale wydaje mi się, że robisz zbyt wiele hałasu z powodu jednej obnażonej piersi.

– Nie próbuj mnie uspokoić, panie wolnomyślicielu, zbyt lekko do tego podchodzisz!

– Myślę, że podchodzę do tego tak jak należy.

– A więc dla ciebie znaczy to tak mało? Myślałam, że

będziesz przynajmniej pod pewnym wrażeniem!

– Co ty wiesz!

– Nie jesteś nawet zazdrosny, jak widzę, a raczej spokojny, chłodny. Może nie powinnam była opowiadać tych okropności tobie, mojemu jednemu przyjacielowi.

– Czy nie zauważyłaś, moja droga, że kocham cię jeszcze mocniej, że darzę cię uczuciem jeszcze świeższym - teraz, kiedy opowiedziałaś mi te „okropności“?

Wcale nie kłamałem. Kiedy przyciągnąłem ją do siebie, aby musnąć ustami jej kark, zdałem sobie sprawę, że jestem szczery. Emilienne dała mi do zrozumienia, że inni patrzą na nas, kontynuowałem więc pocałunek słowami:

– Najdroższa, dla mnie również te dni są czymś tak oszałamiającym, że nie wiem jak się zachować. Tyle tylko, że dla mnie osobiście Adilee nic nie znaczy.

– Widziałeś po prostu nieodpowiednią fotografię. Ta jest lepsza, w pięknej ramce. Dostałam ją wczoraj po południu i nie zdążyłam ci jeszcze pokazać. Znałem już to zdjęcie w formacie pocztówkowym. Miałem je nawet. Tak więc najbardziej zainteresowała mnie dedykacja wypisana na odwrocie: „Dla Emilienne, na pamiątkę objawienia z dnia 5 marca, od jej Adilee“. (Zdjęcie, które ja

miałem, nosiło datę objawienia, jakie dwanaście miesięcy wcześniej stało się jej udziałem dzięki mnie.)

– Jeśli mam być szczery - powiedziałem, oddając jej fotografię - nie sądzę, by wyglądała tu ciekawiej niż na tamtym zdjęciu, które

pokazałaś mi wtedy. A tak na marginesie, to nawet lepiej, że ona mnie wcale nie pociąga.

– Może się mylisz? Moim zdaniem Adilee jest typem, który skusiłby nawet mężczyznę. Ale wróćmy do tamtej sprawy: kto jeszcze, prócz mnie, może istnieć w jej życiu? Zadałam jej tyle pytań, ale nie odpowiedziała na nie. Często chodzi do kawiarni, co mnie trochę niepokoi, a ta Akademia Sztuk Pięknych - też nie jestem tym zachwycona. Obraca się w środowisku, gdzie miłość traktowana jest nadzwyczaj lekko, a poza tym nie jest już dziewicą. Kiedy zapytałam ją o to, zaśmiała się tylko i odparła: „A ty?“ Właśnie wtedy po raz pierwszy powiedziała mi „ty“. Sądzisz, że ma kochanka, takiego prawdziwego? Och, to by było okropne! Wróciliśmy do domu, gdzie - zgodnie z naszym zwyczajem - chciałem wykorzystać niedzielny odpoczynek poobiedni, by dać upust swej żądzy.

– Ach, nie, nie dzisiaj, proszę cię. To by nie było w porządku wobec niej! Muszę ją najpierw zapytać, co o tym myśli. Nie, nie, chyba oszalałam, weź mnie w ramiona. Albo nie, nie! A zresztą zrób tak, jak ci nakazuje intuicja. Ostatecznie okazałeś się bardzo wielkoduszny, że kochasz jeszcze taką lesbijkę, jak ja. Kocham cię stokroć bardziej, odkąd wyznałam wszystko, ale spróbuj mnie zrozumieć: w tej chwili czuję się szczęśliwa tylko wtedy, kiedy myślę o niej. Jej prowokacyjne niezdecydowanie zdawało się nie mieć końca, zbudziło też we mnie dziką namiętność, w której jednak zazdrość

dała tak silnie znać o sobie, że zacząłem się zastanawiać, czy nie należałoby zmącić trochę jej spokoju.



– Przecież ty pierwsza martwiłaś się przedtem, że nie wiesz o niej nic. Nie możesz więc ręczyć za jej życie prywatne.

– Nie mów tak, w każdym razie to dziewczyna z dobrego domu, należycie wychowana, wykształcona. Cokolwiek istnieje w jej życiu, jestem przekonana, że jest to szlachetne i uczciwe. Wystarczy przyjrzeć się jej manierom.

– A więc nic już więcej nie powiem.

– Nie, nie, mów, proszę!

Zorientowałem się, że sprawiam jej zbyt duży ból, musnąłem więc ją przelotnym pocałunkiem i poszedłem do swego pokoju, gdzie pozostałem do kolacji, a potem aż do północy. Kiedy wszedłem do łóżka, Emilienne udawała, że śpi. Piekącą żądzą, jaką odczuwałem wobec niej, pozostało mi więc ugasić następnego dnia u jej przyjaciółki. Ale, o dziwo! Adilee wcale nie korzystała tak bardzo z naszych układów. To Emilienne zawładnęła moimi zmysłami, pobudzonymi widocznie bardziej przez wzrastającą coraz bardziej deprawacją mojej żony, niż przez wyuzdanie kochanki. Powiedziałem do Adilee z wyrzutem:

– Dopięłaś swego, nawet za bardzo. Emilienne jest całkowicie wytrącona z równowagi. Mimo to znowu wziąłem ją w ramiona.

– To nie fair - szepnęła Adilee. - Ona powinna chyba wiedzieć, że...

– Że masz kochanka?

– Och, przecież nie powiedziałabym jej, że to ty. Bądź spokojny!

– Tego by tylko brakowało! Przecież sama wiadomość, że masz kochanka, kimkolwiek by on był, podziała na nią jak grom z jasnego nieba. Zanim zdradzisz jej najmniejszy nawet sekret, spróbuj posunąć sprawy do przodu, w przeciwnym razie zranisz ją i zepsujesz wszystko. Ale co ze mną? Czy będę stale stał na uboczu? Jutro na przykład...

– Do czego zmierzasz?

– Jutro mógłbym przecież złożyć wam krótką wizytę.

– Jesteś okropny. Czy chcesz wszystko zepsuć?

– Wcale nie. Nie mam najmniejszego zamiaru włączać się w wasze igraszki. Chciałbym tylko móc się wam przyjrzeć, tak żebyście wy mnie nie widziały.

– Skoro tak... a więc przyjdź później, dużo później i spróbuj podejrzeć nas w pokoju... jeżeli nie będzie zamknięty. Ale zaklinam cię, nie zdradz się, że tam jesteś, w żadnym wypadku! Jakoś wykrzesalem z siebie płomień namiętności, by zapłacić za

to doniosłe upoważnienie. Czyż Adilee nie musiała być przeświadczona, że to ona jest bohaterką tej przygody i że jej władza nad moją żoną umocniła jej władzę nade mną? Zrobiłem wszystko, by była tego tak pewna, jak nigdy. I w ten sposób nadrobiła choć trochę tę przewagę, jaką miała nad nią jej rywalka i partnerka zarazem. Wielki dzień

W poniedziałek wieczorem Emilienne, uszczęśliwiona, otrzymała liścik od Adilee.

„Niedziela

Piękna, piękna przyjaciółko,  
chciałabym ci powiedzieć, z jakim utęsknieniem czekam, by  
była już trzecia

godzina we wtorek. Pragnę Twych wspaniałych piersi, marzę - z  
pewnością

domyślałaś się tego - by zobaczyć z nich trochę więcej. Cóż za  
okropna

niedziela! Jestem tu sama, a Ty spędzasz czas z mężem i może  
nawet już mnie z

nim zdradziłaś! O, nie, nie zrobisz tego, prawda? Widzisz  
chyba, ile miłości

jest w sercu, i ile zawstyżenia na twarzy Twojej

Adilee.“

We wtorek po południu, kiedy przyszedłem do domu, Emilienne  
była już po kąpieli;

świeża i pachnąca. Miała na sobie wyjściowy kostium - jednak  
bez pończoch, na

łóżku natomiast leżała niebieska sukienka, zwiewna i śmiało  
wydekoltowana, a na

krześle - otwarte pudełko ze złotymi pantofelkami. Nigdzie nie  
widziałem

pończoch. Samotna róża stojąca w wazonie miała zapewne  
ozdobić jej piersi lub

włosy. Wychodząc, pocałowałem żonę na pożegnanie i  
poczułem, że nie ma na sobie

pasa.

– Masz zamiar tak ją przyjąć? - zapytałem.

– Czemu nie?

Nie odpowiedziałem, ale coś ścisnęło mnie w środku. Kiedy doszedłem do Butte Montmartre (nie odważyłem się pójść do biura), moja niecierpliwość osiągnęła granice wytrzymałości. W drodze spotkałem Adilee.

– A więc, tak jak się umówiliśmy? - zapytałem.

– Tak, ale pamiętaj: nie przed piątą.

Po czwartej byłem już u kresu sił; chyba z dziesięć razy przewęd-rowałem ogrody tam i z powrotem. Wróciłem więc pod dom. Okna w sypialni były zasłonięte. Ostrożnie, na palcach wszedłem na górę i nacisnąłem klamkę. Na próżno. Nie dało też nic zagłądanie przez dziurkę; tkwił w niej klucz. Za drzwiami panowała cisza, tak jakby w środku nie było nikogo. Dopiero po chwili usłyszałem ciche skrzypienie materaca. Zamarłem, z dłonią na sercu, które waliło jak oszalałe. Nie śmiałem nawet wyobrazić sobie tego, czego nie byłem w stanie zobaczyć. Materac skrzypiał nadal. Wybiła piąta. Teraz usłyszałem, jaka para bosych stóp staje na parkiecie, ktoś napełnił kieliszek, wypił, odstawił go, lekkie kroki zbliżyły się do drzwi i klucz powoli przekreślił się w zamku. Znalazłem się w beznadziejnej sytuacji: byłem zbyt podniecony, by ruszyć się z miejsca. Na szczęście kroki oddaliły się z powrotem. Materac skrzypiał, tak jakby ktoś wszedł do łóżka, i dopiero wtedy zacząłem bardzo powoli naciskać klamkę. Kiedy uchyliłem drzwi i zajrzałem przez szparę, moim oczom ukazało się wspinałe

widowisko.

Okna były szczelnie zasłonięte, na nocnym stoliku płonąła różowa lampa, podkreślając swym blaskiem rubinową czerwień portweinu. Emilienne, zwrócona twarzą do ściany, i Adilee, wtulona w nią, leżały plecami do mnie. Moja kochanka odrzuciła nogą kołdrę, za jej śniadą postacią widziałem jasne ciało żony, jej pełne biodra, lewą pierś i krągłe pośladki, przywarte do brzucha i ud partnerki. Rozpuszczone włosy, ciemne i blond, kłębiły się na karkach. Silna, jasna dłoń ścisnęła niewielkie, szafranowe piersi, aby nie dopuścić do przerwania kontaktu odprężonych ciał. Po chwili Adilee delikatnie wsunęła głowę pod jasną pachę, ujęła oburącz policzki Emilienne, która obróciła się trochę ku niej, przylgnęła ustami do jej warg i poczęła ssać je tak zachłannie, jakby zamierzała je połknąć. Szeroki język żony oswobodził się nagle, ale natychmiast splótł się z nim wąski, ciemny język Algierki, liżąc lubieżnie całą jego powierzchnię. Emilienne, zelektryzowana pocałunkami i ogarnięta ponownie żądzą, odwróciła się już zupełnie i ku mojemu wielkiemu rozczerowaniu - zakryła się skromnie kołdrą. Ale Adilee bezwstydnie zrzuciła ją z powrotem, aż po kolana. Obie położyły się teraz na wznak, a ciemny palec mojej kochanki zanurzył się w głębi jasnego kokonu. Ręka zaczęła wykonywać rytmiczne pchnięcia, na co Emilienne odpowiadała spazmatycznymi ruchami brzucha, w górę i w dół, w przód i w tył, węzowymi skrętami. Emilienne nie otwierała oczu, aż wreszcie przeciągłym okrzykiem, który próbowała stłumić przygryzając dłoń, obwieściła, że doznała szczytowej rozkoszy. Adilee spojrzała mi w

oczy; w jej wzroku widniał niewypowiedziany triumf.

W uniesieniu zatarłem ręce, ale Adilee przyłożyła palec do ust, nakazując mi, bym wyszedł. Drugą ręką obłudnie muskała powieki Emilienne. Potem wstała, wykrzyknęła: - Och, zapomniałam zamknąć! - podeszła do drzwi i przekreśliła klucz w zaniku. Przez krótką chwilę miałem możliwość ujrzeć to, czym tak często syciłem wzrok: szczupłe, nagie ciało, wąskie biodra z wyraźnymi śladami po objęciach, ciężkie piersi, nadmiernie powiększone obwódki wokół twardych, pomarszczonych,

chropowatych brodawek. W niepewnym świetle, padającym przez drzwi, dostrzegłem też połyskliwe, splątane loki czarnego owłosienia łonowego. Nawet perski kot zrobił teraz na mnie wrażenie: siedział przycupnięty na taborecie, wnosząc swym wibrującym mruzeniem intymny spokój w tę scenę o nienaturalnej piękności. Jakby w transie, poszedłem do biblioteki, mając nadal przed oczami ów niezapomniany widok. Moim udziałem stało się podwójne objawienie. Nie, do tej pory naprawdę nie miałem pojęcia, że kochając się z moją żoną można być tak szczęśliwym, nie wiedziałem, że Adilee może promieniować tak olbrzymią radością, kiedy przebywa z inną kobietą, nie przypuszczałem, że obie gracje, złączone w miłosnym uścisku, mogą mieć tyle niezrównanego wdzięku. Czyż znałem przedtem prawdziwe piękno? Czy piękno to mogłoby istnieć w jednej kobiecie, nawet najbardziej ponętnej? Jakże gorąco kochałem już tę parę, którą stworzyłem własnym podstępem.

Czułem, że w mej duszy zrywa się burza. Najchętniej

wyważyłbym tamte drzwi i wdarłbym się do mieszkania, ale wtedy zmaćiłbym intymną sytuację, jaka z pewnością trwała nadal, może nawet jeszcze gorętsza niż przedtem. Znalazłem w sobie dość siły, by odejść i zaczekać przy końcu ulicy.

O szóstej do furtki naszego ogrodzenia podeszła Adilee, odwróciła się, przesłała mojej żonie kilka całusów ręką i bez pośpiechu ruszyła przed siebie. Kiedy zbliżyła się do mnie, zaciągnąłem ją do kawiarni na Rue de Ravnac. Od razu zwróciła uwagę na nienaturalną błądź mojej twarzy.

- Co ci się stało? No jak, widziałeś nas? Jesteś teraz szczęśliwy czy teś wścikły?

- Szczęśliwy - odparłem - i to bardziej, niż mogę wyrazić słowami. Nie zapomnę ci tego do końca życia.

Płonałem chęcią ujrzenia Emilienne. Zastałem ją w salonie, gdzie siedziała w domowej sukience, jakby nigdy nic.

- Co nowego? - wykrzyknąłem.

- Nic - odparła, a w jej głosie i wyrazie twarzy widniała bezgraniczna wdzięczność. - Nic, prócz tego, że jestem szczęśliwa.

- Naprawdę?

- Podejdz bliżej, to opowiem ci troche... Kiedy czuję na dłoniach twoje ręce, jestem śmielsza... Przyszła wcześniej, w kostiumie, mocno uperfumowana. Miałam na sobie tę niebieską sukienkę, ale bez halki, i to chyba zrobiło na niej duze

wrażenie. Jeszcze przy drzwiach zauważyłam, jak płoną jej oczy.

– Czy sądzisz - zapytałam, całując ją - że jestem podobna do Phyllodocis z twojej historii?

– A ja - wdparła, rozpinając żakiet - czy jestem Mnais?

Pod spodem nosiła kremową, plisowaną bluzkę, zapiętą dosyć wysoko pod szyją. Zaczęłam gmerać przy guzikach. Wtedy odpięła mi szybko pasek (obie jeszcze stałyśmy), zadarła sukienkę do ramion i ściągnęła mi ją przez głowę, potem rozpięła stanik. Oprócz butów nie miałam już teraz na sobie nic, byłam goła jak Ewa. Jedną ręką podniosła z podłogi moje ubranie, a drugą zaczęła popychać mnie do sypialni. W lustrze na szafie zdążyłam jeszcze zauważyć nas obie: naga i ubraną. Ten kontrast był niesamowity.

- A ty? - zapytałam. - Nie zamierzasz się rozebrać? Uniosła spódnicę do tego miejsca, gdzie kończą się pończochy, a

zaczyna nagie ciało i odczepiła podwiązki. Patrzyłam, jak zsuwają się po jej udach, ona zaś podciągnęła spódnicę jeszcze wyżej i rozpięła pas, owiewając mnie rozkosznym zapachem Arabii. Opadłam na fotel i w nagłym porywie odwagi rozpięłam jej bluzkę, po czym ściągnęłam z ramion, aż opadła na zadartą do góry spódnicę. Potem rzuciłam się na jej stanik. Kiedy zaczęłam otwierać haftkę na plecach, zabrakło nam tchu. Wreszcie Adilee podniosła się, z gołymi piersiami, i zrzuciła z siebie resztę ubrania. Znowu spojrzałam w lustro: tym razem zobaczyłam tam dwie nagie kobiety - szczyt spełnienia. Nie wiem



nawet, która pociągnęła którą, ale po chwili obie tarzałyśmy się po łóżku, usta przy ustach, piersi przy piersiach. Jej wargi przesunęły się na moje sutki, jej dłonie okazały się jeszcze śmielsze... Ale nie, nie mogę ci powiedzieć, co potem ze mną robiła. Zresztą i tak domyślasz się chyba wszystkiego...

Nie mogłem już słuchać tego dłużej, to było ponad moje siły. Zacząłem całować ją jak opętany. Emilienne zdobyła się zaledwie na bierny pocałunek. Poprosiłem, by weszła do sypialni i założyła tamtą błękitną sukienkę - ten właśnie materiał zsunąłem jej z ramion, tak jak Adilee; tak jak Adilee rozpiąłem jej stanik, po czym w mgnieniu oka zrzuciłem z siebie ubranie. Spojrzałem w lustro, tak jak moja żona, po czym rzuciłem się na łóżko i wykorzystując jej trwający nadal letarg zmusiłem, by ułożyła się w takiej pozycji, w jakiej widziałem ją

przedtem. Cała miłość do Adilee nie przeszkodziła jej w tym, by uwieńczyć mój namiętny atak na jej ciało takim samym jak przy mojej kochance okrzykiem rozkoszy.

- Podejdź bliżej, to opowiem ci trochę... Kiedy czuję na dłoniach twoje ręce, jestem śmielsza... Przyszła wcześniej, w kostiumie, mocno uperfumowana. Miałam na sobie tę niebieską sukienkę, ale bez halki, i to chyba zrobiło na niej duże

wrażenie. Jeszcze przy drzwiach zauważyłam, jak płoną jej oczy.

— Czy sądzisz - zapytałam, całując ją - że jestem podobna do

Phyllodocis z twojej historii?

– A ja - odparła, rozpinając żakiet - czy jestem Mnais?

Pod spodem nosiła kremową, plisowaną bluzkę, zapiętą dosyć wysoko pod szyją. Zaczęłam gmerać przy guzikach. Wtedy odpięła mi szybko pasek (obie jeszcze stałyśmy), zadarła sukienkę do ramion i ściągnęła mi ją przez głowę, potem rozpięła stanik. Oprócz butów nie miałam już teraz na sobie nic, byłam goła jak Ewa. Jedną ręką podniosła z podłogi moje ubranie, a drugą zaczęła popychać mnie do sypialni. W lustrze na szafie zdążyłam jeszcze zauważyć nas obie: nagą i ubraną. Ten kontrast był niesamowity.

- A ty? - zapytałam. - Nie zamierzasz się rozebrać? Uniosła spódnicę do tego miejsca, gdzie kończą się pończochy, a

zaczyna nagie ciało i odczepiła podwiązki. Patrzyłam, jak zsuwają się po jej udach, ona zaś podciągnęła spódnicę jeszcze wyżej i rozpięła pas, owiewając mnie rozkosznym zapachem Arabii. Opadłam na fotel i w nagłym porywie odwagi rozpięłam jej bluzkę, po czym ściągnęłam z ramion, aż opadła na zadartą do góry spódnicę. Potem rzuciłam się na jej stanik. Kiedy zaczęłam otwierać haftkę na plecach, zabrakło nam tchu. Wreszcie Adilee podniosła się, z gołymi piersiami, i zrzuciła z siebie resztę ubrania. Znowu spojrzałam w lustro: tym razem zobaczyłam tam dwie nagie kobiety - szczyt spełnienia. Nie wiem nawet, która pociągnęła którą, ale po chwili obie tarzałyśmy się po łóżku, usta przy ustach, piersi przy piersiach. Jej wargi przesunęły się na moje sutki, jej dłonie okazały się jeszcze śmielsze... Ale nie, nie

mogę ci powiedzieć, co potem ze mną robiła. Zresztą i tak domyślasz się chyba wszystkiego...

Nie mogłem już słuchać tego dłużej, to było ponad moje siły. Zacząłem całować ją jak opętany. Emilienne zdobyła się zaledwie na bierny pocałunek. Poprosiłem, by weszła do sypialni i założyła tamtą błękitną sukienkę - ten właśnie materiał zsunąłem jej z ramion, tak jak Adilee; tak jak Adilee rozpiąłem jej stanik, po czym w mgnieniu oka zrzuciłem z siebie ubranie. Spojrzałem w lustro, tak jak moja żona, po czym rzuciłem się na łóżko i wykorzystując jej trwający nadal letarg zmusiłem, by ułożyła się w takiej pozycji, w jakiej widziałem ją przedtem. Cała miłość do Adilee nie przeszkodziła jej w tym, by uwieńczyć mój namiętny atak na jej ciało takim samym jak przy mojej kochance okrzykiem rozkoszy.

Pierwsza burza

Stosunek, jaki odbyłem nazajutrz z Adilee, był nie mniej szaleńczy. Podwójna

kochanka przeżyła płomień rozpasanych namiętności, o którym myślała, że

rozpętała go jej osoba.

Następne spotkanie kochanek miało odbyć się w czwartek poza domem: na herbatce

na Champs-Elysees. Tego wieczoru Emilienne wróciła dosyć późno, bardzo przybita:

— Ach, powinnam się była tego spodziewać, zresztą domyślałam się już wcześniej i mówiłam ci nawet...

– Co takiego?

– Mój drogi, Adilee ma kochankę, sama się przyznała. Wiem o nim wszystko, oprócz nazwiska. To jakiś żonaty biznesmen... poznała go w Algierii, tu spotkała go znowu... on jej pilnuje, utrzymuje ją, ona sama nie chce go opuścić... Jestem zdecydowana zerwać z nią. Jestem zgubiona.

– Ależ moja droga, uspokój się, opowiedz mi wszystko po kolei!

Usiadła mi na kolanach, objęła oburącz za szyję, przytuliła się i przez dłuższą chwilę szlochała rozpaczliwie.

- Piłyśmy herbatę przy Rond-Point. Zauważyłam ze zdumieniem, że dostrzegam spojrzenia mężczyzn. Zapytałam więc, czy interesują ją mężczyźni. - Co za pytanie! - odparła. - Czyż można z nich rezygnować? Chyba nie sądzisz, że w moim wieku, jako Algier-ka i artystka, nie zdążyłam jeszcze poznać tego złego wilka?

- No, a nasza przygoda... - Usunęła wszystko inne w cień, możesz mi wierzyć, ale w końcu nie znałam cię przedtem, nie mogłam przewidzieć, że napotkam cię na swej drodze! - A teraz? - Teraz liczysz się tylko ty. Jego nie widziałam już od miesiący. - W tym momencie poczułam się tak, jakby serce stanęło mi

w

piersi,

zerwałam się na równe nogi, zaczęłam targać nią na wszystkie strony: -  
Co to ma

znaczyć? Czyżbyś miała kochanka? To niemożliwe! -  
Oczywiście, że mam kochanka, tak jak inne kobiety! Nie myślisz  
chyba, że wystarczyłoby mi te dwadzieścia tysięcy franków, jakie  
otrzymuję co miesiąc od ojca... - Te dwadzieścia tysięcy franków  
przepełniło miarę. Zrobiło mi się ciemno przed oczami, miałam  
wrażenie, jakby walił się cały świat. - A więc kochanek, kochanek,  
który cię utrzymuje! - Powiedzmy raczej: który mnie ubiera. Och, ja też  
potępiam te sprzedajne dziewczyny, wiesz przecież. Ale co zrobić? On  
jest bardzo miły i pamiętaj, że sypiałam z nim już dużo wcześniej, niż  
pознаłam ciebie. - Jaki on jest? I czym się zajmuje? - Pracuje w branży  
tekstylniej, ale ma w sobie dużo z artysty. Mniej więcej czterdzieści lat.

Mieszka z żoną i dziećmi w Montrouge. Naprawdę, to  
wytworny mężczyzna, ale odkąd mam ciebie, to już nie jest jak  
dawniej. - A więc zrywasz z nim? - Nie, to niemożliwe! - Owszem, jak  
najbardziej możliwe! Jeżeli zajdzie taka potrzeba, sama będę kupowała  
ci ubranie. - Wyglądała na zaskoczoną: - To nie takie proste

- powiedziała. - On jest żonaty, znudzony życiem, mówi w  
kółko o samobójstwie,  
ma tylko mnie na tym świecie. Nie mogę tak po prostu porzucić  
człowieka, który  
był dla mnie tak dobry przez trzy lata. Zostaw mi przynajmniej  
niedziele i

środy. - Oszalałaś? Chyba umarłabym z zazdrości i ze strachu! Mężczyzna ma cię dotykać! Ciebie! Czy to przynajmniej ktoś dobrze wychowany, wykształcony, elegancki? - Bądź spokojna: bardzo dobrze wychowany, bardzo wykształcony, bardzo elegancki. Mam ci go przedstawić? - Uchowaj Boże! Jeszcze by mnie naszła chęć, by go zabić! - Po tych słowach wybuchnęłam płaczem, łzy przesłaniały mi świat. Była chyba wzruszona, gdyż obiecała, że przemyśli sobie wszystko. Zapytałam więc: - Czy przynajmniej jest to jedyny mężczyzna? I przyznaj się: nie ma w twoim życiu innej kobiety? - Uspokoila mnie zdecydowanym gestem. Spojrzałam na nią i nagle poczułam przed nią strach; siedziała taka spokojna, nieporuszona, miała suche oczy. Pocałowałam ją nieco oziębło i poszłam sobie. Tak oto mają się nasze sprawy.

Wysłuchałem tej opowieści gniewny i przede wszystkim zasepiony, gdyż te chełpliwe opowieści Adilee o kochanku mogły skierować Emilienne na mój trop. Moja żona nie dawała za wygraną: - Musisz odnaleźć jej kochanka, żebyś mogła zwrócić się wprost do niego. Powiem mu, jak silna jest moja miłość, jak bardzo cierpię i rozpaczam...

— Możesz mu zaoferować odpowiednie odszkodowanie.

— Ta ironia jest nie na miejscu! W każdym razie albo on zniknie z jej życia, albo ja.

Sytuacja przestała mi się podobać, mimo swej niewątpliwej pikanterii. W piątek, dwunastego kiedy spotkałem się z Adilee na Rue Cheche-Midi, wygłosiłem płomienne kazanie.

– Na co się tak uskarżasz? - zapytała. - Jeśli opowiedziałam jej o zmyślnym związku, to dzięki temu nie odkryje prawdziwego. Musisz wziąć pod uwagę, że ona chce wiedzieć o mnie wszystko, śledzić mnie. A poza tym: nawet gdyby między nią a mną coś miało się popsuć, to nie zakłóci to naszej miłości, prawda, kochanie?

– Już dobrze - powiedziałem - ale po co dawałaś jej rysopis, który pasuje do mnie jak ulał..

– Zrobiłam to celowo. Jeśli miałyby kiedykolwiek odkryć wszystko, będzie musiała przyznać, że okłamałam ją tylko w połowie.

– A póki co, bardzo mnie to męczy.

– Sądzisz, że moja sytuacja jest przyjemna? Byłam tak dyskretna tylko po to, by cię oszczędzić. Ale wolałabym żeby wkrótce poznała całą prawdę.

– Na miłość boską, tylko nie to! Czy chcesz doprowadzić nas wszystkich do zguby? Proszę cię, zrób wobec Emilienne ten gest: obiecaj jej, że zerwiesz ze swoim kochankiem.

– Wiedz jednak, że to byłoby równoznaczne z prawdziwym zerwaniem z tym panem. Nie chcę się tak dzielić i miotać tam i z powrotem. Zastanów się nad tym. Nadeszły pierwsze piękne dni wiosny. Starym zwyczajem, mimo braku entuzjazmu ze strony Emilienne, która obstawała przy tym, by w tym roku spędzić Wielkanoc w Paryżu, udaliśmy się na południe. Nie zostawiłem jej nawet tyle czasu, by mogła spotkać się z Adi-lee, ale i tak podczas całej drogi na Lazurowe Wybrzeże nie przestawała mówić o tej fatalnej Algierce.

– Tak sobie myślałam, mój drogi. Ten jej kochanek... czy mógłbyś zrobić to dla mnie?... Musiałbyś zastąpić go w pewnym sensie... oczywiście platonicznie. No, byłoby mi jeszcze przyjemniej, gdybyś uczynił to z chęcią... Claude, czy możesz odmówić swojej malutkiej żoneczce, skoro i tak zrobiłeś już tak wiele w tym kierunku?

– Ale przecież ja nawet nie znam tej twojej Adilee. Widziałem jedynie dwa

niewyraźne zdjęcia, a to za mało...

– Dobrze więc, znajdę okazję, by poznać was ze sobą. Na przykład: przyjdiesz pewnego dnia do domu, kiedy my dwie skończymy już...

– Masz zamiar spotkać się z nią znowu?

– Tak, bo ty też musisz ją zobaczyć... Wiem, że zależy ci na tym, żeby mieć

żonę, która jest lesbijką, prawda? A więc, przyjdź na herbatę, o szóstej, kiedy będzie już po wszystkim.

– A dlaczego dopiero wtedy, gdy będzie już po wszystkim?

– Jak to, chciałbyś nas podejrzyć?

– No to co? Po tym, co od ciebie wysłuchałem?!

– Nie sądzisz, że powinnam najpierw zapoznać cię z nią? I pamiętaj! - tu uniosła wymownym gestem palec. - Nie wolno ci jej dotknąć! I tak martwię się już, czy nie postąpiłam pochopnie. Aż się trzęsiesz, żeby ujrzeć nas obie w łóżku: zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie interesujesz się tą piękną nieznaną. Ale ona należy do mnie. TYLKO DO MNIE, nie zapominaj o tym!



Coraz bardziej napięta atmosfera

W Nicei i Cannes Emilienne otrzymała w ciągu dziesięciu dni kilka listów od

Adilee, skierowanych na poste restante, i to ją nieco uspokoiło.

Jeden z nich

udało mi się przeczytać:

„Piątek, 19 marca. Moja piękna kochanko!

Z powodu jednego nieporozumienia opuściłaś mnie, może nawet uczyniłaś to

umyślnie! Mnie zarzuciłaś mało znaczący kontakt ze starym znajomym, sama zaś

przebywasz teraz z innym w krainie słońca! Sądzisz może, że potrafię o tym

myśleć nie cierpiąc? Och, Liii! To do mnie musi należeć Twoje mocne, kochane

ciało, tylko ja mogę je czuć, tak jak czuję własne! Pośpiesz się, wróć, a wtedy

porozmawiamy. Zrobię tak, jak Ty chcesz. Uczynię wszystko, abyś była moja ciałem

i duszą, tak jak ja jestem

Twoja Adilee.“

Nie udało mi się wtedy przeczytać tego, co moja żona odpisała przyjaciółce:

codziennie po obiedzie zamykała się w pokoju na całe godziny, gdzie - jak sądzę

- dawała upust swej namiętności, pisząc nie kończące się epistoły. Kiedy

wróciliśmy do Paryża, Adilee pokazała mi prawdziwy stos tych listów, do  
ale do

przeczytania dała mi tylko jedną próbkę:

„Antibes, środa 24 marca

Moja najpiękniejsza, moja najdroższa, moja najukochańsza! U Ciebie znalazłam to wszystko, czego szukałam; pełnię szczęścia. Odkryłam swoją prawdziwą naturę, a raczej dwoistość mej natury, jeśli tak wolisz: mego dopełnionego ja, które raduje się swym odkryciem. Ale moje najpiękniejsze odkrycie to Ty, ukochana; Twe oczy tak cudowne, Twe wargi, które przywołują mnie do Ciebie, Twe piersi, inne niż moje, a przecież jakże kobiece. Czy muszę Ci mówić, że nie mogę już teraz zrozumieć kobiety, która nie kocha innej kobiety, albo przynajmniej nie marzy o tym, by kochać się z kobietą? Nasze nie wtajemniczone w to jeszcze siostry wydają mi się istotami niedoskonałymi, niemal kalekami. Teraz czuję cię swą słabość i całą siłę, moje szczęście jest szczęściem mężczyzny i kobiety zarazem, jestem jednością, jestem wszystkim. Wybacz mi, ukochana, po sposobie, w jaki piszę, można od razu poznać, że

Coraz bardziej napięta atmosfera

W Nicei i Cannes Emilienne otrzymała w ciągu dziesięciu dni kilka listów od

Adilee, skierowanych na poste restante, i to ją nieco uspokoiło. Jeden z nich

udało mi się przeczytać:

„Piątek, 19 marca. Moja piękna kochanko!

Z powodu jednego nieporozumienia opuściłaś mnie, może nawet uczyniłaś to

umyślnie! Mnie zarzuciłaś mało znaczący kontakt ze starym znajomym, sama zaś

przebywasz teraz z innym w krainie słońca! Sądzisz może, że potrafię o tym

myśleć nie cierpiąc? Och, Liii! To do mnie musi należeć Twoje mocne, kochane

ciało, tylko ja mogę je czuć, tak jak czuję własne! Pośpiesz się, wróć, a wtedy

porozmawiamy. Zrobię tak, jak Ty chcesz. Uczynię wszystko, abyś była moja ciałem

i duszą, tak jak ja jestem

Twoja Adilee.“

Nie udało mi się wtedy przeczytać tego, co moja żona odpisała przyjaciółce:

codziennie po obiedzie zamykała się w pokoju na całe godziny, gdzie - jak sądzę

- dawała upust swej namiętności, pisząc nie kończące się epistoły.

Kiedy

wróciliśmy do Paryża, Adilee pokazała mi prawdziwy stos tych listów, ale

do

przeczytania dała mi tylko jedną próbkę:

„Antibes, środa 24 marca

Moja najpiękniejsza, moja najdroższa, moja najukochańsza! U Ciebie znalazłam to

wszystko, czego szukałam; pełnię szczęścia. Odkryłam swoją prawdziwą naturę, a

raczej dwoistość mej natury, jeśli tak wolisz: mego dopełnionego ja, które raduje się swym odkryciem. Ale moje najpiękniejsze odkrycie to Ty, ukochana; Twe oczy tak cudowne, Tve wargi, które przywołują mnie do Ciebie, Tve piersi, inne niż moje, a przecież jakże kobiece. Czy muszę Ci mówić, że nie mogę już teraz zrozumieć kobiety, która nie kocha innej kobiety, albo przynajmniej nie marzy o tym, by kochać się z kobietą? Nasze nie wtajemniczone w to jeszcze siostry wydają mi się istotami niedoskonałymi, niemal kalekami. Teraz czuję całą swą słabość i całą siłę, moje szczęście jest szczęściem mężczyzny i kobiety zarazem, jestem jednością, jestem wszystkim. Wybacz mi, ukochana, po sposobie, w jaki piszę, można od razu poznać, że

przebywałam długo na Sorbonie, wiem o tym. Ale Twój uroczy śmiech nie powstrzyma mnie od tego, by ująć w słowa głęboki sens naszej znajomości, wyjaśnić, czym będzie jutro nasze zespolenie. Ty odmłodziłaś moje ciało i moją duszę: to dużo, jak na jedną, jedyną istotę.

Nudzę się bez Ciebie. Claude jest miły, ale mężczyzna to jednak obce ciało - i nic na to nie poradzisz. Odbieram jego pieszczoty, jakby darzył mnie nimi po prostu dobry kumpel - i chciałabym, abyś nie

reagowała bardziej namiętnie na pieszczoty Twego... Tak, zaciskam zęby pod pocałunkami, które nie są Twoimi. Wszystko widzę jedynie poprzez Twe czarne oczy, dla Twych czarnych oczu. Adilee, najdroższa Adilee, pisz do mnie co dzień, a przede wszystkim zachowaj całą siebie, wyłącznie dla kobiety, która Cię kocha. Emilienne.“

Adilee na pewno nie była daleko od Dworca Lyonńskiego, kiedy wróciliśmy w czwartek po świętach wielkanocnych. Emilienne rzuciła się do telefonu, a potem zapytała, czy mógłbym udać się do domu z bagażami sam, bez niej. Zgodziłem się, żałując tylko, że nie mogę być świadkiem tego osobliwego spotkania. Emilienne przyszła na obiad spóźniona, ale znowu zrelaksowana i pogodna. Adilee miała odwiedzić ją jeszcze dziś, po południu.

Byłem nieco rozdrażniony: ja także pałałem żądzą, by spotkać się z moją kochanką, ona jednak świadomie złożyła mnie w ofierze. Ujrzałem ją dopiero potem, w progu, i nie omieszkałem wyrazić, jak boleśnie jestem zaskoczony.

– No cóż, ona chce koniecznie wierzyć, że nie mam już kochanka. Tobie chyba też zależy, by była o tym przekonana. Muszę więc postępować zgodnie z waszymi pragnieniami.

– I dlatego zapomnieć o mnie...

– Na tym polega ryzyko twojej taktyki. Zmuszając mnie, abym wyparła się ciebie, pozostawiasz mnie dla niej.

– A nie mogłabyś dzielić się pomiędzy nią a mną, zatajając moje istnienie?

– Na tym etapie to trudne. Ale pomyśl tylko: wszystko można

by załatwić ku zadowoleniu nas wszystkich. Mogę zerwać z Montro-  
uge i zyskać czas dla siebie... na Montmartre.

– Na Montmartre?

– Tak, trzymaj się teraz, żeby nie upaść: Emilienne chce zatrudnić mnie jako sekretarkę albo też gospodynię, to zresztą wszystko jedno. Widocznie ma zaległości w pracy: musi robić odpisy, szyć i nie wiadomo co jeszcze, no i nie może podołać tym wszystkim obowiązkom. W ten sposób chce skłonić cię do tego, byś zaakceptował moją obecność. Jednym słowem, idealne rozwiązanie. Warunek: mam zakończyć mój stosunek z tym mężczyzną.

– Zaproponowała ci to dzisiaj?

– Niecałą godzinę temu.

– I co jej odpowiedziałaś?

– Że muszę się zastanowić, spotkać się z moim panem i że spróbuję nadać naszym kontaktom charakter platoniczny, ona jednak musi mieć wiele cierpliwości i zaufania do mnie, poza tym nie może być zazdrosna.

I w ten sposób przesuwaliśmy we dwie wszystkie pionki na szachownicy, prowadząc grę, która wymykała mi się coraz bardziej spod kontroli. Dotychczasowa taktyka zapewniała mi wprawdzie pewne podniecające wrażenia zmysłowe, ale ja chciałem je utrwalić na swoim ekranie, podczas gdy w rzeczywistości ta partia szachów rozwijała się dalej, a inicjatywa nie należała już do mnie. Próbowałem sterować i jedną i drugą, jednak ich zgodne ruchy świadczyły, że to ja jestem sterowany. Jeszcze dobitniej przekonałem się o tym, kiedy Adilee

zwierzyła mi się w sobotę:

- Emilienne wpadła już na kolejny pomysł. Czuje się trochę nieswojo, bo ty jesteś wykluczony z naszej zabawy, a zresztą boi się ciebie. Dlatego chciałyby,

żebyś nakrył nas kiedyś na gorącym uczynku.

– Ciekaw jestem, co ty na to.

– Och, wiesz przecież, że lubię niespodzianki. I tak jestem przekonana, że na

dłuższą metę nie możesz nas podglądać przez dziurkę od klucza. W końcu stałbyś się zgorzkniały, a i my obie uświadomiłybyśmy sobie któregoś dnia, że czegoś nam brak.

Dałem jej do zrozumienia, że nie jestem jeszcze przygotowany, aby wtargnąć w ich intymny świat. Adilee nie nalegała. W piątek, drugiego kwietnia, okazało się, że póki co mogą doskonale obyć się beze mnie. Ponieważ musiałem akurat wyjechać służbowo do Rouen, obydwie gołąbki udały się na ten dzień do Dompierre, nie uprzedzając mnie o tym nawet jednym słowem. Dopiero po fakcie Adilee zdradziła się przypadkowo (a może nie był to wcale przypadek), opowiadając mi o okolicy, w której - jak dobrze wiedziałem - nie była do tej pory. Przyparta do muru moimi pytaniami, przyznała się do wszystkiego: pojechały tam, zjadły w hotelu Saint-Pierre, po czym wzięły sobie pokój.

– Emilienne (ale przyrzekłam jej, że nie dowiesz się o tym) uparła się, żebyśmy ucięły sobie popołudniową drzemkę. Stałyśmy

przed olbrzymim łóżkiem, jak z bajki, i wtedy mnie zaatakowała - ale jak ogniście! I wydarzyło się wiele, bardzo wiele!

– Tyle, ile między Mnaiis i Phyllodocis?

– Sza! Przrzekłyśmy sobie, że nie dowiesz się o niczym.

Irytował mnie nie tyle niesłychany charakter tych lubieżnych

igraszek, co raczej tajemnica, w jakiej miały być utrzymywane.

A więc teraz, po przekroczeniu pewnej granicy, zaczynała się gra w chowanego? Zostałem zdradzony! Wykluczyły mnie nie tylko ze wspólnej zabawy, ale również z kręgu zaufanych! Sama Emilienne, tak rozmowna do pewnego czasu, wspominała teraz bardzo rzadko o Adilee. Któregoś wieczoru, kiedy kładliśmy się spać, zapytałem wprost: jak mają się sprawy?

– Och, normalnie - odparła. - Nie dzieje się nic takiego.

– Doprawdy? To nic takiego, że inni widzieli was razem na wsi? Przez dłuższą chwilę nie mogła znaleźć słów.

– Tak, widzieli was moi klienci, którzy mają chyba prawo do spacerów po dolinie Chevreuse! - wykrzyknąłem.

Emilienne doszła już do siebie. No więc dobrze, tak rzeczywiście było, myślała, że nie można mi tego powiedzieć. Tym razem posunęły się aż do końca, jak na prawdziwe kochanki przystało, i każda z nich zaspokoila drugą tak, jak to tylko możliwe. Łkając, prosiła mnie o wybaczenie. Strofowałem ją, ale oczywiście nie za to, co się wydarzyło i napełniło mnie sprośnymi myślami, lecz za denerwujące ukrywanie prawdy:

– Pozwól sobie powiedzieć, moja droga, że postąpiłaś wbrew



naszej umowie. Zgodziłem się, byś miała przyjaciółkę... zaakceptowałem arabeskę dla naszej miłości. I po tym wszystkim ujrzeć się odepchniętym, oszukany, niemal rogiaczem...

– Bądź cierpliwy - poprosiła. - Tak bardzo się boję, że pewne fakty mogłyby cię rozgniewać na dobre. To Adilee domagała się utrzymania wszystkiego w tajemnicy. Zresztą i tak nie odkryłbyś wiele nowego. Widzisz przecież, jak bardzo się wstydzę: za karę uczyni ze mną wszystko, na co masz ochotę!

Tego było dla mnie za dużo: uderzyłem ją w twarz, położyłem sobie na kolanie i wlepiłem kilka razy w tyłek. Początkowo krzyczała i płakała, a potem zaoferowała mi swe ciało, szepcząc:

- Obie czekamy tylko na to, żebyś się do nas przyłączył.

W piątek, szesnastego kwietnia, doszło do tego, że Adilee, po raz pierwszy w ciągu naszej znajomości, odtrąciła mnie.

- Zostaw! Wysłałeś mnie do innej, zażyczyłeś sobie, żebym kochała się z inną. Ijlaucz się przegrywać i pozostaw wszystko dla niej. Mam wyrzuty sumienia, bo ukrywam przed nią tak wiele! A ona jest tak prostoduszna! Zaczynam też się martwić: te jej pytania i poszukiwania mogą sprawić, że kiedyś wreszcie dowie się wszystkiego. Już teraz dziwi się, że tak uparcie nie chcę pokazać jej mego miesz

kania. Podejrzewa, że moj kochanek ma do niego klucz. Mogę  
zapewniać                      ją                      nie                      wiem  
jak, że prawie nic mnie z nim już nie łączy, a ona i tak chce się  
upewnić...                      nie  
wiem, o czym. Nie byłabym wcale zdziwiona, gdyby okazało się, że  
stoi                      teraz                      za  
tymi drzwiami.

Wstała i otworzyła gwałtownie drzwi, jak gdyby chciała się  
przekonać, że rzeczywiście nikogo tam nie ma, mnie zaś przeszły  
ciarki. Potem usiadła z powrotem i powiedziała:

– Tak nie może być dalej. Emilienne musi wiedzieć o  
wszystkim. Im dalej sięga kłamstwo, tym boleśniejsze jest odkrycie  
prawdy.

– To niemożliwe. Już dziś oznaczałoby to dla Emilienne  
upadek ze zbyt dużej wysokości. Wszystko, z czym się liczyłem, to stać  
się teraz twoim kochankiem, że

tak powiem - jako następca tego mężczyzny z Montrouge. A  
nawet... Adilee zamyśliła się:

– To mogłabym jakoś zorganizować, jeśli tak trzeba, ale  
przedtem musimy się oficjalnie poznać.

– Wolałbym, aby to stało się u mnie. Mieszkanie na Cherche-  
Midi zachowaj, proszę, dla nas obojga.

– Mówię ci, że ona może się tu kiedyś zjawić.

I na tym stanęło. Adilee zachowała postawę wyczekującą. Nie  
zdołałem wykrzesać z niej żadnej, najdrobniejszej nawet pieszczoty.

- Nie, już ci to mówiłam: od tej pory nie chcę jej oszukiwać.  
Dopiero, kiedy  
zapozna nas ze sobą, zastanowimy się, co dalej. Zrobię wszystko, by  
uzyskać jej  
zgode, to mogę ci przyrzec.

Miary dopełnił fakt, że tego samego wieczoru odmówiła mi  
siebie również Emilienne: skrupuły te wzbudziły w niej uroczyste  
śluby, jakie obie uczyniły podczas ostatniego spotkania. Do tego, by mi  
uległa, potrzebna jej była zgoda Adilee.

— Coraz lepiej! - warknąłem rozdrażniony. - Najpierw zatajasz  
przede mną wydarzenia o pierwszorzędym znaczeniu, a potem  
odtrącasz mnie na dobre!

— To za ostre słowa! Powiedz raczej: apeluję do ciebie o  
wykazanie na pewien czas taktu.

Ich sekretne porozumienie było aż nadto widoczne. Niepokój i  
strapienie odbierały mi sen, a bezsenność sprawiała, że popadłem w  
coraz posepniejszy nastrój. A więc doszło już do tego - i to tak prędko?  
Próbowałem dosiąść dwóch wierzchowców, a teraz groziło mi, że zlecę  
pomiędzy siodła. Chciałem kochać je obie jeszcze bardziej, ale czy nie  
stracę jednej i drugiej? Czy nie stworzą pary samowystarczalnej, u  
której mężczyzna nie ma już czego szukać? Czy nie musiałem liczyć się  
teraz z tym, że zostanę przez nie odtrącony, wypędzony z mego  
podwójnego zacisza domowego? Piękna perspektywa! I pyszne piwo,  
jakiego sam sobie nawarzyłem!

Wstałem, wyszedłem i zacząłem przechadzać się po Rue des

Sau-les. Był piękny, wiosenny poranek, nie śpieszyłem się więc. Po powrocie zastałem żonę przy toalecie, ale - to było u niej coś nowego i niesłychanego! - na mój widok zasłoniła sobie piersi, a kiedy chciałem pocałować ją na zgodę, odwróciła twarz na bok. Obiad przebiegł w milczeniu.

– A propos - odezwała się Emilienne podczas deseru, jak gdyby kontynuowała rozmowę sprzed dwóch dni. - Ona przyjdzie dziś po południu. Jeśli więc chciałbyś ją zobaczyć...

– Chętnie - odparłem, zapominając o gniewie, albo też tłumiąc go. - O której ma przyjść?

– Będzie jak zwykle o trzeciej. Ale ty przyjdź o piątej, jak uzgodniliśmy to w Nicei... na herbatkę.

– Wybacz - powiedziałem sucho. - Od czwartej do szóstej mam ważną naradę z ekspertami na drugim końcu Paryża. Nie mogę jej opuścić. Czy nie mógłbym jej zobaczyć od razu, kiedy przyjdzie, a więc jeszcze przy kawie?

– Niech i tak będzie - ustąpiła Emilienne - ale proszę cię, bądź taktowny. Nie zasiedź się za pierwszym razem. Dziś może wchodzić w grę jedynie nawiązanie wstępnego kontaktu. Najmniejszy nacisk byłby szokiem. Będę wspaniałomyślna: dam ci dwadzieścia minut.

– Cóż, twarde prawo, ale przecież prawo! - westchnąłem. Najchętniej cisnąłbym teraz karafką o podłogę.

Aby zabić czas, wziąłem gazetę, ale Adilee przysłała i tak za wcześnie. Muszę

przyznać, że swoją rolę grała wspaniale. Najby-strzejszy

obserwator nie

dostrzegłby niczego, co mogłoby świadczyć, że ta kobieta jest już od tyłu

miesiący moją kochanką. Ściągnęła rękawiczkę i podała mi dłoń z takiej

odległości, że mogłem jedynie złożyć na niej pocałunek pełen uszanowania. Kiedy

pozwoliłem sobie na uwagę, że musiałem już ją gdzieś widzieć: w jakimś teatrze

czy restauracji, uniosła brwi gestem wyrażającym głębokie zdumienie. Rozmowa,

która dała mi okazję do wygłoszenia kilku błyskotliwych uwag i sprowokowała ją

do żywych odpowiedzi, była w gruncie rzeczy dosyć zdawkowa.

Po piętnastu minutach pożegnałem się, ku wyraźnej uldze Emilienne. Zgodnie

jednak z dobrze obmyślonym planem wróciłem po dziesięćminutowym spacerze,

wszedłem cicho przez furtkę i na palcach zakradłem się po schodach na górę.

Tak jak przypuszczałem, obie były już w sypialni. Wiedziałem, że zamknięte drzwi

zostaną otwarte dopiero, gdy skończą się igraszki miłosne.

Wewnątrz panowała cisza, która z pewnością oznaczała jednak nader ożywioną działalność. Potem: odłós pocałunków, jęki i

wreszcie głosy. Emilienne: - Nie powiesz mi, co sądzisz o moim mężu?

Adilee: - Jest nieco wyniosły, trochę zarozumiały, ale szarmancki. I wiesz, ja

też odnoszę wrażenie, że gdzieś go już widziałam, chociaż twierdziłam, że to

nieprawda. Czy nie prowadził czasem wykładów w Algierii?

Emilienne: - Nic mi o tym nie wiadomo... Czy on by ci się podobał?

Adilee: - To może za wiele powiedziane, a przynajmniej za wcześnie. W każdym

razie jest w moim typie. Prawie taki jak mój były. Taki sam bardzo

charakterystyczny ciemny typ.

Emilienne: - To podobieństwo to zabawna sprawa.

Adilee: - Tak, ale tamten ma więcej siwych włosów i jest niższy, mniej wytworny.

Nie ma też rzymskiego profilu, a raczej trochę zadarty nos... O, taki!

(Moja żona zachichotała, a ja domyśliłem się, że Adilee, aby zademonstrować, jak

wygląda Pierre, pociągnęła ją za nos. Musiała uczynić to z wdziękiem, gdyż

otrzymała w nagrodę całusa. Dalszą rozmowę przerwały pieszczoty, ale po chwili

Adilee odezwała się znowu):

- Nie podarowałabyś mi go?

Emilienne: - Kogo: go?

Adilee: - No, twego męża!

Emilienne: - Chyba masz porządnego bzika!

Adilee: - Wśród kobiet, które się kochają, takie prezenty powinny być czymś

zupełnie naturalnym.

Emilienne: - Nie rozumiem, dlaczego.

Adilee: - Ale rozumiałaś to doskonale, kiedy ja miałam zrezygnować dla ciebie z

mojego przyjaciela.

Emilienne: - To nie to samo.

Adilee: - Posłuchaj, mogłybyśmy zawrzeć pewną umowę: ja zrezygnuję ze swojego, a

ty pożyczysz mi za to twojego.

Emilienne: - Zdziwiasz mnie.

Adilee: - Och, po prostu mam już dosyć tych podziałów, tej niemądrej zazdrości -

twoje, moje. Kiedy myślę, że oddajesz się Clau-de'owi, jest mi tak samo przykro,

jak tobie, kiedy wyobrażasz sobie, że kocham się z Pierrem.

Gdybyśmy miały

jednego, tego samego, skończyłyby się wszystkie kłopoty.

Emilienne: - Ale to by było wstętne, rozdzieliłoby nas od razu.

Adilee: - A może raczej by nas złączyło.

Emilienne: - A poza tym: jeśli sądzisz, że mógłby się tobą zainteresować... On

mnie wręcz ubóstwia.

Adilee: - A więc jeszcze jeden powód, żeby ubóstwiał i mnie.

Emilienne: - Jesteś cyniczna. Ale jestem prawie pewna, że po prostu drażnisz się

ze mną... Chodź tu bliżej... (Cisza, przerwa).

Adilee: - Lubisz, jak wsuwam tu palec?

Emilienne: - Tak, to niezłe. Ale przedtem było przyjemniej.

Adilee: - Acha, tu i tu jednocześnie...

(Kolejna przerwa. Ciche, urywane jęki rozkoszy).

Emilienne: - Nigdy, naprawdę, nigdy nie wpadłby na coś takiego mężczyzna... Ale

powiedz, to co proponowałaś przedtem, to był tylko żart?

Adilee: - Tylko częściowo. A może wolałabyś dzielić się Pierre'em?

Emilienne: (żartobliwie): - O, nie, co ci przychodzi do głowy!  
Co innego

zdradzać męża z kobietą (o ile jest to rzeczywiście zdrada), ale z mężczyzną?

Nigdy, za żadną cenę!

Adilee: - Przemyśl to sobie. Przecież jeżeli wszystko, co mamy, należy - jak

sama mówiłaś - do nas obu, to powinno ci być obojętne, czy Claude jest twój czy



mój.

Emilienne: - Widzę, że chcesz mi dokuczyć, rozdrażnić... ale dlaczego wbijasz mi

paznokcie tak mocno w pośladki? (Dłuższa przerwa.) Ach! Dziś chcesz mnie chyba

wykończyć!

Tym razem obie, jak się zdawało, osiągnęły nirwanę; zapanowała zupełna cisza.

Zlany potem, trwałem tak jeszcze przez chwilę, wreszcie wstałem, zesztyniały.

Co one tam robiły? Może jeszcze nie to najgorsze, ale miały przecież przed sobą

całe popołudnie. A ja tkwiłem pod drzwiami! Co miałem zrobić? Zapukać? Ale wtedy

albo w ogóle by nie otworzyły, albo dopiero wtedy, gdy doprowadziłyby się do

porządku. Czekać? Ale to by znaczyło, że ujrzę Adilee dopiero wtedy, gdy będzie

wychodzić, a gdyby zobaczyła mnie na schodach, jakbym wtedy wyglądał? Zszedłem

na dół, oddaliłem się od domu, ale wkrótce wróciłem, jeszcze bardziej zazdrosny

i podekscytowany. Wreszcie obie zbudziły się: dobiegły mnie ich nieskrępowany

śmiej i dwuznaczne uwagi. Wstały, poczułem się więc

zagrożony i wyszedłem z

domu, teraz już na dobre. Musiałem przyznać w duchu, że kocham tę parę. I kto

wie, może ta para była w stanie pokochać również mnie? Do mnie należało

pokierowanie wypadkami tak, abym stał się w tym układzie panem, nie

niewolnikiem.

Kiedy wróciłem do domu, Emilienne - jakkolwiek wyczerpana - zdawała się czekać niecierpliwie na moją opinię o Adilee.

– Jest zgrabna, pełna wdzięku - powiedziałem. - Może niezbyt wykształcona...

– Oceniasz ją chyba pochopnie.

– Ale bez wątplenia ma w sobie wiele seksu i temperamentu.

Jest uosobieniem zmysłowości. Dobrze na nią uważaj!

45

– Co przez to rozumiesz? Że mogłabym ją utracić?

– Nie, ale z pewnością ugania się za nią stale kilka kobiet i jeszcze więcej mężczyzn. Nie odmawiaj jej niczego, spełniaj każde jej pragnienie - oto jedyna rada, jakiej mogę ci udzielić.

– Przecież ona ma swój rozum.

– Powiedzmy raczej: ostry język.

– Czy jest ładna?

– No... wytworna.

– W każdym razie: tobie się podoba?

– W pewnym sensie tak. Ale musiałbym poznać ją trochę lepiej. Wrócimy jeszcze do tej rozmowy.

### Wydarzenia

Wracając myślą do tych najistotniejszych wydarzeń, zastanawiam się teraz, czy wspomniałem już o wszystkim, co sprawiło, że znalazłem się w ślepym zaułku - o wszystkim, co mogłoby mnie choć trochę usprawiedliwić, zmniejszyć stopień mej winy. Bez wątplenia uczyniłem początek, ale obecnie te kobiety, które poprzednio nakłaniałem, by zbliżyły się ku sobie, pchały mnie bez opamiętania, chcąc osiągnąć swój mroczny cel. Płomień ich - jak również mojej

- namiętności nie pozostawiał mi zbyt dużej swobody działania.

Jak miałem  
postąpić? Uciekać? Niezaspokojona żądza stałaby się wkrótce nie do  
zniesienia.

Przedłużać ten stan rzeczy, jaki istniał do tej pory? Takie wyjście  
byłoby zbyt  
bolesne i śmieszne, a więc niemożliwe. Siłą przerwać tę lesbijską  
idyllę? Byłby

to daremny trud, a obie kobiety z tym większym zapalem wystąpiłyby  
przeciw mnie.

Wyznać wszystko Emilienne? Adilee przedstawiłaby jej własną wersję  
wydarzeń,

wzmacniając jeszcze bardziej swą pozycję. Próbować wmówić żonie,  
wbrew własnemu  
przekonaniu, że Adilee to nędzna intrygantka? Aby zademonstrować

swoją

bezinteresowność, Adilee zniknęłaby natychmiast, a ja pozostałbym w domu z

oziębłą kobietą

- o ile nie podążyłaby w ogóle za tamtą. Doprawdy, w tej grze prowadziły one,

mnie zaś pozostało tylko jedno: wyjść tą ostatnią kartą, zaryzykować bez względu

na ewentualne nieprzyjemności, obecne lub późniejsze niebezpieczeństwa: zerwanie

z moralnością i środowiskiem, w jakim się obracałem.

W niedzielę, osiemnastego kwietnia, Emilienne powiedziała: - Wyznam ci coś, co cię zapewne ubawi: Adilee, o ile jest w stanie w chwili obecnej interesować się mężczyznami, czuje do ciebie

pewną słabość. Po prostu potrzebuje podpory, której nie może znaleźć we mnie. Jeżeli ma opuścić Pierre'a, musi mieć innego mężczyznę.

— Którego rola, jak przypuszczam, ograniczałaby się do trzymania świecy nad waszym łóżkiem?

— Och, tobie zezwoliłabym na więcej, niż Pierre'owi!

— A więc zaakceptowałabyś mnie jako pomocnika? Muszę powiedzieć szczerze: pozwalasz sobie na bardzo dużo.

— Claude, Claude, tak gorąco pragnęłabym, abyś zrozumiał mnie w jednym punkcie, który jest decydujący dla osiągnięcia przez nas równowagi duchowej. Widzisz przecież, co ze mnie uczyniłeś: kobietę,

miotającą się pomiędzy tobą, a więc tym niezbędnym, a kochanką, której pragnę i która chce być sama albo...

- Powiedz to wreszcie!
- ... albo należeć do nas obojga.
- No, no, cóż za propozycja!

– Adilee potrafi być bardzo kategoryczna. Wczoraj powiedziała mi, że nie ma już siły, by oszukiwać Pierre'a i mnie. Poza tym zostanie pozbawiona środków utrzymania: musielibyśmy więc wpaść na jakiś pomysł.

- Dosyć drażliwy i nieprzyzwoity, jak sądzę.

– Posłuchaj, Claude, co ci teraz powiem: ja, ta najbardziej dotknięta. Zostawię ci Adilee, czy to nie jest nęcąca propozycja? Daję ci ją i musisz przyznać, że trudno o piękniejszy prezent.

– I w ten sposób zatrzymujesz dla siebie jednocześnie i ją i mnie?

- Muszę tak postąpić.

– A gdybym oświadczył, że nie potrzebuję tej twojej Adilee?

-Wtedy przynajmniej nikt nie mógłby powiedzieć, że nie próbowałam ocalić naszego małżeństwa. Claude, sytuacja, w jakiej znalazłam się przez ciebie, jest dla mnie bardzo męcząca, ale nic na to nie poradzę: muszę być posłuszna kobiecie, w której ramiona mnie rzuciłeś.

Nie mniej poważna była moja poniedziałkowa rozmowa z

Adilee. Powtórzyłem jej ze wszystkimi szczegółami naszą małżeńską wymianę zdań, na co moja kochanka odparła:

– Doprawdy, zastanawiam się, skąd u Emilienne taki pomysł? Musimy wydostać się z tego zaklętego kręgu, to pewne. Ale że ona poprosiła cię wprost, byś został moim kochankiem - to mnie zdumiewa!

– Tak bardzo cię dziwi efekt twych własnych starań?

– No wiesz! Co najwyżej w żartach powiedziałam twej żonie, że byłoby zabawnie, gdybyś znalazł się między nami.

Spojrzała na mnie chytrze, jak lisica, ja zaś odniosłem wrażenie, jakby tamto przesadnie uprzejme ultimatum żony zostało teraz wsparte przez niewypowiedziane ultimatum kochanki. Zapytałem o

pewną słabość. Po prostu potrzebuje podpory, której nie może znaleźć we mnie. Jeżeli ma opuścić Pierre'a, musi mieć innego mężczyznę.

– Którego rola, jak przypuszczam, ograniczałaby się do trzymania świecy nad waszym łóżkiem?

– Och, tobie zezwoliłabym na więcej, niż Pierre'owi!

– A więc zaakceptowałabyś mnie jako pomocnika? Muszę powiedzieć szczerze: pozwalasz sobie na bardzo dużo.

– Claude, Claude, tak gorąco pragnęłabym, abyś zrozumiał mnie w jednym punkcie, który jest decydujący dla osiągnięcia przez nas równowagi duchowej. Widzisz przecież, co ze mnie uczyniłeś: kobietę, miotającą się pomiędzy tobą, a więc tym niezbędnym, a kochanką, której pragnę i która chce być sama albo...

– Powiedz to wreszcie!

- ... albo należeć do nas obojga.
- No, no, cóż za propozycja!
- Adilee potrafi być bardzo kategoryczna. Wczoraj powiedziała mi, że nie ma już siły, by oszukiwać Pierre'a i mnie. Poza tym zostanie pozbawiona środków utrzymania: musielibyśmy więc wpaść na jakiś pomysł.

- Dosyć drażliwy i nieprzyzwoity, jak sędzę.
- Posłuchaj, Claude, co ci teraz powiem: ja, ta najbardziej dotknięta. Zostawię ci Adilee, czy to nie jest nęcąca propozycja? Daję ci ją i musisz przyznać, że trudno o piękniejszy prezent.

- I w ten sposób zatrzymujesz dla siebie jednocześnie i ją i mnie?

- Muszę tak postąpić.
- A gdybym oświadczył, że nie potrzebuję tej twojej Adilee?
- Wtedy przynajmniej nikt nie mógłby powiedzieć, że nie próbowałam ocalić naszego małżeństwa. Claude, sytuacja, w jakiej znalazłam się przez ciebie, jest dla mnie bardzo męcząca, ale nic na to nie poradzę: muszę być posłuszna kobiecie, w której ramiona mnie rzuciłeś.

Nie mniej poważna była moja poniedziałkowa rozmowa z Adilee. Powtórzyłem jej ze wszystkimi szczegółami naszą małżeńską wymianę zdań, na co moja kochanka odparła:

- Doprawdy, zastanawiam się, skąd u Emilienne taki pomysł? Musimy wydostać się z tego zaklętego kręgu, to pewne. Ale że ona poprosiła cię wprost, byś został moim kochankiem - to mnie zdumiewa!

- Tak bardzo cię dziwi efekt twych własnych starań?
- No wiesz! Co najwyżej w żartach powiedziałam twej żonie,

że byłoby zabawnie, gdybyś znalazł się między nami.

Spojrzała na mnie chytrze, jak lisica, ja zaś odniosłem wrażenie, jakby tamto przesadnie uprzejme ultimatum żony zostało teraz wsparte przez niewypowiedziane ultimatum kochanki. Zapytałem o

ich najbliższe spotkanie: miało odbyć się w czwartek, 22 kwietnia, w mieszkaniu na Rue du Cherche-Midi. Jednocześnie dowiedziałem się, że mimo mego wyraźnego życzenia Emilienne gościła już tam. Adilee była na tyle uprzejma, by poinformować mnie, że włoży kluczek pod słomiankę w razie wizyty mojej żony. Moją pierwszą myślą było zignorować owo tak despotyczne zaproszenie i dlatego w czwartek o wpół do czwartej siedziałem jeszcze w naszym mieszkaniu na Montmartre w pantoflach, podczas gdy Emilienne szykowała się do spotkania z Adilee „gdzieś w Paryżu“. Kiedy jednak rozważyłem wszystkie za i przeciw, kiedy przypomniałem sobie widok tych pięknych, nagich, splecionych w miłosnym uścisku ciał, których może już nigdy nie zobaczyłbym - i wyobraziłem sobie przerażającą wizję ich

ucieczki ode mnie, nie wytrzymałem dłużej. Ubrałem się, wskoczyłem do taksówki i spiesznie wykrzyknąłem kierowcy numer domu na Rue du Cherche-Midi. Była czwarta dwadzieścia pięć, kiedy wszedłem na palcach po posępnych schodach na górę. Kluczek leżał rzeczywiście pod słomianką. Wśliznąłem się do przedpokoju i dotarłem do otwartych drzwi atelier. W pierwszej chwili nie dostrzegłem nikogo



(łóżko stało w prawym kącie za drzwiami), ale tuż obok zauważyłem na fotelu i krześle dowody świadczące o intymnym sam na sam. Wszystkie części garderoby obu kobiet leżały w nieładzie jedna na drugiej, tak jak one je zrzuciły, można więc było odgadnąć bez trudu, która z nich pierwsza ściągnęła sukienkę i pas, a która rzuciła stanik na koszulę drugiej. Pończochy zwisały z fotela na podłogę, buty leżały porozrzucane po całym pokoju, na stole piętrzył się niewielki stos pomieszanych ze sobą bransoletek, naszyjników i grzebieni, świadczący o pośpiechu, w jakim obie się rozbierały. Ostrożnie postąpiłem krok do przodu i natychmiast ujrzałem je w dużym lustrze, przywarte do siebie. Na poduszkach, podsuniętych spiesznie, aby ułatwić sobie najbardziej wyszukane pozycje, widniała, niczym szachownica, płatanina śniadych i różanych części ciał, kontrastujących ze sobą pod względem koloru, lecz splecionych ze sobą w sposób tak zawily, że trudno to było ogarnąć umysłem na pierwszy rzut oka. Adilee musiała poczuć chłód, gdyż narzuciła na siebie bluzkę Emilienne, nie zapinając jej jednak; tę bluzkę z pierwszego dnia, przez której czarny tiul prześwitywało teraz śniade ramię Algierki. Rozpuszczone włosy, białe dłonie pieszczące ciemne biodra - to mogło wyprowadzić z równowagi nawet wytrawnego artystę. Niespodzianka z dziewiątego marca obdarzyła mnie widowiskiem o rzadko spotykanym uroku piękna; tu ujrzałem czystą zmysłowość. Przez długą chwilę, zanim jeszcze odważyłem się zbliżyć do samych ciał, syciłem wzrok podniecającym widokiem w lustrze. W tym momencie oba węże Laokoona rozplatały się. Adilee podsunęła kochance długi, brunatny czubek swojej twardej,

napeężniałej piersi, moja żona wessała sutek, wchłaniając go łapczywie, podczas gdy jej lubieżna dłoń odszukała sobie niżej odpowiednie miejsce. Potem usta Emilienne poczęły przesuwać się w dół po śniadym ciele Algierki, nie opuszczając żadnego skrawka, i objęły w posiadanie ów trójkąt - który od tego momentu stał się symbolem naszego trójkąta. U Adilee tworzył go gęsty, bujny dywan, pokrywający brzuch niemal po pępek i rozciągający się w coraz rzadszych loczkach aż do uda. Dolna część twarzy Emilienne zanurzyła się w nim niczym pyszczek kozy w wysokiej trawie, nad jej nosem wciśniętym we wzgórek łonowy widoczne były jedynie pałające żądzą oczy, rozbiegane w szaleńczej rozkoszy wachania, smakowania i patrzenia. Adilee, z głową odchyłoną tak daleko do tyłu, jak to tylko było możliwe, otworzyła szeroko dłonie, jak gdyby spodziewała się, że za chwilę wpadnie w nie manna rozkoszy.

Moje podniecenie sięgało szczytu, nie mogłem się już powstrzymać. Mimo woli szarpnąłem za rozporek spodni, zrywając je z siebie.

Adilee ujrzała mnie pierwsza i wyrwała się z uścisku Emilienne, która - w pełni zaskoczona - obserwowała z niemal nabożną czcią i żarliwością zbliżanie się rozhukanego bożka płodności.

Wszelkie słowa były teraz zbędne: kiedy wyrosłem tak nagle przed ich łóżkiem, wszyscy troje zachowaliśmy milczenie. Emilienne zdawała się teraz interesować wyłącznie wyrazem mojej twarzy, podczas gdy Adilee nie odrywała wzroku od tego sprośnego bożka. Ale piersi, które mi zaoferowały, drżały wszystkie w podobny sposób, obie

kobiety spoglądały na mnie wyzywająco, by sprowokować mnie do czynu. Nie chciałem dokonywać wyboru, ale czułem, że muszę to zrobić, o ile nie chcę zostać zdyskwalifikowany. Wziąłem Emilienne gwałtownie w ramiona, ale wszedłem w Adilee. Moja żona wsunęła sobie w usta wszystkie palce lewej dłoni i przygryzała je, nie zdołała jednak zdusić ochryplego krzyku, podczas gdy Adilee ciągnęła ją za włosy, zmuszając, by się nam przyglądała. W końcu opadłem na wznak: najgorsze miałem już za sobą.

Adilee znalazła jeszcze w sobie tyle zimnej krwi, aby po moim zwycięstwie ucałować namiętnie przyjaciółkę, potem, łkając, rzuciła się na jej falujące jeszcze piersi, prosząc o wybaczenie i zmiłowanie. Zapadłem w dłuższą drzemkę, czując na sobie straszliwe brzemię mego przestępczego czynu. W końcu ubrałem się i wyszedłem, oświadczając im, że będę czekał na obie u „Lippa“ z kolacją.

Przyszły na spotkanie odświeżone, zadziwiająco rześkie. Oczy Emilienne były jeszcze czerwone, błyszczały jednak promiennie. - Ach, myślałam, że umrę - powiedziała - ale teraz czuję się już lepiej.

Wskazałem im miejsce naprzeciw mnie. Adilee trzymała moją żonę za rękę, ściskając ją, sama zaś jadła lewą ręką przez cały czas. Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym, ale podczas deseru przeszliśmy na trudny temat skłonności

uznawanych przez innych za niemoralne. Przy kawie, około godziny jedenastej, moja żona poszła umyć sobie ręce, Algierka zaś szepnęła do mnie:

- Wiesz, następnym razem mógłbyś zaspokoić ją w mojej

obecności.

Skoro

zaszliśmy

już tak daleko...

To, co zaproponowała, stało jeszcze tej samej nocy (gdyż Adilee wróciła razem z nami do domu na kieliszek szampana). Jedna i druga rozebrały się od razu, jakby była to rzecz zupełnie zwyczajna, po czym Adilee popchnęła mnie ku mej żonie, wskazując palcem na jej płeć. Kiedy spełniłem zadość jej oczekiwaniom, zamknęła oczy.

Potem leżałem długo, jak odurzony, obejmując ich przytulone do mnie ciała. Skoro świt zbudziliśmy się w pełnej harmonii, spokojni i pogodni, jak gdyby nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. Po herbacie, którą podała nam Adilee, odziana w lekki szlafroczek Emilien-ne, nasze usta połączyły się w pożegnalnym pocałunku. Premiera „Mnais i Phyllodocis“

Pierwszym duchowym efektem naszego paktu była uwarunkowana zapewne

okolicznościami zewnętrznymi kontynuacja „Mnais i Phyllodocis“.

Adilee, która wyszła z domu niemal jednocześnie ze mną, po śniadaniu,

pozostawiając w samotności rozmarzoną Emilienne, wróciła na kolację z grubym

manuskryptem pod pachą. Akcja opowiadania, przerwane - jak chyba łatwo było

zapamiętać - w trakcie pierwszego sporu kochanek, z których jedna była już

skłonna wziąć sobie do serca ostrzeżenia swego męża, druga zaś zamierzała

odejść, dokąd oczy poniosą, rozwijała się na kolejnych stronach w następujący

sposób:

„Takie były słowa Mnais o ciemnych warkoczach. Jasnowłosa Phyllodocis zalała się

łzami, wołając:

- Jakże to, chcesz widzieć mnie wypędzoną z małżeńskiego łóża? Czy karmiłabyś

mnie, gdybyś widziała, że ubiegam się o względy mężczyzn, aby zdobyć kilka

miedziaków? Bo gdyby na wydatki zostały mi tylko drachmy, jakie daje mi

Anactoria...

I tak szlochała, z twarzą wtuloną pomiędzy nagie piersi przyjaciółki, a potok łez spływał aż do perłowego wgłębienia pępka.

- Poczekaj - odrzekła Mnais - przyszedł mi do głowy pewien pomysł, a raczej:

ośmielę się nareszcie wypowiedzieć na głos to, co od dłuższego czasu nie daje mi spokoju. Twój małżonek, jak twierdzisz, nie cierpi mnie. Ale od kobiet, które znają się dobrze na filozofii, dowiedziałam się, że zazdrosny mężczyzna znajduje pociechę właśnie wtedy, gdy ujrzy na własne oczy swoje nieszczęście; jak gdyby myśl o tym, że został zdradzony, sprawiała mu większą przykrość, niż sama zdrada.

Widywano już wielu rogaczy, którzy woleli być świadkami swojej hańby i powiernikami niewiernych żon, niż umierać ze zmartwienia, wyobrażając sobie, co też wyczynia ta wiarołomna; którzy nawet podstępem doprowadzili do tego, że mogli się przyjrzeć, jak ich żona rzuca się pod ciałem innego mężczyzny. Cóż dopiero, o Phyllodocis, musi poczuć mężczyzna, który zastanie swą małżonkę w ramionach niewinnej, a nawet ponętej dziewczyny?

– Przerażasz mnie! - wykrzyknęła Phyllodocis. - A co by się stało, gdyby Phaon, widząc cię nagą obok mnie, uznał, że masz nade mną przewagę?

– Czy to możliwe, że tak mówi kobieta, która zapewniała jeszcze przed chwilą,

że mnie kocha? - zapytała Mnais. - Można by pomyśleć, że wybrałaś męża, bo w ten

sposób oszczędzasz najbardziej właśnie jego.

I uroniła łzę, którą Phyllodocis zatrzymała czubkiem swego różowego palca:

– Och, moje dziecko, wiesz przecież, że to nie to samo.

– Ale powinno tak być! - wykrzyknęła Mnais, tupiąc nogami. - Nie mogę znieść, słyszysz, że co wieczór gwałci cię ten brodacz, a ty, zauroczona jego wstrętnym darem, gardzisz mą ofiarą. Ponieważ widzę, że się wahasz, niech ta rozmowa

będzie naszą ostatnią. Ubiorę się teraz z powrotem, a ciebie niech Zeus ma w swojej opiece!

Zagniewana, nałożyła na siebie tunikę i podeszła do drzwi, ale

w przedśionku natknęła się na światłą Anactorię, która swoim zwyczajem podglądała do tej pory wszystko przez zamaskowany otwór w ścianie i podsłuchiwała całą rozmowę.

– Mnais - powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu - rozkazuję ci wrócić i zrzucić z siebie całe odzienie! A potem chcę poznać przyczynę waszego sporu! Zaczęły mówić jedna przez drugą: gdyby Anactoria nie wiedziała już o wszystkim, nie zrozumiałaby i tak, o co im chodzi. W końcu skierowała karcący wzrok na Phyllodocis:

– Na duszę Safony, której przyjaciółką byłam przed laty, nie masz racji, żono Phaona. Jakże tak?! Oto niewinna Mnais oddaje się całym sercem miłości do

zameżnej kobiety, a ty, ze strachu przed zazdrośnikiem

wzdragasz się przed jedynym możliwym rozwiązaniem problemu? Mądrze powiedziałaś, Mnais, twierdząc, że zatroskany Phaon zapomni o swych czarnych myślach w obliczu różowych faktów. Podobnie zdarzyło się pewnego dnia, kiedy w słodkich ramionach Safony zaskoczył mnie dostojny Alkajos, przed którym poetka nie zamykała drzwi domostwa, chcąc wyleczyć go na zawsze z dręczącej go zazdrości. Jeżeli zaufasz memu doświadczeniu, to jutro i to pod własnym dachem zaoferujesz mocarnemu Phao-nowi widowisko świadczące o twej słabości, wiedz zaś, że postąpiłabyś bardziej niezręcznie i błędnie, odmawiając mu tego.

To powiedziawszy, mądra Anactoria oddaliła się, a obu kochankom, pojednanym dzięki milczącej aprobachie Phyllodocis, nie pozostało nic innego, jak tylko obmyślić odpowiedni plan. W końcu

uzgodniły, że spotkają się w domu Phaona tego dnia, kiedy będzie miał wrócić o zachodzie słońca z gimnazjonu. Tak się też stało i przyjaciółki obnażyły się wzajemnie, po czym przystąpiły do dzieła nie tylko miłego, lecz również słodkiego, a w tej sytuacji także koniecznego. Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy szlachetny Phaon, namaszczonej jeszcze oliwą, jak na zapaśnika przystało, otworzył furtkę... i zastał obie przyjaciółki w tak namiętym uścisku, że musiał obejść dokoła ich ciała, aby rozpoznać twarz żony, skrytą pod długimi warkoczami Mnais. Zaskoczony stał tak przez dłuższą chwilę, po czym wyszedł z sypialni, one zaś zadrzały, bojąc się, by nie wrócił z toporem. Ale Phaon zjawił się z powrotem z zupełnie inną bronią, bardziej delikatną, ale może też wzbudzającą większy respekt. Bez słowa wsunął się do łóżka pomiędzy obie urodziwe niewiasty, chwycił Phyllodocis za lewą pierś, odsunął ją na bok i posiadał Mnais tak brutalnie, że jego żona, zagniewana, poczęła przygryzać sobie dłoń. On jednak niezmorodowany obrócił się wkrótce do niej i dopiero, gdy Phyllodocis krzyknęła, wstrząsana spazmem rozkoszy, wstał i napełnił trzy kieliszki winem z Chios.

- Za naszą potrójną miłość! - powiedział, uderzając lekko swoim kieliszkiem o dwa pozostałe. - Niech wszyscy bogowie, Zeus, Afrodyta i Hera, będą świadkami i patronami naszego związku!

I po chwili ich usta i język połączyły się w pożegnalnym pocałunku. Prawdą więc jest, że nie ma tak drażliwej sytuacji, by nie mogły jej sprostać wspaniałomyślne serca; prawdą jest, że lepiej poddać się pewnym uczuciom, niż wątpliwym regułom, że wybrani nie powinni



kierować się przesadami ogółu i że szczęście osiąga się nie poprzez moralność głupców, lecz sztukę życia znaną mędrcom.“

Ostatnie zdanie, odczytane - jak cała reszta - przez Emilienne na głos, zyskało nasze gorące uznanie. Powtórzyliśmy je nie dwa, lecz chyba pięć razy, nie szczędząc przy tym komplementów, które napełniły Adilee radością. Wiadomo przecież, że i mężczyźni i kobiety wierzą najchętniej w taką filozofię, jaka odpowiada najbardziej ich namiętnościom. Trzeba przyznać, że w tym przypadku okoliczności sprzyjały osiągnięciu sukcesu...

W każdym razie od tej pory wytworzyło się coś w rodzaju zjawiska asymilacji pomiędzy naszą trójką i trzema postaciami z tego poetyckiego opowiadania. Moja żona i kochanka były nikim innym, jak Mnais i Phyllodocis, ja zaś - chociaż początkowo nie miałem nic wspólnego ze szlachetnym Phaonem - byłem już wkrótce utożsamiony z owym najmędrszym z wszystkich mężów. W naszym przekonaniu umocniło nas zwłaszcza owo cyniczne zakończenie: tworzyliśmy arystokrację bogatszej i bardziej wyrafinowanej formy namiętności. Wierzyliśmy naprawdę, że odkryliśmy coś nowego i zmieniliśmy świat poprzez jeden przebłysk rozumu, który - nie wiadomo czemu - kazał czekać na siebie przez całe tysiąclecia. W nocy 4 sierpnia, kiedy każde z nas oświadczyło, że rezygnuje z nadmiernych roszczeń seksualnych, opartych na prawie wyłączności, postanowiliśmy oprawić w skórę „Mnais i Phyllodocis“, pięknie wykaligrafowaną i opatrzoną przez autorkę w ilustracje wzorowane na sztuce hellenistycznej, a potem umieścić książkę na zawsze nad naszym łóżkiem - jako biblię i kodeks

nowej sekty trójkąta, której załączkiem mieliśmy stać się właśnie my.  
Miesiąc miodowy

I w ten sposób owa dosyć problematyczna namiętność wznosiła się na skrzydłach świetlanego toku myśli, ale w przypadku natury wielkodusznej nawet występki zostają obdarzone czymś szlachetnym. Rzeczywiście, Emilienne uważała siebie za obdarzoną szczególną łaską i niezwykłym szczęściem, cieszyła się niezmiernie, kiedy jej grzeszną przygodę otaczała owa promienna aureola. Do tego samego dążyła Adilee; początkowo usiłowała tylko osłodzić gorzką pigułkę mej żonie, ale teraz uznała widocznie, że dała się złapać we własne sidła. Mnie zaś pociągnął

czar pióra: odłożyłem nawet pędzel, aby ułożyć sonet, kończący się następującą

strofą, która recytowana solo, w duecie lub też tercecie, miała odtąd wieńczyć

każdy kulminacyjny punkt naszego romantycznego entuzjazmu:

„Jestem Salomonem i Sardanapalem,

Herkulesem, co przedzie z podwójną Omfalą,

Alkajosem, przez dwie Safony pocieszanym;

Jam Glaukos jest, z którym Syreny rozmawiają,

Jedyny Adam, mający dwie Ewy w raju, Jam władca na Lesbos, mnie trybady słuchają.“

Wkrótce jednak powróciłem do wrodzonych uzdolnień: na oczach moich zachwyconych przyjaciółek powstała cała seria intymnych rycin, na których - jak gdyby ręką nowego Ingresy -

widniały ich wyidealizowane uściski miłosne. Adilee, gotowa w każdej chwili dosiąść Pegaza literatury, potrafiła zresztą doskonale wnieść do szarej rzeczywistości życia trochę poezji, której daremnie można by szukać w moich dyletanckich rymach: miłosne wyznania, wypisane szminką na ciele drugiej, bukietek niezapominajek, noszony przez Algierkę stale na piersiach - podczas gdy moja żona wybrała dla siebie czarny tulipan; symbol koloru oczu swojej kochanki.

Ale nie uprzedzajmy zbyt wiele obrządków powstającego dopiero kultu! Pozostańmy przy codzienności, na którą swój cień rzucały pędzel i pióro. Nazajutrz po przeczytaniu „Mnais i Phyllodocis“, kiedy wróciłem do domu, obie kobiety siedziały przy stole: przed moim talerzem stał wazon z aronem, a na serwetce obok dostrzegłem nowe pióro Parkera. Menu obejmowało kawior i butelkę Medocu. Obie wstały jednocześnie, podając mi - ale ze spokojem, bez niepotrzebnej rywalizacji - wargi, rozchylone do pocałunku. Tym razem nasza gra miłosna była bardziej spokojna i świadoma, niż poprzednio; ich usta spotkały się na mojej piersi, następnie obie zmobilizowały cały swój kunszt, aby obdarzyć mnie najwyższą rozkoszą. W niedzielę, kiedy po raz pierwszy byliśmy z Emilienne sami w domu, powiedziała: - Cóż chcesz? Tak nam było sądzone, musimy tylko przyzwyczaić się do tego.

Naszą wiedzę o miłości we troje wzbogacała praktyka. Szczególnie dokładnie przypominam sobie dzień 1 maja: przyniosłem do domu konwalie i zastałem je obie w wannie: czekały na mnie, chichocząc. Po wodzie pływały płatki róży i cała flotylla syren z

celuloidu, opatrzonych już greckimi imionami. Podałem przytulonym do siebie najadom jeden jedyny płaszcz kąpielowy, w który owinęły się, dygocąc z zimna i rozgrzewając się wzajemnie, po czym ozdobiły mój wyprężony członek swoimi naszyjnikami.

Można by mówić wiele o wszystkich intymnych scenach, jakie demonstrowały w mojej obecności, nie szczędząc żadnych szczegółów! Adilee, która przed Emilienne знаła jedynie kobiety o brunatnej karnacji skóry, nie mogła się teraz nacieszyć wdziękami blondynki, jej bujnym rubensowskim ciałem, które mnie osobiście nie podniecało już tak, jak niegdyś. To ciało, które ustawicznie wzbudzało jej żądzę, Adilee pieściła rozdygotanymi rękami, wargami i nosem; Emilienne zaś odkryła wreszcie kobietę, cały urok kobiecości, napawała się widokiem, zapachem i smakiem kobiety. Nie mogła znaleźć słów, by oddać piękno twardych piersi swojej kochanki, jej płaskiego brzucha i ruchliwych bioder. Wychwalała pod niebiosa jej orientalną woń, kadzidło jej karku i mirrę szyi, piżmo pach, aż do zatracenia się chłoneła smak pieprzu i wanilii jej pęczniejących warg, natomiast moim udziałem było to niezwykle upojenie, do jakiego doprowadzał widok ich splecionych ciał, odgłos ich zmieszanego chichotu, krzyżujące się zapachy, a w przerwach między jedną chwilą rozkoszy a drugą - obraz tego magicznego piękna, którym syciłem nieraz oczy jedynie jako obserwator, nie próbując ich nawet dotknąć.

Tak, kochanek przekazałby chętnie swoje prawa artyście, były momenty, kiedy poruszałbym pędzlem po płótnie z tą samą przyjemnością, z jaką błądziłem językiem po ich ciałach, ale im nie

odpowiadała taka strata czasu; jedna z nich przywoływała mnie od razu, bym uzupełnił trójkąt.

Cóż to było za wzbogacenie tradycyjnej „Kamasutry“ o skomplikowane układy i wymyślne swawole! Nie mówię tu o zwyczajnych lesbijskich igraszkach, w których brałem udział jako widz, pomocnik lub - jeśli było to konieczne - poskramiacz: raz zezwalałem na leniuchowanie, innym razem dawałem im zakosztować mej męskości, zwłaszcza gdy lizały się lubieżnie lub pocierały jedna o drugą w wyuzdany sposób; jednego dnia moja dłoń przychodziła z pomocą omdlałym wargom, innego znowu musiałem przerwać kolejny z ich perwersyjnych aktów. Odkryłem na przykład w nocnym stoliku Emilienne jeden z tych dziwacznych przyrządów, którymi nasze barbarzyńskie babcie pocieszały się, gasząc żądze; natychmiast przeprowadziłem - w ich obecności spektakularny proces, który miał wyjaśnić jedno

des Olbes Claude - Emilienne pytanie: czy ja nie mogę już sprostać wymaganiom? Ponieważ traktowałem moją rolę bardzo poważnie, zacząłem studiować przy pomocy starych, ilustrowanych wydań dzieł Aretina i Gre-billona wszelkie możliwości, jakie stwarza klasyczny trójkąt. Stosując geometrię w służbie miłości, szkicowałem godzinami najrozmaitsze układy, dokładnie, ustalając z góry pozycje, a nawet kąty. One jednak uznały, że przypomina to za bardzo wyliczenia matematyczne; coraz częściej zawierały swej kobiecej fantazji. Jednego dnia Adilee otwierała przede mną Emilienne, rozchyłała jej tajemne wargi, czekając, aż wtargnę pomiędzy nie, innym razem moja

jasnowłosa udaremniała opór Algierki: przytrzymała ją tak długo, aż docierałem do celu. To zbyt zdyscyplinowane trio rozpadało się potem na duety, gdzie każde z nas - zgodnie ze swoim chwilowym natchnieniem, ale też niezmiernym bogactwem wyuzdanych wariacji - używało swego oręża tak sumiennie, jak tylko pozwalały na to siły. Nie było wglębienia, w którym nie wypróbowaliśmy co wspa-55

nialszych części ciała. Na moich oczach myły sobie wzajemnie najbardziej intymne miejsca, albo też spełniały ten obowiązek wobec mnie, wykorzystując sytuację, aby opleść językami ich wspólny klejnot.

W gruncie rzeczy to wszystko było raczej niewinne niż zepsute. Najbardziej zachwycające były naturalność i gracia ich ruchów, jak również świeży, nieskrępowany śmiech. To, co u innych miałyby charakter występku, u nich sprawiało wrażenie niewinnej zabawy.

Tak, wyobrażałem sobie, że jestem Salomonem, Sardanapalem, Herkulesem, Alkajosem, Glaukosem, Adamem, kapłanem diabła, monarchą wśród lesbijek, ale najlepiej wypadałem w roli prostodusznego Dafnisa w towarzystwie podwójnej Chloe. Tak jak tamci kochankowie, byliśmy opanowani tylko jedną myślą: wyczerpać wszystkie możliwości przeżycia spotęgowanej rozkoszy. Wróciliśmy jako poganie do sielankowej prostoty, gdzie nasze trio było tak samo dziewiczo-nietknięte, jak pierwsza para ziemskiego raju - z tą tylko różnicą, że zerwaliśmy nieco wyżej z zakazanego drzewa jabłko nieco większe, bo podwójne.

Waż ukazał nam rozkosze o wiele bardziej intensywne niż te, jakich doznają zwykli kochankowie. Moje przyjaciółki, chcąc poznać

jeszcze lepiej własne możliwości, osiągały ekstazy, których istnienia nawet nie podejrzewałem. Widziałem wyraźnie, jak pomiędzy dwiema parami ramion obejmujących w pełni szczęścia mnie, tego jedynego mężczyznę, ich umiejętność zaspokajania żądz wzmagala się bez końca, objęcia jednej z nich wydałyby mi się teraz mdłe, pożądałem ich obu, jedna bez drugiej straciłaby na wartości. Adilee bez Emilienne albo Emilienne bez Adilee nie interesowały mnie już. One zresztą również przyznawały, że ich zespolenie ze mną, we mnie, sprawia im rozkosz, jakiej nie doznały jeszcze nigdy przedtem. O ile mówiły prawdę, to ich własne zabawy miłosne beze mnie zaczęły je nudzić.

Adilee powiedziała mi któregoś dnia: - Nigdy jeszcze kobieta i mężczyzna albo dwie kobiety, które się kochają, nie przeżyły nawet setnej części tych rozkoszy, jakie my mamy szczęście poznać.

- Adilee - zapewniała Emilienne - daję mi szczęście, odkąd ty jesteś z nami, i na odwrót, ale najwyższy szczyt tego szczęścia tkwi w czymś, co trudno wyjaśnić, w czymś, co nas troje zarazem podnieca i wyczerpuje.

Tu muszę podkreślić z całym naciskiem, że w przypadku tego typu trójkątów wszystko odbywa się inaczej, niż u zwykłych par, gdzie najmniejsza oznaka rozleniwienia zachęca partnera: w takich chwilach inicjatywę przejmuje zawsze jedno z trojga. U nas była to najczęściej Adilee, która - zawsze skłonna do pokpiwania z utraty sił - śpieszyła od razu, by podnieść żagle. Jej niezmordowany umysł 56

wynajdywał coraz nowsze pomysły, które należało obrócić w czyn. Nawyk ustąpił przed nieustannym odświeżaniem.

Ale nasze kontakty nie ograniczały się do samej żądz. Obie „katalizowane“ (to wyrażenie Emilienne znalazła w swoich notatkach z okresu studiów; a więc ja stałem się katalizatorem moich przyjaciółek) wypełniały czas spędzany poza łóżkiem swoim wdziękiem i zaletami ducha. Wizyty Adilee trwały zbyt długo, by mogły mieć na celu tylko „to“, dlatego też poza chwilami, kiedy oddawaliśmy się miłości, utworzyliśmy pewne nawyki. Po śniadaniu, do którego zasiadaliśmy około dziewiątej, Adilee szła do swojej galerii, Emilienne do wydawnictwa, ja zaś do biura na Rue de Tournon. Jeżeli nie jedliśmy razem obiadu (a wszyscy troje staraliśmy się spędzać tę porę osobno, pomiędzy zaś pierwszą a trzecią zachowaliśmy nasze dawne małżeńskie życie we dwoje), Adilee przychodziła do nas o czwartej, ja wracałem do domu o piątej i do czasu naszej nocnej rozpusty zajmowaliśmy się jedzeniem, rozmowami, lekturą, muzyką i kąpielą. Szampan, a czasem burgund, ustawione w wiaderkach lub w koszykach na nocnym

### Strona 31

stoliku, nalewaliśmy do małych kieliszków, które opróżnialiśmy potem z rozkoszą jednym haustem, jako podkład innego upojenia. Kiedy po burzliwej miłości opuszczały nas siły, Adilee - zawsze ta najbardziej wytrwała - w neglizju, podawała nam zimnego kurczaka, albo - o ile był to już ranek - herbatę i dymiące jeszcze tosty, wypełniające swym aromatem cały pokój, w którym unosił się jeszcze zapach naperfumowanych ciał kobiecych. Nieraz zdarzało się, że razem z Emilienne ubieraliśmy bezwolną Adilee, która znikwała zawsze o odpowiedniej porze, zanim zdołalibyśmy poczuć przesytność. A zresztą



nasza czcigodna, przyzwoita sprzątaczką, której nie chcieliśmy wtajemniczać w nasze układy, przegoniłaby ją i tak.

Jakież to uroczę niespodzianki wypełniały nam miesiąc miodowy dzięki fantazji obu kochanek! Pewnego wieczoru, był to już drugi tydzień, otworzyły mi drzwi przebrane jedna za drugą. Zamieniły się nie tylko ubraniem, ale również biżuterią. Na twarzach miały czarne maseczki, poza tym w korytarzu panował półmrok, w pierwszej chwili mogłem więc rozróżnić je wyłącznie po zapachu. Udany żart osmielił je. Od tej pory przywdziewały kostiumy, które albo uszyły same, albo też miały z wypożyczalni na Rue de Richelieu. Jednego dnia spotykałem Emilienne w salonie, z wachlarzem w dłoni, jako damę z epoki Ludwika XIV, Adilee natomiast jako sułtana z Bagdadu, z żółtym turbanem na głowie. Innym razem Adilee udawała angielską pokojówkę, która w krótkim, wdzięcznym fartuszku i ukroczmalonym czepku usługiwała swej lady; oferowały mi to widok wiejskiej sielanki z dwiema zakochanymi w sobie pasterkami, to

scenę z haremu, w której faworyta karci czule swoją rywalkę, albo też obie, odziane w ciżemki i koronę z warkoczy, występowały jako Izoldy, Izolda o białych dłoniach i Izolda Jasnowłosa, które wkrótce znajdowały pocieszenie w ramionach Tristana. Pewnego czwartkowego popołudnia Emilienne była huzarem, a Adilee markietanką. Odegrały przede mną krótką, niezwykle komiczną i rozpustną sztukę spod pióra Adilee i z muzyką Emilienne (trochę znała się na kompozycji). We wszystkich możliwych kostiumach improwizowały też pantomimy, sztuki baletowe i popisy, które w

przeuroczy sposób stawały się coraz bardziej sprośne, kurtyna zaś - można się tego łatwo domyślić - opadała stale w tym samym momencie. Co do mnie, uczestniczyłem niefrasobliwie w tych igraszkach, podejmując się najbardziej drażliwych ról, w których aż do nieuniknionego końca dawałem z siebie naprawdę wszystko, na co było mnie stać.

Czyż muszę wspominać tu jeszcze najprzeróżniejsze smakołyki, jakie sobie przyrządzaliśmy i jakie czyniły z każdego posiłku prawdziwą rozkosz dla podniebienia, albo kwiaty, którymi Adilee zapelniała bez opamiętania wszystkie wazony, słodycze, jakie Emilienne dosypywała stale do bombonierek, czy owoce, tworzące jako martwa natura tło do naszych intymnych żywych obrazów? Czy mam opowiadać o ptaszkach i białych myszkach, którym moje przyjaciółki pozwalały igrać tuż pod nosem wszędobylskiej perskiej kotki, (ta zresztą pożarła je wkrótce, ale nie z głodu, a raczej z zazdrości) lub o drobnych błyskotkach, jakimi je obdarowywałem, o fatalaszkach i bibelotach, jakie im obu znosiłem? Jeżeli przynosiłem jednej naszyjnik, broszkę czy pierścionek, druga musiała dostać dokładnie to samo, tak że z czasem miały wszystkie rzeczy takie same; jak bliź-niaczki.

### Majowe wycieczki

I tak oto upływało nam życie w tej zakonspirowanej celi, ale w jaki sposób, mógłby zapytać ten czy ów, poradziłyśmy sobie z otoczeniem? To było proste: unikaliśmy go. Emilienne i ja byliśmy zawsze domatorami. Teraz tym łatwiej przychodziło nam nie naprzykrzać się nielicznym krewnym czy znajomym, mieszkającym w

odległych dzielnicach miasta. Również Adilee zaczęła zaniedbywać wszystkie malarki i modelki, z którymi zadawała się dawniej. Póki co udawało się nam bez większego trudu nie wzbudzać w tym wirze Montmar-tre'u niczyjzego zainteresowania.

Jednak ciesząc się słodkim szaleństwem w naszym dobrowolnym więzieniu, nie mieliśmy zamiaru rezygnować ze świeżego powietrza, zwłaszcza kiedy nadeszły pierwsze piękne dni wiosny. Kiedy mieliśmy już za sobą „ogrodników“, zaczęliśmy spędzać popołudnia w ogrodzie. Za pomocą dwóch parawanów przekształciłem staw w basen dla moich nimf, które o tej porze roku wołały taką kąpiel niż wannę. Podczas gdy obie kochanki wygrzewały się na słońcu, splatając nogi pod wspólnym kocem, czytaliśmy, a potem komentowaliśmy nieprzyzwoite książki. Po kolacji ryzykowaliśmy wycieczki po uliczkach „wzgórza“ - zbyt wąskich, by można było iść swobodnie, tak więc podążałem za mymi damami, osłaniając je przy tej okazji. Z upływem dni majowych stawaliśmy się coraz śmielsi, przedłużaliśmy spacerów aż do Belleville i Menilmontant. Ani jednej dzielnicy, ani drugiej nie znaleźliśmy zbyt dobrze: uszczęśliwieni odkrywaliśmy to malowniczą uliczkę, to ukryte

przejście, to znów uroczy widok przez wyłom w murze. Adilee uwielbiała niezwykle miejscowości, dające okazję do dowcipnych uwag, artystycznych obserwacji albo psotnych kawałów. Pewnego dnia na przykład przedstawiła mnie w knajpce na Rue de la Halle jako prawdziwego bigamistę. Oczywiście właściciel odkrył w sobie natychmiast skłonności detektywistyczne, zjawił się policjant, a ja

natrudziłem się co niemiara, zanim udało mi się za pomocą dokumentów udowodnić, że był to tylko żart. Adilee ceniła też niewielkie, podejrzane lokaliki, jak również ulice z prostytutkami, i przechadzała się tam czasem, aby wzbudzić zazdrość Emilienne. Mniej pociągały nas wystawy i koncerty. O ile obie kobiety wykazywały - także ze względu na łączące je uczucie - podobny smak, jeżeli chodzi o malarstwo i muzykę, to pochopne, często laickie osądy Adilee'na temat sztuki nowoczesnej drażniły Emilienne. Wzajemna harmonia wracała jednak do dawnego stanu pod sklepieniami kościołów w Saint-Severin, Saint-Merri i Saint-Leu, szczególnie lubianych przez jedną i drugą: zarówno tę dawną wierną jak i urodzoną ateistkę. Doszło do tego, że wstydziliśmy się przed Joanną d'Arc i Cure d'Ars, którym demonstrowały ostentacyjnie nasz niezwykle, gorszący stosunek. Odbywaliśmy także wypadki na wieś i do lasu. Adilee prowadziła nas z upodobaniem na południowe przedmieścia Paryża, do Vallee-aux-Loups, gdzie mieszczący się pośród oranżerii pawilon Latouche'a, stajnie Girardina, imitacje budowli w stylu Louisa XIII, stara, opuszczona pralnia, gigantyczne szkółki leśne, pstre grządki kwiatowe, róże rosnące pod cedrami i kasztanowce wyłaniające się spośród japońskich wiśni tworzyły romantyczną puszcę. Lubiała też lasy Verrieres, skąd - stojąc na czworokątnym

plaskowyzu - można było ogarnąć wzrokiem Sveaux, Antony i Igny oraz Abbaye aux Dames, podczas gdy w dole kręte ścieżki wiły się poprzez nieprzebyte - zdawałoby się - gęszcz zieleni. Obie przyjaciółki wędrowały tamtędy często z samego rana, z obnażonymi ramionami i

piersiami; lubiły zrywać w gęstwinie kwiaty, obsypując się przy tym piśszczotami. Lubiły w południe otworzyć koszyk i urządzić piknik na mchu. Po obiedzie lubiły odbywać sjęstę i całować się, czując jeszcze na wargach smak aromatycznych poziomek i wiśni, albo też poddawać się błogiemu rozleniwieniu i topnieć w mych ramionach, zamiast brać na siebie trud atakowania. Lubiły pieścić na rozgrzanej od słońca trawie swe wilgotne ciała, czując jak ciepło wzmaga ich zapach; lubiły chwile, kiedy po miłosnych igraszkach, pokrywających ich ciała potem, plecy chłodził im nagły powiew wiatru. U schyłku dnia lubiły leżeć upojone rozkoszą, nagie i przytulone do siebie, i drzeć pod strugami ulewnego deszczu. Ileż to razy, kiedy znikały w którymś z parowów, ja pilnowałem sterty ich wielobarwnych ciuszków! Nosilem ich torebki, a przede wszystkim nosilem symboliczny świecznik, w którego blasku, jeśli mi wolno tak powiedzieć, widziałem Adilee, jak odłamuje cieniutką gałązkę dębu lub orzecha i - uzbrojona w tę ulistnioną różgę - skrada się za swą umykającą przyjaciółką. Gdzie one się spotykały? Co tam robiły? Niestety, musiałem zadowolić się widokiem ich dwóch usianych świetlistymi plamkami ciał - mlecznego i śniadego - znikających wśród gałęzi. Miały też miejsce zabawy wspólne, albo przynajmniej inspirowane przeze mnie: na przykład w chowanego, przy czym Emilienne musiała odnaleźć swoją nagą kochankę, ukrytą w pustym pniu kasztanowca, ja zaś słyszałem potem, gdy moja żona znalazła już kryjówkę, gardłowe okrzyki leśnej nimfy; albo też w ciuciubabkę, kiedy to za całe ubranie musiała wystarczyć Emilienne przepaska na oczy. Do zachwyty, jaki wzbudzała w niej świadomość, że

wystawiona jest na spojrzenia wszystkich, dołączała się obawa, iż nie dojrzy jakiegoś grożącego jej niebezpieczeństwa, na szczęście jednak Adilee, skradając się tuż na nią i łaskocząc ją trawką, pozwalała się schwytać zadziwiająco szybko, po czym obie padały na mech, gdzie nimfa mogła wreszcie wyrównać rachunki. Dobrze, że są takie pory dnia, kiedy w lasach Verrieree spotyka się zaledwie kilku spacerowiczów i jeszcze mniej policjantów. Wreszcie udawaliśmy się w drogę powrotną przez Chatenay, gdzie witało nas porozumiewawczym uśmiechem popiersie Voltai-re'a, i wstępowaliśmy do „Chant du Rossignol“ lub „Bouquet de la Vallee“ na rozkoszny łyk zwykłego „Saumura“. Gdy zachodziła taka potrzeba, pozwalałem sobie na przyjemność wynajęcia dla moich ślicznotek w którymś z tych podrzędnych lokalików w Robinson dyskretnej separatki - staromodnej pozostałości po rozpustnym wieku dziewiętnastym - gdzie można było oddać się wszelkim rozkoszom na kufrze, zawierającym mnóstwo jakże wymownych przyborów, dokładnie pod sprośnym obrazem, którego odbicie - niezbyt wyraźne i rozdwojone przez rysę w szkłe - oglądało się podczas stosunku w półślepym już lustrze weneckim. Bez sprzeciwu płaciłem żadaną cenę, po czym moje dwie panie wchodziły do małego pomieszczenia, ja zaś przysłuchiwałem się pod drzwiami ich tłumionym chichotom i nabierałem ochoty, by przyłączyć się do nich. - Nie, nie, tylko dwie osoby! - wołała natychmiast

rozochocona gospodyni. - Chyba, że ja uzupełnię ten kwartet... - Jej groźba, w połączeniu z podwojoną już taryfą skutecznie studziły mój zapal. Na wierzchołku Vrai Grand Arbre, wysoko nad zgiełkiem

rozbawionych gości weselnych z okolicy, pozwalaliśmy sobie niekiedy na luksus upojnych chwil miłości w powietrzu. W mej pamięci utrwalił się wieczór, kiedy obie damy, siedząc ze mną wśród gałęzi, całowały się namiętnie i zostały zauważone przez jakąś druhnę i jej zalotnika. Nieznajoma para urządziła nam serenadę, a potem wezwała resztę, rozpoczynając prawdziwe oblężenie, tak że w końcu musieliśmy zejść na dół i przejść przez szpaler dowcipkujących gapiów.

– Rzeczywiście, macie się z czego śmiać, biedne pary! - zawołała Adilee. Późnym popołudniem, 24 maja, przewiozłem je łódką po stawie parku w V... niedaleko Bievres, który należał do mojego przyjaciela, wiedziałem zaś, że jest zamknięty i niestrzeżony. Wiosłowałem przez godzinę, kompletnie ubrany, podczas gdy one, nagie, tuliły się do siebie. Nigdy jeszcze nie żałowałem bardziej, że nie jestem genialnym malarzem i nie potrafię uwiecznić tego rozkosznego widoku. Wreszcie przybiliśmy do brzegu obok olchy i tam rozciągnąłem się na dnie łodzi, czując po bokach ciepło ich ciał. Ich dłonie spotkały się nad moimi oczami, przesuwaly się pieszczotliwie. Adilee miała ochotę na miłość we troje, ale Emilienne zaczęła się opierać:

– Claude, proszę... gdyby teraz ktoś nadszedł!

– Nie rozumiem cię! - odparła Adilee. - Co do mnie, jestem dumna z naszej trójki. Kiedy przebywam razem z wami, inni obchodzą mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg. Nawet gdyby otoczyli nas wszyscy gapie świata, nie przeszkadzałyby mi to nic a nic.

– Może masz rację... Ale nie tak zupełnie nago! - zaoponowała

Emilienne. Trzy pary warg rozgniotły dziką różę, zerwaną przez nią przedtem na brzegu. Muszę przyznać, że nie poznawałem mojej zazwyczaj tak po-wściągłej małżonki, z tym jej ostentacyjnym krygowaniem się. Adilee wyzwałała w niej pewną wulgarność, kontrastującą z poetycką pozą, jaką demonstrowała

często Algierka. W rzeczywistości jej skłonność do rozpusty stanowiła jedynie zwierzęcą stronę romantycznych marzeń.

Paryż wybił nam szybko z głowy te skandaliczne pomysły. Po ekstrawagancjach, jakim oddawaliśmy się poza murami miasta, staliśmy się znowu szacownymi obywatelami. Zazwyczaj, zamiast wracać czym prędzej na Montmartre, kończyliśmy dzień w jednej z tych „nastrojowych“ restauracji na lewym brzegu Sekwany. Pewnego wieczoru, kiedy siedzieliśmy w hiszpańskiej tawernie, gdzie Paellas podawano klientom czekającym nie na krzesłach, lecz beczułkach, ku naszemu przerażeniu pojawiło się niedwuznaczne trio, a za nim drugie i trzecie. Ta niesmaczna parodia naszego wzniosłego związku doprowadziła Emilienne do rozpacz. Co gorsza, jeden z owych tercetów składał się z dwóch mężczyzn i jednej kobiety. Musieliśmy wyjść z lokalu i zakończyć nasz posiłek wśród bez wyjątku „normalnych“ klientek w „Assassins“. Rozwój mistyki

Mimo postawy, która mogłaby wskazywać na zabawę, Emilienne zachowała wierność moralności prezentowanej w „Mnais i Phyllodo-cis“, zwłaszcza w Allee des Brouillards, świętym miejscu jej pierwszego upojenia zmysłów. Wprawdzie znała się na żartach, ale nie przepadała za nimi, a nasza przygoda oznaczała dla niej arcydzieło



umysłu. Adilee nie przeciwstawiała się jej, a kiedy sama się już wyszumiała, wróciła pierwsza do rozmów na tematy bardziej poważne. Nasze wysublimowane wieczorne rozrywki obejmowały nawet muzykę. Adilee nastawiała płyty Bacha i Haendla i to stanowiło tło naszych dyskusji. Nie rezygnowaliśmy też z poezji. Zmysłowy dreszcz liryki naprowadził nas na wszystkich klasyków miłości lesbijskiej, poczynając oczywiście od Baudelaire'a i Renee Vivien, chociaż w pewnym sensie poeci ci zostali już dawno w tyle. Renee Vivien zarzucaliśmy luki w jej twórczości, u Baudelaire'a odkryliśmy trudne do zrozumienia wyrazy potępienia. „W bladym świetle posępnych lamp...

– deklamowała Adilee, my zaś słuchaliśmy w skupieniu aż do napuszonego wiersza:... zstąpcie, zstąpcie na dół, żałosne ofiary...“

– Żałosne ofiary? - przerwała Emilienne. - Czyż jesteśmy ofiarami i to w dodatku żałosnymi? Najdroższa, czyż nasze ciała trzepoczą na wietrze jak stara płachta? Czy nie w tobie właśnie odnalazłam tę doskonałość, jakiej zawsze szukałam? Ten Baudelaire, jak się wydaje, tkwi mimo swego całego buntu głęboko w moralności chrześcijańskiej. Nie rozumie wcale ani tego, co wielkie w miłości lesbijskiej, ani tym bardziej tego wspaniałego trójkąta, gdzie skupiają się nasza miłość, namiętność i cnoty.

Z trochę przesadnym zapalem Adilee rozwinęła jeszcze bardziej tę osobliwą

doktrynę: udane trio ucieleśnia najwspanialszy triumf ducha i serca, wyrasta

ponad zazdrość zwyczajnej pary i jest dzięki temu idealnym spełnieniem ludzkiej

istoty, jest bez wątpienia komórką pierwotną uniwersalnej miłości między ludźmi.

Jak widać, była to filozofia religijna, a taka religia wymagała swego kultu.

Najważniejszymi przedmiotami kultu były fotografia ukazująca Adilee en face, w

wieczorowej sukni, oraz naga, klęcząca u jej stóp Emilienne; woskowy odcisk

naszych trzech głów, złączonych w pocałunku; podwójny portret obu kochanek,

sporządzony przez mistrza w swoim fachu, fresk, na którym zaznaczyłem

najważniejsze epizody naszej grupowej miłości. Do tego dochodziły

najprzeróżniejsze pamiątki: zasuszone kwiaty, sterta listów i zdjęć, kartki, na

których każde z nas opisało najpiękniejsze dni współżycia.

Obie kapłanki i ksiądz przywdziewali do ołtarza odpowiednie insygnia. U

Emilienne była to luźna, bardzo kobieca suknia, u Adilee spodnie i pulower, albo

ciemny, dopasowany kostium, pod którym miała prowokujący stanik i obcisły pas.

Emilienne wypuszczała włosy spod kapelusza a la Pompadour, Adilee preferowała

krótko przystrzyżoną fryzurę i zawadiacką czapeczkę. Mój „strój urzędowy“

składał się z jasnej, aksamitnej kamizelki, niebieskiego garnituru ze złotymi

guzikami, jasnego krawata i miękkiego kapelusza z szerokim rondem. Każde z nas

nosiło też symbol naszego trójkąta: kobiety perłowe szpilki, jakie im

podarowałem, ja zaś sygnet z odpowiednim grawerunkiem.

Wszystko to znaczyło jeszcze niewiele w porównaniu z regułami do jakich

zamierzaliśmy się stosować: bezwzględna szczerłość w obrębie grupy, całkowita

rezygnacja z okrucieństwa, złościwości, kłamstwa, zazdrości i przesadnej dumy,

epikureizm w ramach rozsądku propagowanego przez literaturę i sztukę,

uwzględnienie żądzy partnerów, wzajemna wspaniałość, rozciągnięta również

na wszystkich ludzi, zwłaszcza zaś na naszych braci i siostry uznających

trójkąt. Precyzyjnie obmyślony plan zajęć określał dokładnie udział każdego z

nas w obowiązkach domowych. Nasza szczęśliwa  
liczba? Łatwo ją było odgadnąć. Nasz cel? Świat, w którym  
wszystkie „trójkąty“

mogłyby żyć w blasku na łonie potrójnej Wenus.

To były tablice z naszymi przykazaniami, które wkrótce  
podnieśliśmy do rangi

kodeksu tria uniwersalnego. Adilee komentowała ten kodeks  
zgodnie z łagodnymi

żądaniami Emilienne: przypominała chwiejnego kaznodzieję,  
który ustawicznie bije

się w piersi i dzięki temu przekonuje się wreszcie do wiary.

A czy sam byłbym w stanie zdefiniować moje ówczesne  
uczucia? Wydaje mi się, że

ulegały one pewnej nieznaczącej przemianie.

Początkowo odbierałem tę pogmatwaną, niedorzeczną mistykę,  
służącą namiętności

jednej i interesom drugiej, jako wyjątkowo wygodną.  
Hołdowałem jej jak pewni

małżonkowie, którzy udają dobrych katolików przy stole, jeśli  
nie w łóżku i

uważają za praktyczne to, że ich żony wierzą w Boga, a za  
mądre - że sami

uchodzą za przykład. A mimo to dostrzegałem groźbę, nawet  
naganność takiej

postawy.

Z biegiem czasu wpływ spotęgowanej kobiecości na mnie osłabił siłę mego męskiego

umysłu. Utraciłem również ów ironiczny dystans, jaki prawdziwy mężczyzna

powinien zachować w obliczu kaprysów seksu: stałem się po prostu zwykłą samicą.

Stąd też wzięła się moja skłonność, aby uznać ważność tej nowej wiary,

przynajmniej pod względem społecznym. To tu tkwiło rozwiązanie odwiecznego

problemu rozłamu małżeństwa, a nawet nadzieja na gwarantowaną równowagę dla

wszystkich ludzi - w poszerzeniu tradycyjnej pary. Mogłem torować drogę

odmienionemu w tym względzie społeczeństwu, nie brakowało przecież moralnych

pretekstów. W końcu dawna moralność, jak tylko okiem sięgnąć, ustępowała i tak

przed nowymi obyczajami, wcale nie lepszymi od naszych - czyż nawet w najlepszym

towarzystwie najbardziej odrażające perwersje i najbardziej wyuzdane przyjęcia

nie były na porządku dziennym?

Te wykrętne dowody, mające usprawiedliwić moje błędzenie, mogą wydać się

śmieszne, ale - co już raz powiedziałem - obie kobiety wywierały na mnie wielce

znaczący wpływ. I dlatego każdy, kto zajrzałby pod nasz dach, mógłby dojrzeć

kaplicę, gdzie niezwykle osobliwe obrządki religijne trzymały wysoko w górze

sztandar najwyższego rozsądku.

Adilee wprowadza się

Kolejne tygodnie zastały nas pogrążonych coraz bardziej w mistyce i rozpuście.

Wynikła pewna kwestia, a raczej sprawę tę poruszyła moja żona

13 czerwca, w pierwszą niedzielę po 2 kwietnia, którą spędzaliśmy jako

małżeństwo sami, gdyż Adilee wyjechała z grupą zaprzyjaźnionych malarzy do

Chartres.

- Przyznasz mi chyba rację, że coś tu jest nie w porządku. Dlaczego pozwalamy,

by Adilee mieszkała tak daleko od nas, skoro moglibyśmy umieścić ją bez problemu w naszym domu? Nie musiałyby już płacić czynszu, a dzięki temu rzadziej zwracałyby się do nas o wsparcie finansowe. Moglibyśmy zrezygnować z naszej sprzątaczkii, która i tak nam przeszkadza. Sam uskarżałeś się na nią już nie raz. Adilee potrafiłaby zajmować się sprawami bardziej odpowiedzialnymi; przydałby się nam taki nieduży prywatny sekretariat. Skrzywiłem się.

– A gdzie ona by mieszkała? - zapytałem.

– Oczywiście w pokoju na poddaszu. Teraz mamy tam rupieciarnię, ale możemy wstawić przecież meble.

– A posiłki? A ubrania? Przy wymaganiach Adilee byłoby to dla nas spore obciążenie. Musiałaby dostawać też co jakiś czas kieszonkowe.

– Och, mój drogi, tam gdzie wystarcza dla dwojga, wyżywi się też troje. Co do ubrań: dwie kobiety, które się kochają, potrafią uszyć je same. A kieszonkowe otrzymuje z Blidy.

– W każdym razie musielibyśmy ją najpierw zapytać, czy chce z nami zamieszkać.

– Co do tego nie mam wątpliwości. Obecna sytuacja jest dla niej bardzo

kłopotliwa. A ja nie zaznam spokoju, dopóki będzie mieszkała w tamtym studio narażona na najprzeróżniejsze wizyty.

– Czy nie sądzisz, moja droga - zastanowiłem się na głos - że naszej trójce wyszłoby na dobre, gdyby ta trzecia bywała chwilami chociaż nieobecna?

– Tereferę! Czy my, ty i ja, nie byliśmy szczęśliwi, zanim zaczęliśmy wyznawać te liberalne poglądy na życie? No, to, jak, zgoda?

– Zastanowię“ się jeszcze - odparłem.

– Och, mój mały Claude, nie daj się prosić!

Już wkrótce zorientowałem się, że nasza rozmowa to tylko formalność. W rzeczywistości obie kobiety uzgodniły wszystko kilka dni wcześniej, a Emilienne poczyniła już pewne przygotowania. W

poniedziałek nasza sprzątaczką po raz pierwszy nie zadzwoniła o dziewiątej do drzwi, a Adilee, która wróciła z Chartres późnym wieczorem, przenocowała u nas. Ujrzałem ją znowu przy śniadaniu i właściwie nie zdziwiłem się, kiedy wieczorem wybiegła mi na spotkanie do ogrodu: pantofle, domowa sukienka, niedbała fryzura i swoboda typowa dla kobiety, która czuje się jak u siebie w domu - niczego tu nie brakowało. W przedsionku zauważyłem pustą waliz-

kę. Adilee ujęła mnie za rękę i podskakując radośnie, zaprowadziła na górę, po czym wepchnęła do pokoju, gdzie czekała już Emilienne, również w domowej sukience. Uradowane, rzuciły się na łóżko, oddając się pieszczotom i pocałunkom, a potem całe trio musiało wypróbować jakość materaca.

Rozciągnięty między nimi, z dłońmi pod głową, przy czym każda przytrzymała mnie za łokieć, wpatrywałem się w pokój, gdzie do tej pory przechowywałem jedynie stare obrazy, teraz zaś charakter pomieszczenia ukształtowały rzeczy Adilee: przybory toaletowe i do manicure, ubrania zawieszane już na drążku. Musiałem przyznać, że Emilienne urządziła mansardę z prawdziwym smakiem: błękitne zasłony, błękitna pościel, błękitny klosz na lampę i nawet jasnobłękitne cukierki na tacy z lazurowego opalu. Na półce nad narożnikiem moja żona ustawiła pierwsze tomy obmyślanego już od dawna księgozbioru o miłości lesbijskiej. Podpórki do książek przedstawiały dwie syreny. Obok nieodzownych „Pieśni Bilitis“ Pierre Louysa i poematów Renee Vivien można było znaleźć „Meursjusza“ Choriera, „Obyczaję epoki“ młodszego Crebillona, „Dziewczynę o złocistych oczach“ Balzaka, a



także utwory współczesne, jak „Studnia samotności“, „Mont-Dragon“ i inne... Nie wątpię, że Emilienne dołączyłaby do nich chętnie całą literaturę o miłości w trójkątach, ale poza kilkoma pozbawionymi smaku erotykami знаła jedynie „Mnais i Phyllococis“, której pięknie oprawiony manuskrypt stanowił ozdobę tej osobliwej biblioteki. - No jak, czy nie jest tu teraz ładniej niż przedtem? - zapytała i pocałowała mnie za uchem. - W ten sposób nasza przyjaciółka zachowała niezależność, mimo że mieszka już u nas. To jej prywatny kącik, jaki musimy respektować.

Pokój Adilee, chociaż tak uroczy, był jednak prawie nie używany. Bardzo szybko Emilienne uznała nasze wieczorne pożegnania za nieznośne, przeważnie więc Adilee zostawała w naszym łóżku i w ten sposób zaczęliśmy sypiać w niezbyt wygodnej ciasnocie wszyscy troje. Ku swemu zaskoczeniu, jak również rozbawieniu ujrzałem pewnego wieczoru zamiast naszego podwójnego łóżka olbrzymie łoże, rozstawione tu przez Emilienne. Aż chciałoby się ją zapytać, w której to wytwornej stolarni odkryła to cudo, szersze niż dłuższe, jakby stworzone do rzymskich orgii. - Proszę! - powiedziała Emilienne. - Teraz nie będziesz się już skarżyć, że leżysz ściśnięty między nami. Trzy białe poduszki były ułożone na wałku i ta nowość wywołała przed pójściem do

łóżka salwę śmiechu.

- Prześcigamy już chyba samych siebie! - wykrzyknęła Adilee, kładąc się naga pomiędzy mną i Emilienne. I rzeczywiście: kiedy tego wieczoru lampa zgasła, pozostawiła księżycowi zadanie wydar-

cia z mroku sceny, która w mocniejszym oświetleniu byłaby zbyt śmiała. „Pokój błękitny“ nie był jednak tak w ogóle nie używany: traktowaliśmy go jako intymne schronienie dla duecików, rozgrywanych pomiędzy mną i Adilee albo Adilee i Emilienne, a nawet między mną i Emilienne, chociaż zdarzało się to coraz rzadziej - zwłaszcza w przypadku obu kobiet: miłość bez mojego udziału wydawała im się już teraz szczęściem niepełnym, a nawet grzechem. Jak powiedziała Emilienne: mogło to uchodzić najwyżej po południu, aby nie doskwierała tak bardzo pustka wielkiego łóżka podczas mej nieobecności, albo w trakcie owej kilkudniowej niedyspozycji, kiedy to Adilee otaczana była większą troskliwością, niż może na nią liczyć za strony najczulszego kawalera leżąca już na łożu śmierci kochanka.

Przez wiele tygodni byliśmy szczęśliwi nawet poza łóżkiem. Adilee chwyciła raz za kiść do zmiatania kurzu, to znowu za pióro. Podczas posiłków obie odgrywały na zmianę panią i służącą. W poniedziałki Algierka tytułowała nas „madame“ i „monsieur“, we wtorki usługiwała nam uległa Emilienne. Ja zaś siedziałem jak pasza na tronie; najmniejszy gest z mej strony wystarczył, by moje pragnienia były spełniane z nadwyżką. Zastanawialiśmy się nawet, jak to możliwe, że na tak wygodny układ nie wpadli już przed nami ludzie, którzy od tysiącleci dźwigali na sobie okowy małżeństwa. Niepokoiło mnie trochę tylko jedno: moja druga żona stawała się coraz bardziej wymagająca, chciała być równa tej pierwszej. Burze na Montmartre

Miesiąc miodowy minął szybko, a potem chyłkiem do naszego podwójnego małżeństwa zaczęła zakradać się nuda. Każde z nas

usiłowało na swój sposób umknąć z niewoli stałego sam na sam. Biedna Emilienne próbowała wszystkiego: nowych płyt, kart albo innych gier, przeznaczonych dla trzech osób, Adilee przekształcała się w tej wspólnej walce przeciw nudzie w Szeherezadę. Co do mnie, pomagałem jak tylko mogłem przy zmywaniu naczyń czy łuskaniu fasoli, ale dla Herkulesa otoczonego dwiema Omfalami materac stawał się coraz twardszy.

Owa pańszczyzna zagrażała już szczęściu trójkąta. Może nie tyle obciążeni lekką w końcu robotą, co raczej chcąc się uwolnić z tego wspólnego kieratu, postanowiliśmy zatrudnić od nowa pomoc domową. Miało to również zaoszczędzić nam robienia zakupów, jakie -

niezależnie od tego, czy wychodziliśmy po nie w pojedynkę, we awo-je czy troje,

- wywoływały złośliwe uwagi piekarzy czy rzeźników. W końcu wybór nasz padł na młodą, bystrą osóbkę o imieniu Luiza; wyrozumiałą, żądną przygód dziewczynę z

ludu, przed którą nie udało się nam zataić naszych zwyczajów. - Nie ma co

ukrywać tego przede mną - powiedziała któregoś popołudnia, wchodząc nieoczekiwanie do sypialni, gdzie obie kochanki, przyłapanie na gorącym uczynku,

usiłowały spieszenie okryć swą nagość. - Tu wszyscy już o tym wiedzą. Mnie tam

jest bez różnicy. Sama sypiałam z moją poprzednią panią.

Kiedy Emiïienne opowiedziała mi o tym zajściu, była bardzo poruszona. - Naprawdę, mój drogi, zastanawiam się, za kogo nas tu mają! Och, dlaczego tak jest, że piękne uczucia widziane są przez innych w krzywym zwierciadle? Ale sytuacja pogarszała się nadal: ponieważ nasza nowa służąca wiedziała o wszystkim, próbowała spoufalać się coraz bardziej. Jej bezceremonialność szła w parze z ignorowaniem suchych rozkazów pani domu, podczas gdy polecenia „madame numer 2“, wypowiedane nawet najłagodniejszym tonem, wypełniała w mgnieniu oka. - Świetnie, nie ma co! - mówiła Emiïienne. - Naprawdę, chciałabym wreszcie wiedzieć, kto tu jest panią, Adilee czy ja?

Algierka znalazła wkrótce wyrafinowany środek, aby umocnić swe panowanie: krzepkie wdzięki Luizy i jej dosyć prostacki sex-appeal zaczęła zaszczycać komplementami w stylu: „Przy takich ramionach to nic dziwnego, że spodobała się pani swojej chlebobawczyni“, ośmielała się też - ku wyraźnemu niezadowoleniu Emiïienne - czynić aluzje bardziej intymne.

Któregoś ranka przekroczyła jednak miarę: na oczach mojej żony musnęła wargami szyję Luizy, kiedy ta ścierała kurze. Emiïienne zapieniła się ze złości. Jednym gwałtownym szarpnięciem odciągnęła przyjaciółkę na bok:

- Nigdy ci na to nie pozwolę, Didi, rozumiesz?

Didi pokazała jej język i wyszła z pokoju. O tym zajściu, będącym właściwie dziecinadą, dowiedziałem się przy obiedzie. Wywiązała się burzliwa dyskusja, po której obie spojrzały na mnie,

oczekując wyroku; udzieliłem więc Adilee łagodnej nagany.

– Och, a więc to ona ma zawsze rację! - zawołała skarcona. A potem, zwracając się do Emilienne, dodała z jakimś dziwnym okrucieństwem w głosie: - Powiedz, czy można kochać jedną kobietę, jeśli nie kocha się kobiet w ogóle?

– To już szczyt wszystkiego! - krzyknęła Emilienne. - A ja wierzyłam, że jestem w twoim życiu kimś wyjątkowym.

Mimo to weszły do sypialni. Kiedy jednak chciałem im powiedzieć „dobranoc“, ujrzałem po raz pierwszy, jak leżą w bezruchu, plecami do siebie.

W rzeczywistości Luiza nie zajmowała myśli Adilee, której nietaktowne żarty wypływały chyba z potrzeby szokowania, jaką odczuwała. W każdym razie dbała, by dziewczyna była stale informowana o ich niesnaskach: wychowywała ją sobie jako sprzymierzeńca nie do pogardzenia, korzystała z jej obecności, aby zapewnić sobie panowanie w domu i kuchni, krótko mówiąc: przy pomocy Luizy obejmowała kierowanie całym domem.

Niezdolna dziewczyna mogła zbyt łatwo przemienić się w szantażystkę, by można jej było teraz wymówić. Mimo to Emilienne podjęła taką próbę w odpowiedzi na bezczelność, z jaką ta ignorowała polecenia madame. O piątej po południu wręczyła jej wymówienie, ale Adilee, która przysłała do domu o siódmej, zagroziła ze swej strony, że też się wyprowadzi. Przestraszona Emilienne ustąpiła. Triumfalny powrót Luizy był potwierdzeniem pierwszej porażki mojej żony w jej własnym domu.

Ona też była tego świadoma, cóż jednak mogła zrobić? Adilee miała wszystko, zarządzała pieniędzmi, a przede wszystkim dysponowała atutem najistotniejszym: seksem. Jeżeli chciało się uniknąć nie kończących się dąsów, trzeba było respektować jej zmienne humory.

Wkrótce - jakkolwiek udało mi się kilkakrotnie doprowadzić do pojednania na szerokim łożu - doszło do poważniejszych zatargów. Adilee zaczęła coraz częściej wychodzić bez nas, zdając potem coraz dokładniej relacje z tego, co robiła. Mało tego: zaproponowała, że będzie wychodzić tylko ze mną, skoro „madame“ jest takim zagorzałym domatorem. Pewnego wieczoru, kiedy dostaliśmy dwa bilety do Teatru Gaston-Baty, wykorzystała migrenę mej żony.

- Pójdę z Claude'em - oświadczyła. - Ty też będziesz spała spokojniej, jeśli  
pójdę z przyzwoitką.

Sztuka nie przypadła jej do gustu, a podczas przerwy zaproponowała mi, żebyśmy zakończyli wieczór w „Monoklu“, pod warunkiem, że „Liii nie dowie się o tym“. W ten sposób wplątywała mnie w jedno ze swych kłamstw - po raz pierwszy, odkąd wprowadziła się do nas.

- Czy ona cię nie męczy tym swoim wiecznym dążeniem do bezwzględnej szczerości?

- dodała, aby przekonać mnie całkowicie. - A może my mamy chęć pobyć tylko we  
dwoje, jak dawniej?

W „Monoklu“ nawet nie zdziwiło mnie zbyt, w jak zażyłej komitywie z tymi pozującymi na mężczyzn dziewczynami jest Adilee. Zdumiałem się tylko, gdy ujrzałem ją całującą się namiętnie z kobietą o przyklejonych wusach.

– Czy nie sądzisz - zapytałem - że to nie fair wobec Emilienne?

– A kto jej przeszkadza robić to samo?

Do domu wróciliśmy bardzo późno. Emilienne, która wyobrażała sobie nie wiadomo co, była jeszcze na nogach. Chcąc nie chcąc musieliśmy przyznać, że byliśmy w nocnym lokalu. Uznałem za wskazane wtrącić profilaktycznie, że Didi udał się połów.

– Kobieta czy mężczyzna? - zapytała z ożywieniem moja żona.

– Jeszcze pytasz! - odparła druga. - W „Monoklu“?

Fakt, że razem wyszliśmy i wróciliśmy, nie zaszokował Emilienne szczególnie mocno, wystarczyła jednak sama nazwa „Monokl“, żeby zalała się łzami. W końcu uzgodniły, że następnym razem pójdą tam obie.

Rozłam stawał się coraz widoczniejszy. 10 lipca rozegrała się scena o wiele bardziej przykra. Adilee, która pozbyła się już w naszym domu wszelkich zahamowań, przyprowadziła na kolację zgrają rozbawionych studentów germanistyki, wśród nich kilka zaniedbanych dziewcząt, prawdopodobnie lesbijek. Emilienne, słusznie zresztą, wyrzuciła je za drzwi. Adilee wyszła razem z nimi, a po powrocie udała się sama do swego pokoju. Moja żona, wytrącona z równowagi,

poprosiła mnie, abym z nią porozmawiał.

– Ja już śpię - wymamrotała Adilee, nie odmawiając mi jednak swych ust. Potem zażądała wprost:

– Musisz się zdecydować.

– Co masz na myśli?

– Musisz się zdecydować, kto tu rozkazuje: ona czy ja?

Rozpoczął się sezon urlopowy. Po pojednaniu, któremu towarzyszyło morze łez

Emilienne i na które nie czekaliśmy długo, doszliśmy do przekonania, że naszej trójce nie wyjdzie na dobre przesiadywanie w lecie w Paryżu; na poprawę nastrojów wpłynąłby raczej pobyt na jakiejś uroczej wysepce. Adilee wymieniła natychmiast Ile du Le-vant, gdzie - jak się wyraziła - przyjeżdżają najrozmaitsze pary i większe grupy, nagie cieleśnie i duchowo. Emilienne, jak przystało na Bretonkę, wychwalała Ouessant, niewielki raj, gdzie czulibyśmy się wspaniale. W końcu wysłałem listy do trzech hoteli na Levant oraz do gospody w Ouessant. Odpowiedź nadeszła jedynie z Ouessant: w „Ker Nevez“, filii hotelu Fronweura, można było jeszcze zamówić telegraficznie pokój. Poprosiliśmy, aby Adilee nadała taki telegram, ona jednak odmówiła stanowczo.

– Ja jadę do Saint-Tropez - oświadczyła.

– Chciałabym ci przypomnieć, że zapraszam cię do Bretanii, nigdzie indziej - odparła sucho Emilienne, po czym sama poszła na pocztę.

Następnego ranka Adilee, zgrzytając zębami, pojechała metrem



na dworzec Montparnasse i wróciła w południe z trzema biletami. Byłem w domu sam. Adilee podała mi dwa bilety i powiedziała.

– Tu są dwie miejscówki na jutro na ósmą. Co do mnie, nie wiem jeszcze, czy pojedę z wami.

– Żartujesz chyba! - krzyknąłem.

– W każdym razie napiszę jeszcze do ciebie na poste restante w Ouessant.

– Poste restante, w takiej wsi jak Lampaul! Co ci przychodzi do głowy?

– Jeśli mnie kochasz, spróbujesz mnie zrozumieć. I pozwól sobie powiedzieć, że tak nie może być dalej. Ty i ja musimy mieć pierwszeństwo!

– Myślałem, że my troje...

– Jeżeli nie pojedę z wami, napiszę ci o wszystkim, co mam ci jeszcze do powiedzenia.

Kiedy Emilienne wróciła do domu, Adilee podziękowała jej ironicznie za podróż na

Lazurowe Wybrzeże, zjadła bez słowa, po czym wyszła punktualnie o drugiej,

rezygnując z poobiedniej sjesty.

Deszcz nad Ouessant

Na noc poprzedzającą 17 lipca, dzień naszego wyjazdu, Adilee nie wróciła do

domu. Emilienne nie mogła usnąć, nasłuchiwała aż do pierwszego brzasku wszelkich

odgłosów z ulicy. Dopiero około czwartej, u kresu sił, położyła się.

- Nie sądzisz, że ona i diabeł to jedno? Ale nie pozwolimy na to, by ta mała powstrzymała nas przed wyjazdem.

I rzeczywiście: o wpół do ósmej staliśmy z bagażami na peronie - bez Adilee.

Emilienne zostawiła dla niej na stole krótką, ale rzucającą się w oczy

wiadomość:

„Czekamy na Ciebie dziś rano w pociągu, Breście i na przystani w Lampaul.

Pośpiesz się.

Liii, Ker Nevez, Ouessant“

Była święcie przekonana, że Adilee zjawi się jednak w ostatniej chwili, ale

pociąg odjechał tylko z nami. Podróż była długa i posepna, noc w Breście

męcząca. W Le Conquet, kiedy naszym oczom ukazało się morze, Emilienne

zapropozowała powrót do domu.

- Jeśli chcesz, by Adilee stała się już na zawsze taka niezdolna, to rzeczywiście wystarczy, że pokażesz jej, jak jesteś słaba. Ona wcale nie martwi się o ciebie; okaż jej to samo.

Wynajęliśmy łódź. Każdemu uderzeniu fali towarzyszyło

westchnienie Emilienne. Kiedy przybiliśmy do brzegu w Lampaul, utyskiwała już nieprzerwanie, dotarliśmy więc w minorowych nastrojach do „Ker Nevez“, niedużej willi na północy wyspy, osłoniętej szpalerem krzewów trzmieliny.

- Och! - jęknęła moja żona, dostrzegając na pierwszy rzut oka wszystkie uroki, mogące ożywić naszą samotność. - Och, jakąż ona głupia, ta mała idiotka!

Rozpakowaliśmy nasze rzeczy, nie zajmując „pokoju Adilee“. Nietrudno było zauważyć, że Emilienne myśli teraz tylko o niej, chociaż nie wspomniała już o tym nawet słowa. Z gorączkową niecierpliwością czekaliśmy na łódź w piątek, potem w poniedziałek. Pierwszego dnia moja żona była rozczarowana, drugiego - zatroskana. Daremnie próbowałem ją rozerwać, prowadząc od Mont Saint-Michel na najbardziej oddalone wrzosowisko w Penn-Arland, od latarni morskiej w Creach na wyspę Keller. Wszędzie, czy to na ulicach Lampaulu czy też wśród skał Penn

l'horet, nasze rozmowy toczyły się wokół Adilee, chociaż robiłem, co mogłem, aby zmienić temat. Moja żona krytykowała niestrudzenie postępowanie

kochanki,

próbując znaleźć przyczynę jej odmiany: jednym tchem wymieniała

najprzeróżniejsze motywy. Dopatrywała się u Adilee chęci przekomarzania się, kokieterii, szantażu, załamania psychicznego, ekscen-tryczności, uporcu, przesytu albo - co gorsza - niewierności. To ostatnie przypuszczenie wyzwoliło w niej

potok łez, na szczęście jednak wydawało się ono jej samej mniej prawdopodobne od

innych.

Ponieważ wiedziałem trochę więcej, niż ona, miałem inne obawy. Korzystając z

dobrze zasłużonej przerwy seksualnej, zapytałem Emilienne:

- Myślisz, że Adilee jest niezastąpiona?
- Gdybym ją utraciła, byłoby to dla mnie gorsze niż śmierć.
- A więc wróćmy lepiej do Paryża, zamiast zadrećzać się tu.
- Sam powiedziałeś, że to oznaczałoby jej triumf.

Minął drugi piątek, potem drugi poniedziałek, a Emilienne była już bliska załamania. Martwiłem się teraz bardziej o żonę, niż o kochankę, która - szczerze mówiąc - działała mi już na nerwy. W poszukiwaniu rozrywki zacząłem zbierać informacje o mieszkańcach wyspy. Właścicielka hotelu Fromveura, gdzie musieliśmy jadać obiady (wieczorami przesiadywaliśmy w „Kerze“ nad obowiązkowymi jajami sadzonymi) poradziła nam odwiedzić Matkę Yvonne, znaną z tego, że wie wszystko o życiu na tej wyspie. Dobrotliwa staruszka, której najwidoczniej nic, co ludzkie, nie było obce, zaprowadziła

to rzeczywiście wystarczy, że pokażesz jej, jak jesteś słaba. Ona wcale nie martwi się o ciebie; okaż jej to samo.

Wynajęliśmy łódź. Każdemu uderzeniu fali towarzyszyło westchnienie Emilienne. Kiedy przybiliśmy do brzegu w Lampaul, utyskiwała już nieprzerwanie, dotarliśmy więc w minorowych nastrojach do „Ker Nevez“, niedużej willi na północy wyspy, osłoniętej szpalerem krzewów trzmieliny.

- Och! - jęknęła moja żona, dostrzegając na pierwszy rzut oka wszystkie uroki, mogące ożywić naszą samotność. - Och, jakaż ona głupia, ta mała idiotka!

Rozpakowaliśmy nasze rzeczy, nie zajmując „pokoju Adilee“. Nietrudno było zauważyć, że Emilienne myśli teraz tylko o niej, chociaż nie wspomniała już o tym nawet słowa. Z gorączkową niecierpliwością czekaliśmy na łódź w piątek, potem w poniedziałek. Pierwszego dnia moja żona była rozczarowana, drugiego - zatroskana. Daremnie próbowałem ją rozerwać, prowadząc od Mont Saint-Michel na najbardziej oddalone wrzosowisko w Penn-Arland, od latarni morskiej w Creach na wyspę Keller. Wszędzie, czy to na ulicach Lampaulu czy też wśród skał Penn

l'horet, nasze rozmowy toczyły się wokół Adilee, chociaż robiłem, co mogłem, aby zmienić temat. Moja żona krytykowała niestrudzenie postępowanie kochanki,

próbując znaleźć przyczynę jej odmiany: jednym tchem wymieniała najprzeróżniejsze motywy. Dopatrywała się u Adilee chęci przekomarzania się,

kokieterii, szantażu, załamania psychicznego, ekscen-tryczności, uporu, przesytu

albo - co gorsza - niewierności. To ostatnie przypuszczenie wyzwoliło w niej

potok łez, na szczęście jednak wydawało się ono jej samej mniej prawdopodobne od innych.

Ponieważ wiedziałem trochę więcej, niż ona, miałem inne obawy. Korzystając z

dobrze zasłużonej przerwy seksualnej, zapytałem Emilienne:

- Myślisz, że Adilee jest niezastąpiona?
- Gdybym ją utraciła, byłoby to dla mnie gorsze niż śmierć.
- A więc wróćmy lepiej do Paryża, zamiast zadrećcać się tu.
- Sam powiedziałeś, że to oznaczałoby jej triumf.

Minął drugi piątek, potem drugi poniedziałek, a Emilienne była już bliska załamania. Martwiłem się teraz bardziej o żonę, niż o kochankę, która - szczerze mówiąc - działała mi już na nerwy. W poszukiwaniu rozrywki zacząłem zbierać informacje o mieszkańcach

wyspy. Właścicielka hotelu Fromveura, gdzie musieliśmy jadać obiady (wieczorami przesiadywaliśmy w „Kerze“ nad obowiązkowymi jajami sadzonymi) poradziła nam odwiedzić Matkę Yvonne, znaną z tego, że wie wszystko o życiu na tej wyspie. Dobrotliwa staruszka, której najwidoczniej nic, co ludzkie, nie było obce, zaprowadziła

nas, nie skąpiąc wyjaśnień, na cmentarz, gdzie kobiety w czerni przychodziły odwiedzać dusze poległych na morzu.

– Ale co robią te biedaczki, których mężowie są teraz albo na dnie albo pod ziemią? - zapytała Emilienne.

– Och, wie pani - odparła Matka Yvonne, uśmiechając się wymownie - są takie, które wiedzą, jak pomóc sobie wzajemnie.

Przypomniały mi się nagle książki, przedstawiające w romantycznym świetle lesbijskie orgie mieszkanek Ouessant i opowiedziałem o tym Emilienne, która nie kryła swego zainteresowania aluzjami starej plotkary. Muszę nawet powiedzieć, że bardzo się ożywiła, zwłaszcza, gdy miejscowy poeta, którego poznaliśmy w hotelu, zdradził nam w zaufaniu, że jest tu kilka mniej lub bardziej zakonspirowanych domów, gdzie odbywają się podejrzane spotkania żon marynarzy i wdów. Zaintrygowani tą wiadomością, poszerzyliśmy teren naszych poszukiwań aż o najodleglejsze zakątki wyspy - niestety bez żadnego rezultatu. Nieliczne

Bretonki, na które zwróciliśmy uwagę i które śledziliśmy z bezpiecznej odległości, wchodziły co najwyżej do zwykłych kawiarenek. Dopiero gwałtowna ulewa, jaka zaskoczyła nas 31 lipca w pobliżu Ker-Sezenec i zmusiła do rozej-rzenia się za jakimś dachem,

doprowadziła nas do niepozornego domu, nad którego drzwiami widniało wypisane czerwoną farbą „Dom wdów“.

Byliśmy przemoczeni do suchej nitki. - Mój Boże, wdowa czy nie wdowa, wchodzę do środka! - oświadczyła Emilienne i położyła dłoń na klamce. Drzwi otworzyły się bez trudu, a naszym oczom ukazał się dosyć głęboki korytarz. Po lewej stronie znajdował się pokój z dwoma łózkami i niesłychanie grubymi puchowymi kołdrami, po lewej - zamknięte drzwi, do których zapukaliśmy nieśmiało.

- Proszę - zawołał kobiecy głos. Wepchnąłem Emilienne do dosyć posepnego pokoju, wszedłem za nią i ujrzałem trzy wysokie kobiety, mniej więcej po

trzydziestce, w czarnych sukniach i czepkach. Siedziały przy wyłożonym ceratą

stole, grając w karty, a przed nimi stała butelka z wódką i kieliszki.

Dziwne:

trzy kobiety i sześć kieliszków oraz sześć krzeseł. Na miejscach nieobecnych

marynarzy siedziały trzy grube koty. W pobliżu drzwi znajdował się bufet z

bretońskimi filiżankami, z tyłu wznosiła się olbrzymia szafa, na ścianach

wisiał obramowane na czarno portrety chyba z piętnastu marynarzy, w kącie

Najświętsza Panna Maria pod kulą ziemską, tuż obok znajdował się



klęcznik i  
książeczki do nabożeństwa. Wszystko wzbudzało zaufanie, a kobiety  
wstały,  
jakkolwiek niezbyt ochoczo, i przywitały się z nami. Zauważyłem, że  
całą swą  
uwagę skierowały na Emilienne, którą posadziły od razu na miejscu  
jednego z  
marynarzy, tam gdzie siedział teraz najgrubszy kot. Zaparzone nam  
kawę,  
poczęstowano wódką. Najbardziej zdziwiło mnie zachowanie  
jednej z kobiet: kiedy  
przyniosła dla Emilienne suche ubranie, sama ściągnęła z niej  
mokrą bluzkę,  
obnażając ramiona. Dosyć oszczędna rozmowa dotyczyła wyspy  
i morza: poza tym  
było kilka mętnych aluzji na temat ciężkiego życia wdów. W  
końcu deszcz ustał, a  
procedura zmiany ubrania powtórzyła się z tą samą  
pieczołowitością - tyle że w  
odwrotnym kierunku. Kiedy Emilienne wstała, aby  
podziękować za gościnę,  
usłyszała trochę dwuznaczną odpowiedź: - Będzie pani u nas  
zawsze mile widziana,  
madame.  
Skomentowała to później, ja zaś zwróciłem jej uwagę na fakt, że

żadna z nich nie

powiedziała: „Zawsze będzie pan u nas mile widziany, monsieur“.

– Ładne były te kobiety, prawda? - odparła tylko. Kiedy spotkaliśmy potem poetę, opisaliśmy mu to miejsce.

– A więc trafili tam państwo - powiedział, przykładając znaczącym gestem palec do ust. - Proszę przejść się tam kiedyś podczas burzy, koło północy, a usłyszają państwo już z daleka całkiem interesujące odgłosy. Ale proszę pozostać w ukryciu, a przynajmniej pan, monsieur, inaczej czeka pana los Akteona.

Wysłuchałem tego sceptycznie, Emilienne jednak posunęła się na tyle daleko, by uznać ten sposób pocieszenia, jaki owe osamotnione kobiety prawdopodobnie stosowały, za prawidłowy. W każdym razie jej ciekawość została rozbudzona i od tej pory wielokrotnie wraca-iliśmy do „Ker“ okrężną drogą, po to tylko, by przejść obok cichego, Domu wdów“. Emilienne każdorazowo zostawała nieco w tyle i pewnego wieczoru powiedziała mi potem, że widziała za firanką w lewym pokoju nagą kobietę, dającą jej jakieś znaki.

– Chyba nie dasz się skusić? - zapytałem.

– Oszalałeś! Z takimi czarownicami?! Na samą myśl o tym przechodzi mnie dreszcz!

Byłem święcie przekonany, że w rzeczywistości szukała w tym domu wspomnienia o Adilee, pełnych nostalgii rozważań o samotności. Nazajutrz po odkryciu „Domu wdów“ zaczęła wyczekiwać na korespondencję: każdego popołudnia biegła na pocztę, była tam, zanim

jeszcze opróżniano worki z listami. Drżałem ze strachu, pamiętając o słowach Adilee: „Napiszę do ciebie na poste restante do Ouessant“. Kilkakrotnie pytałem już o taki list w urzędzie, ale daremnie, Emilienne zaś skracала teraz nawet śniadania i gnała na pocztę co sił, aby być tam przede mną. Wprawdzie ubłagałem urzędniczkę, aby odkładała moją osobistą pocztę na bok, musiałem jednak liczyć się z tym, że moja żona przygląda się bacznie sortowaniu listów, a listonosz chce jak najszybciej oddać przesyłki adresatom, aby spokojnie wypić potem szklaneczkę wina. I wreszcie stało się to,

co się musiało wydarzyć. Emilienne, mająca już dość przesiadywania na poczcie, obiecała temu poczciwcowi potrójny calvados za dostarczenie do domu poczty od razu, przed rozpoczęciem obchodu. Pewnego pochmurnego wieczoru sierpniowego statek, mający przyplłynąć według rozkładu o pierwszej, nie mógł przybić do brzegu w Lampaul ze względu na złą pogodę. Poczta wyladowano w Stiff. Nie wiedząc o niczym, czekałem na pocztę aż do końca, wreszcie wyruszyłem do „Ker“. Po drodze spotkałem listonosza, który zataczał się na rowerze.

des Olbes Claude - Emilienne

- Właśnie oddałem w hotelu list do pana - oznajmił z niewinną miną.

Burza nad Lesbos

Od hotelu dzieliło mnie jeszcze co najmniej piętnaście minut drogi. Przyśpieszyłem kroku. W pokoju zastałem Emilienne: leżała rozciągnięta w nogach łóżka, z głową odchyloną do tyłu, z otwartymi

szeroko ustami. Na stole leżała otwarta koperta z adresem: „M. Claude des O... Poste restante, Lampaul, Ouessant, do rąk własnych.“, a w jej zaciśniętych kurczowo dłoniach tkwiła kartka papieru, którą wyszarpnąłem. Ten ruch wystarczył, aby Emilienne, do tej pory nieprzytomna, otworzyła oczy, zanim jednak doszła całkowicie do siebie, zdołałem odczytać pismo Adilee:

„Saint-Tropez, Hotel des Artistes, 22 lipca Mój drogi Claude, zastanawiasz się zapewne, czemu nie pojechałam z wami. Wszystko wyjaśni Ci zdjęcie mojej nowej przyjaciółki, Rosjanki, jakie załączam do listu. Ponieważ poznałam ją w „Pergoli“ na Bulwarze Saint-Germain i tam też w nocy po Waszym wyjeździe rzuciła mi się na szyję, będę ją nazywała Germaine Pergolaska. Nie dziw się więc, że jestem z nią w Saint-Tropez. Oczywiście żałuję bardzo, że wołałeś spędzić urlop z inną kobietą. Co do mnie, nie miałam już na to sił, a ta znajomość dopiero powstawała. Teraz wystarczy jednak, że się tu zjawisz. Jeśli porzucisz tą niewdzięczną, która tak bardzo mi dokuczała, będziemy mogli rozpocząć nowe życie, we dwoje albo i troje. Dziś powiem Ci jedno, Claude, a wiesz, jak szczerą jestem wobec Ciebie: musisz wybrać pomiędzy mną a E. Mam już dosyć tego trójkąta, w którym zawsze byłam poszkodowana. Do-75

wodzi tego doświadczenie, jakiego nie żałuję. To, czego nam trzeba, to życie we dwoje (z uzupełnieniem zgodnie z Twoimi życzeniami) na Brouillards i dziecko, którego nie da Ci Twoja zasuszona stara. Zabraniam Ci dotykać jej, rozumiesz? Z pewnością nieźle się łajdaczycie w tej waszej zapadłej dziurze! Możesz tu

przyjechać, albo zostać tam, ale na pewno przyjedziesz, prawda, kochanie? Kiedy zapadnie już kurtyna po tej wstrętnej komedii, będziesz z pewnością pamiętał, ile miłości kosztowało mnie, aby grać w niej aż do końca, i będziesz pragnął złączyć się jak najprędzej i najgoręcej z kobietą, która chętniej zabiłaby siebie albo Ciebie, niż zrezygnowałaby z należnego jej miejsca w Twym życiu. Twoja prawdziwa żona Adilee.

P.S. Nie zapomnij, że aby dotrzeć do Saint-Tropez, musisz wysiąść w Saint-Raphael i wsiąść w autobus jadący na wybrzeże.“ Pozbierałem strzępy fotografii Germaine Pergolaska, które Emi-lienne porzuciła w ataku złości po całym pokoju, i złożyłem zdjęcie z powrotem: była to prawdziwa Słowianka o piersiach jakby wyjętych dopiero co z formy. Tak, to właśnie była kobieta o kształtnych wargach i nienaturalnych, agresywnych kształtach, o której - jak wiedziałem - marzyła Algierka. Emilienne spoglądała zamglonym jeszcze wzrokiem, jak bawię się w tę układankę:

- Leć do niej! - krzyknęła. - One czekają tam na Ciebie. Mam cię dość, nie chcę cię więcej znać!

Próbowałem jej wmówić, że Adilee jest po prostu pisarką, nie wolno jednak zapominać mimo jej wybujałej fantazji o zapachu tego wspaniałego ciała.

— A to dobre! - odparła. - Jeszcze stajesz w jej obronie! Bronisz tej nędznej dziwki, która udawała wielką miłość, po to tylko, by zająć w tym domu moje miejsce, teraz zaś szydzi ze mnie, oferując

ci inną kobietę! Przez dłuższą chwilę spoglądała na zdjęcie.

– I to jaką kobietę? Zwykłą zdzirę! Poklepałem ją uspokajającym gestem po ramieniu.

Z pianą na ustach wykrzykiwała: - To ty przyprowadziłeś do domu tę żmiję, wepchnąłeś mnie w gniazdo os, nędzniku! Czy odważysz się zaprzeczyć, że byłeś jej współnikiem?

– Odważę się raczej stwierdzić, że oboje jesteśmy jej ofiarą, ty i ja.

– Doprawdy, aż trudno mi uwierzyć, że mężczyzna twojego formatu mógłby być zabawką w rękach takiej miernej ładacznicy. Dać

76  
się jej wodzić za nos - co za hańba! Bądź przekonany, że dla mnie jest teraz jak martwa! Przysięgam na grób moich rodziców, że nigdy już się z nią nie zobaczę. Usiadła przy stole, ja zaś zaglądałem jej przez ramię, śledząc każdy ruch ręki, kiedy pisała: „Adilee,

przypadkowo wpadł mi w ręce Twój list do Claude’a. To już koniec. Kiedy wrócę do Paryża, nie chcę znaleźć w moim domu najmniejszego śladu po Twoich rzeczach, nie mówiąc już o Twojej podłej osobie. Och, cóż za rozczarowanie! Adieu, żmijo! Emilienne.“  
Kiedy skończyła, podała mi pióro:

Strona 42

– Może byś napisał jeszcze: „Przeczytałem i aprobuje“?

– No, no - próbowałem ją uspokoić - a może jednak to zbyt pochopne. Jesteś zupełnie pewna, że nie będzie ci jej brak?

– Brak? Tej zarazy? Tej cholery? Pytam raz jeszcze:

podpiszesz ten list?

– Poczekał chwilę!

– Dobrze więc. Już wiem, co mi pozostaje do zrobienia.

Złożyła list, zapieczętowała kopertę i wybiegła na ulicę, tak

prędko, że nie zdołałem jej dogonić. Myślałem zresztą, że chce tylko wysłać list. Minęła godzina: zacząłem się zastanawiać, czy nie spadła przypadkiem z jakiejś skały w przepaść. Daremnie przeszukiwałem wrzosowisko i przeszedłem całą milę po okolicy. Raptem przyszedł mi do głowy szaleńczy pomysł: „Dom wdów“... Pobiegnęłam w tamtą stronę i okrążyłam budynek. Było już po jedenastej, ale za zapuszczonymi roletami w prawym oknie świeciło się jeszcze światło. Z wnętrza dobiegał mnie ordynarny śmiech, któremu towarzyszyły przekleństwa, nieprzyzwoite okrzyki i bluźniers-twa. Nadstawiłem ucha: teraz w tym zgiełku rozróżniłem też głos Emilienne. Uchyliłem okiennice tak szeroko, jak sobie mogłem na to pozwolić, po czym zajrzałem do środka przez szczeliny: moim oczom ukazało się przerażające widowisko.

Przed każdym zdjęciem nieżyjącego małżonka płonąła świeca, a figurka Najświętszej Panny była zakryta. Zamiast trzech ubranych w czerń wdów, jakie zastałem tu wówczas, ujrzałem tym razem trzy szalone bachantki. Rozpoznałem je po twarzach o mlecznobiałej karnacji i prostackiej urodzie, ale dziś płonąła w nich jakaś trudna do wyobrażenia zmysłowość. Przed wywróconymi kieliszkami siedziała Emilienne, pijana i niemal zupełnie obnażona. W tej samej

chwili najwyższa z kobiet, z wyraźnie perwersyjnym błyskiem

w szarych jak len oczach, chwyciła ją za rękę, druga, nieco grubsza, objęła ją w talii, trzecia zaś, chuda i wysoka, wsunęła dłonie pod pośladki.

Pobiegłem do lewego okna. Tamte rzuciły już moją żonę na materac i obrabiały ze wszystkich stron rękami, wargami i paznokciami. Jedna z bachantek pocierała swoje sutki, twarde i ciemne jak u większości tych wiejskich syren, o blade pączki Emiñienne. Inna, wsuwając gruby palec tam, gdzie należy, błędziła zwinnym językiem po dygoczącym coraz silniej podbrzuszu, trzecia rozsunęła brutalnie swymi mocarnymi rękami delikatne uda i wzięła w posiadanie jasnowąsą grotę miłości. Potem było już nie dające się opisać kłębowisko ciał - nie dające się opisać nie ze względu na przyzwoitość, a raczej dlatego, że trudno było objąć je wzrokiem. Po pewnym czasie leżącej pod spodem Emiñienne udało się zrzucić z siebie napastniczki: uczyniła to jednak tylko po to, by w przypiływie żądzy móc wędrować ustami po ich ciałach, od jednej do drugiej. Nie szczędząc nawet rąk i nóg, starała się jak mogła obdarzyć je pełnym asortymentem usług miłosnych, to lizała je po szyjach, to zanurzała nos pod pachami, to znów obwąchiwała ich płcie. Potem wszystkie cztery stopiły się w jedną falującą rytmicznie masę: dygoczące brzuchy sprawiły, że ich piersi strzelały w górę jak piłeczki tenisowe.

Oszalały z zazdrości i żądzy rzuciłem się do drzwi. Były zamknięte od wewnątrz, ale hałas, jaki uczyniłem, zaalarmował kobiety.

— Tam ktoś jest! - wykrzyknęła jedna z nich. Nagie postacie



rozproszyły się na boki i spiesznie poczęły się ubierać. Wszystkie światła zgasty, zaległa cisza. Czekałem skulony pod krzakiem trzmieliny: należało liczyć się z najgorszym ze strony mieszkanek Ouessant (jeśli wierzyć słowom miejscowego poety), o ile nakryło się je na tych tajemnych obrządkach miłosnych. Kryjąc się wśród gałęzi, odczekałem chyba godzinę i wreszcie w oświetlonym progu pojawiła się Emiïenne. Wyglądała na niezwykle wzburzoną. Ukryła twarz pod kapturem i ruszyła przed siebie. Jednym susem znalazłem się przy niej.

– Z kim mam teraz do czynienia? - zapytałem. Spojrzała na mnie dziwnym wzrokiem.

– Z bestią, o jakiej zawsze marzyłeś!

Zatoczyła się, a wiatr zepchnął ją z drogi. Nie bez trudu doprowadziłem ją do „Ker Nevez“, gdzie natychmiast, nie zdejmując z siebie nawet ubrania, padła na łóżko i usnęła. Spała niespokojnie, walcząc z jakimiś majakami, ja zaś, głęboko zaniepokojony, zacząłem się zastanawiać. Czyżby groziło jej, że zachoruje lub - co gorsza - oszaleje? Ogarnęło mnie wzruszenie: do czegoż to doprowadziłem tę

biedną, kochaną, niewinną, łagodną kobietę? Byłem poruszony tym do głębi. Oto leżała, zdeprawowana z mojej winy, ale tym bardziej podniecająca, wyzwolona spod władzy Adilee, ale tym bardziej należąca do mnie. Moje myśli zwróciły się nagle ku Algierce, ale wspomnienie o niej wcale mnie nie ekscytowało, podobnie jak nieprzyzwoite zdjęcie Rosjanki. Czy to możliwe, że dawniej ją kochałem? Nie, na pewno było to tylko pożądanie. Cały jej urok i władza oparte były na nie

istniejącym już kontakcie erotycznym z moją żoną. To, co było wręcz z jej listu, owa impertynencka bezczelność tkwiąca w bezwstydnym żądaniach, rozgoryczyło mnie i zirytowało do głębi. A więc w takie sidła wpadłem, dla takiej osoby gotów byłem ryzykować udane małżeństwo! Tak, to prawda, musiałem być istotnie tak głupi, jak ona myślała. Emilienne określiła ją tak, jak na to zasłużyła: zaraza, zmija, jednak w moich oczach Adilee była w tym samym stopniu głupia, co przebiegła, jako że odkryła tak szybko swoje niegodziwe zamiary. Ostatnie słowa wymówiłem na głos, co sprawiło, że Emilienne zbudziła się ze swego niespokojnego snu. Pomogłem jej zdjąć ubranie i ku memu nieopisanemu zaskoczeniu odkryłem na całym jej ciele ślady zadrapań i ssania. Naga, wyprostowała się i oparła plecami o ścianę, aby pokazać mi wszystko dokładniej. Uśmiechając się szyderczo, zapytała: - I jak, skarbie, czy jestem teraz dostatecznie splamiona, by móc ci się podobać?

Zacząłem całować jej ciało; tam, gdzie nie zostało poturbowane, a potem wszystkie zadrapania i siniaki. Czy do mego pełnego szczęścia wystarczył fakt, że moja żona - zgodnie z moim najskrytszym marzeniem - stała się w pełnym tego słowa znaczeniu „femme a femmes“? Że - niegdyś tak pełna godności i tak porządna

- upadła tak nisko? Czy to wszystko nie zaspokajało jeszcze  
mojej perwersji?  
Skoro zaś miałem w osobie własnej żony tak występłą kochankę, jak  
miałem teraz  
postąpić wobec Adilee, której skłonności lesbijskie Emilienne mogła

już

wkrótce

przewyższyć swoją gorliwością w tym względzie?

Kiedy wreszcie oderwałem usta od owego fatalnego miejsca, gdzie brutalna wdowa przywarła przedtem wargami, wykrzyknąłem, wypłułem w nią całą swą miłość, nazwałem ją kurwą mego serca i lesbijką mego życia.

– A więc - zapytała, zanim jeszcze zdołała ułożyć się tak, by umożliwić mi to wszystko, na co miałem ochotę - czy teraz napiszesz: „Przeczytałem i aprobuje”? Wyciągnęła z torebki list do Adilee, otworzyła kopertę i podała mi pióro. Płonąć z żądzy, dopisałem do listu nieodwołalne wyrazy: „Przeczytałem i aprobuje. Adieu

– Claude“.

Część druga

Ouessant na Montmartre

Emilienne była przekonana - jak sędzę - że dzięki lesbijskiej rozpuście w Ouessant zdoła przechytrzyć własną żądzę, która nie pozwalała jej zapomnieć o niewiernej kochance oraz zerwać tę ostatnią więź uczuciową. W rzeczywistości dokonała się w niej od tamtej pory, kiedy to biorąc udział w igraszkach bachantek z wyspy zaznała szczęścia nie tylko z jedną kobietą, ale po prostu z kobietami w ogóle, niesłychana przemiana. Teraz była już czymś więcej, niż pół-niewolnicą swojej kapryśnej władczyni. Była wolną istotą, która odkrywała nowy świat rozkoszy i z pełną świadomością swych nieograniczonych możliwości i żądzy rzuciła się w wir tego świata.

– Musisz wiedzieć, Claude - powiedziała, kiedy pokazała mi

już całe swoje zbeczeszczone ciało - że teraz jestem prawdziwą lesbijką.

— Czy to znaczy - zapytałem - że od tej pory nie będę twoim współnikiem w tym samym stopniu, co dotychczas.

-\* To zależy od tego, jak sobie to wyobrażasz. Jako współuczestnik, tak jak przy Adilee... nie, to już minęło. Ale jako powiernik, czemu nie, o ile okażesz się odpowiednio dojrzały.

Wstrząsająca orgia, jakiej byłem wtedy świadkiem, nie powtórzyła się już więcej; w końcu Safony z Lesbos nie co dzień obchodzą swoje misteria. Ale Emilienne wracała do „Dому wdów“ wielokrotnie, zadając się z każdą z owych kobiet z osobna. Opowiadała mi ze wszystkimi szczegółami o przeżyciach z piekarką, handlarką warzywami czy też rybami, jednak - niezależnie od tego, gdzie się spotykały, w sklepiku czy też w „Ker“ - moja obecność była wykluczona. Każdorazowo, gdy proponowałem, że rzucę tylko okiem, odpowiadała stanowczo: - Z nimi to niemożliwe!

W ten sposób poznałem nowy rodzaj udręki: mękę mężczyzny nie dopuszczonego do kobiecej zabawy. Emilienne należała do mnie, to prawda, ale jej postawa nie miała już nic wspólnego z zachowaniem typowej towarzyszką życia: wszystkie jej myśli i troski krążyły wo-4 - Emilienne

kół jej kochanek. Czy to podczas wspólnych wycieczek, czy w trakcie zwiedzania zabytków czy też w czasie posiłków - stale musieliśmy liczyć się z zobowiązaniami i terminami, w jakie nie byłem wtajemniczony. O ile dawniej dzieliliśmy się rozkoszami, teraz pozostał

mi już tylko ich posmak zaprawiony

goryczą. Zresztą Emilienne nie była już w mych ramionach tak aktywna jak dawniej. Jej ciało, osła - - ble od praktyk bardziej wyrafinowanych, niż te które mogłem jej zaoferować, oddawało mi się z jakąś beznamiętną beztroską. Byłem szczęśliwy i zarazem rozczarowany, okrutnie rozczarowany, gdyż nigdy dotąd nie byłem aż tak bardzo zakochany.

Nadszedł wrzesień. Wyspę nawiedziły burze, zamykając nas nieraz jak w więzieniu na szereg dni - mnie w „Ker“, ją zaś, Bóg wie gdzie. Stopniowo ogarniała mnie coraz większa nienawiść do Oues-sant, moja żona kochała natomiast to miejsce coraz goręcej. Wreszcie odbyliśmy naradę małżeńską. Oświadczyłem mojej lesbijskiej małżonce, że interesy wzywają nas pilnie do Paryża. Aż wykrzyknęła coś z rozpaczy, a potem dała do zrozumienia, że mogłaby zostać tu sama. Po długiej dyskusji doszliśmy do kompromisu, który przewidywał, że wrócimy tu wiosną na trzy tygodnie, a ponieważ Emilienne nie potrafi już żyć bez tutejszych kobiet, zabierzemy na ten okres jedną z nich do Paryża jako „gospozię“. Zresztą moja żona zdążyła się już porozumieć w tej sprawie z niejaką Marią Fronweur, która z wielką radością obejrzałaby wreszcie wieżę Eiffla.

Tak, poszedłem na tę ugodę, którą inni uznaliby za nierozsądną. Proszę jednak nie zapominać o mojej nienawiści do morza i wiatru, o niezaspokojonej żądzy, jaką wzbudzało we mnie wyuzdanie Emilienne, jak również o nudzie, jaka groziła mi, gdybym przebywał na Montmartre sam.

15 września, przed zapowiadającą się okropnie równonocą, wsiedliśmy na pokład statku wraz z wdową, którą tuż po ślubie jakiś zaginiony potem na morzu marynarz pozostawił w stanie bardziej lub mniej dziewiczym. Czy to przez wzgląd na jej oczy o barwie seledynowej szarości, czy też na włosy przypominające konopie - w każdym razie moja żona nazwała ją „Syreną“. Nowa gosposia była wysoka, dobrze zbudowana, w jakiś dziki, nieśmiały sposób pełna godności i możliwa do zaakceptowania dzięki dwóm bezcennym zaletom: była ładna i milcząca. Drażnił mnie tylko fakt tak szybkiego podboju mej żony.

Natychmiast po powrocie Emilienne z zaciekłością usunęła z domu wszystko, co mogłoby przypominać nam o Adilee. Wszystkie bibeloty, bielizna i jej ozdobione niegdyś kwiatami zdjęcia tworzyły wraz z pięknie oprawionym egzemplarzem „Mnais i Phyllodocis“ chaotyczny stos na strychu. Z Błękitnego Pokoju moja żona uczyniła

coś w rodzaju akwarium, gdzie Syrena mogła się poruszać pomiędzy kamieniami, muszlami i tapetą przedstawiającą morskie fale. Owa bogini odpowiadała początkowo idealnie wszystkim oczekiwaniom mojej żony: opanowana, pełna rezerwy, zajmowała się przez cały dzień domem i żegnała wieczorem prostym słowem. Przez pewien czas wydawała mi się idealną gosposią, nie pozostałem też obojętny na jej naturalny wdzięk. Kiedy widziałem przypadkowo, jak Emi-lienne całuje się z nią ukradkiem za drzwiami albo za zasłoną (gdyż jedna i druga skrywały przede mną swoje wybuchy namiętności), brała mnie nieodparta chętką, by zainicjować wspólny pocałunek - całej

naszej trójki. Ale czas tych uciech we troje przeminął, niestety!, zgodnie z naszą ściśle określoną umową Maria Fronweur istniała jako kobieta tylko dla mojej żony.

Proszę sobie wyobrazić wysoką, ładną kobietę w wieku około trzydziestu lat, w typie nordyckiej kariatydy. Kiedyś ujrzałem ją, jak wchodziła do pokoju Emilienne, mlecznobiałe plecy okrywał płaszcz jasnych włosów - i nie zdołałem poskromić swej bestii, która raptem stanęła dęba. Lekkie muśnięcie jej ramienia ustami przyniosło mi w zysku jedynie piekący policzek, jakiego - szczerze mówiąc - nie spodziewałem się ze strony „gosposi“. Widocznie opowiedziała o tym zajściu Emilienne gdyż ta oznajmiła mi wkrótce: - Nie zapominaj o jednym: jeżeli dotkniesz jej jeszcze raz, nie dotkniesz już nigdy mnie! - Ale i tak nie spotkałem już potem na schodach Syreny; na mój widok umykała co tchu, traktowała też mnie jak wroga i rozzuchwalała się coraz bardziej. Była rasową lesbijką reprezentującą typ męski, władczą, zaborczą i tak wierną, jak to możliwe tylko u lesbijek. W każdym razie była lesbijką aktywną! Kiedy moja żona i ja szliśmy do naszej małżeńskiej sypialni, Syrena udawała się do swego akwarium. Emilienne kładła się do łóżka i przez jakiś czas czytała obok mnie, albo przynajmniej udawała, że czyta. Tak mijało pół godziny, po czym stuknięcie bosą stopą o podłogę oznajmiało, że królowa mórz jest już gotowa.

Nie mogąc nawet zmrużyć oka, zabijałem czas w jedyny sposób, jaki mi pozostał: wsłuchiwałem się w odgłos ich niezliczonych pocałunków, czasem zaś, dławiony rozpaczą, usiłowałem ujrzeć coś

przez szczelnie zakrytą dziurkę od klucza. Stałem tak pod drzwiami, pieniać się z wściekłości, gdyż po tych westchnieniach i jękach mogłem sobie bez trudu wyobrazić, co się tam dzieje. Po dwóch godzinach Emilienne wracała i natychmiast zapadała w głęboki sen: dopiero na ostry brzęk budzika otwierała swoje zapadłe, podkrążone ciemnymi obwódkami oczy. Następnie

szukowała w kuchni kanapki i wносиła je na tacy z filiżanką czekolady na górę, do naszej gosposi, która była jej panią (moja żona była zawsze stroną uległą; przy

coś w rodzaju akwarium, gdzie Syrena mogła się poruszać pomiędzy kamieniami, muszlami i tapetą przedstawiającą morskie fale. Owa bogini odpowiadała początkowo idealnie wszystkim oczekiwaniom mojej żony: opanowana, pełna rezerwy, zajmowała się przez cały dzień domem i żegnała wieczorem prostym słowem. Przez pewien czas wydawała mi się idealną gosposią, nie pozostałem też obojętny na jej naturalny wdzięk. Kiedy widziałem przypadkowo, jak Emilienne całuje się z nią ukradkiem za drzwiami albo za zasłoną (gdyż jedna i druga skrywały przede mną swoje wybuchy namiętności), brała mnie nieodparta chętka, by zainicjować wspólny pocałunek - całej naszej trójki. Ale czas tych uciech we troje przeminął, niestety!, zgodnie z naszą ściśle określoną umową Maria Fromveur istniała jako kobieta tylko dla mojej żony.

Proszę sobie wyobrazić wysoką, ładną kobietę w wieku około trzydziestu lat, w typie nordyckiej kariatydy. Kiedyś ujrzałem ją, jak wchodziła do pokoju Emilienne, młecznobiałe plecy okrywał płaszcz



jasnych włosów - i nie zdołałem poskromić swej bestii, która raptem stanęła dęba. Lekkie muśnięcie jej ramienia ustami przyniosło mi w zysku jedynie piekący policzek, jakiego - szczerze mówiąc - nie spodziewałem się ze strony „gosposi“. Widocznie opowiedziała o tym zajściu Emilienne gdyż ta oznajmiła mi wkrótce: - Nie zapominaj o jednym: jeżeli dotkniesz jej jeszcze raz, nie dotkniesz już nigdy mnie! - Ale i tak nie spotkałem już potem na schodach Syreny; na mój widok umykała co tchu, traktowała też mnie jak wroga i rozzuchwalała się coraz bardziej. Była rasową lesbijką reprezentującą typ męski, władczą, zaborczą i tak wierną, jak to możliwe tylko u lesbijek. W każdym razie była lesbijką aktywną! Kiedy moja żona i ja szliśmy do naszej małżeńskiej sypialni, Syrena udawała się do swego akwarium. Emilienne kładła się do łóżka i przez jakiś czas czytała obok mnie, albo przynajmniej udawała, że czyta. Tak mijało pół godziny, po czym stuknięcie bosą stopą o podłogę oznajmiało, że królowa mórz jest już gotowa.

Nie mogąc nawet zmrużyć oka, zabijałem czas w jedyny sposób, jaki mi pozostał: wsłuchiwałem się w odgłos ich niezliczonych pocałunków, czasem zaś, dławiony rozpaczą, usiłowałem ujrzeć coś przez szczelnie zakrytą dziurkę od klucza. Stałem tak pod drzwiami, pieniać się z wściekłości, gdyż po tych westchnieniach i jękach mogłem sobie bez trudu wyobrazić, co się tam dzieje. Po dwóch godzinach Emilienne wracała i natychmiast zapadała w głęboki sen: dopiero na ostry brzęk budzika otwierała swoje zapadłe, podkrążone ciemnymi obwódkami oczy. Następnie szykowała w kuchni kanapki i wносиła je

na tacy z filiżanką czekolady na górę, do naszej gosposi, która była jej panią (moja żona była zawsze stroną uległą; przy

wszystkich swoich lesbijskich idyllach). O dziewiątej obie schodziły na dół, aby zająć się domem, przy czym pani domu sprawiała raczej wrażenie gosposi i odwrotnie. Ramię w ramię udawały się na bazar, gdzie Syrena płaciła, Emilienne natomiast nosiła zakupy. Następnie zamykały się w kuchni, aby przyrządzić posiłek. Kiedy spoglądałem przez szybki w drzwiach na te zamazane, podchodzące do siebie cienie, tylko nieraz widoczne tak wyraźnie, by dostrzec, jak stykają się“ z sobą dwie pary piersi, wiedziałem już, że nie czeka mnie nic lepszego, tylko twarda fasola lub rozgotowany groch. Ode mnie Maria nie przyjmowała żadnych poleceń, zawsze musiałem zwracać się do madame, która w tych przypadkach odpowiadała mi: - Syrena skarży się, że zbyt często zmieniasz koszule... Tą uwagą o befsztykach uraziłeś Syrenę.. Ona nie jest tu służącą, odejdzie od nas, jeśli będziesz miał wobec niej tak wysokie wymagania. - Nigdy jeszcze nie musiałem tak często czyścić sobie sam butów i przyszywać guzików, jak pod rządami owej gosposi!

Nie muszę chyba dodawać, że zasiadała do stołu razem ze swoim państwem, co zresztą było jeszcze najmniejszym złem, gdyż w mojej obecności nie odzywała się i tak nawet jednym słówkiem. Jej usługi ograniczały się do stałego kursowania pomiędzy kuchnią i jadalnią, przy czym musiałem jeszcze często podawać razem z żoną do stołu lub wnosić naczynia po posiłku. Kiedy schodziły mi z oczu, aby oddać się bez przeszkód pieścizotom, przeglądałem najświeższą prasę.

Już wkrótce przyzwyczailem się do wychodzenia z domu po odejściu od stołu, aby ułatwić im ów błogi odpoczynek poobiedni. A jakież męczarnie przeżywałem przy tym! Zdarzało się, że Syrena odciągała mnie za rękę, kiedy widziała, że pocałowałem swą żonę, innym razem Emilienne - na znak dany jej przez Syrenę - zabierała mi wino. Nasze stosunki małżeńskie były nadzorowane tak gorliwie, jak to tylko możliwe, a najdrobniejsza oznaka miłosnego uścisku przynosiła Emilienne straszliwe wyrzuty. Najgorszą jednak rzeczą była tajemnica, jaką się otoczyły. Nie dość na tym, że

nie wolno mi było przyłączyć się do nich; Emilienne zaczęła odmawiać mi wszelkich informacji. - Co to cię może obchodzić... Nie musisz tego wiedzieć... Cóż chcesz, ona kazała mi przysiąc, że nie powiem ci ani słowa. - W ten sposób kwitowała moje pytania. Jeżeli chodzi o drugą, to zadowalała się uporczywym milczeniem.

Tak przeciągana struna pękła wreszcie, kiedy któregoś dnia wróciłem do domu ex abrupto i zaskoczyłem obie w salonie na kanapie. Były nagie, w pozycji, jaką zawsze ceniłem najbardziej. Syrena, która pasła się właśnie na sekretnej murawie Emilienne, jakby była to trawa morska, oferowała mi zarazem widok pary pośladków, przypominających bliźniacze skały, polerowane ustawicznie przez piesz-czący pocałunek fal. Kobiety krzyknęły spłoszone, niczym mewy, i poleciały do akwarium. Emilienne biegła pierwsza. Dogoniłem Syrenę w momencie, gdy chciała zatrzaskać mi drzwi przed nosem, i podstawilem jej nogę, tak że padła na łóżko na brzuch. Leżąc tak, stanowiła nie lada pokusę dla mojego Priapa, nie tylko zresztą pokusę,

ale również okazję. Moja męskość zbudziła się, czemu Emilienne przypatrywała się z nabożną wręcz czcią.

Ci z moich czytelników, którzy posiadli już kiedyś kobiety przemocą, znają doskonale tę nagłą uległość, z jaką tamte poddają się swym agresorom po szaleńczej walce, jak gdyby rozkosz była właściwą zapłatą za ów upór. Nasza pompejańska pozycja nie pozwalała mi dojrzeć w twarzy Syreny aprobaty, czułem ją jednak wyraźnie po gwałtownym drganiu ciała mej ofiary.

Po skończonym akcie podniosła się, nie patrząc ani na Emilienne ani na mnie, zeszła na dół i zamknęła się w toalecie. Emilienne, z pięścią wciśniętą do ust, trwała w bezruchu. Spiesznie pozapinałem wszystkie guziki, kiedy zaś zacząłem schodzić po schodach na dół, jej niema twarz wyrażała jedynie ponurą żądę zemsty.

Potem - założyłem właśnie płaszcz, aby wyjść z domu - usłyszałem, jak tłucze nogą o drzwi łazienki, wołając: - Otwórz, otwórz, moje jagniątko, chciałabym cię umyć!

Syrena nie odezwała się ani słowem.

Resztę tego dnia, 17 listopada, spędziłem w biurze. Kiedy wróciłem wieczorem - dosyć późno - do domu, zastałem Emilienne samą; miała mocno zaczerwienione oczy.

— A Syrena? - zapytałem, wielce zakłopotany, jak to łatwo sobie wyobrazić.

— Wyjechała! - odparła. - I wiesz, że zniszczyłeś tym samym to wszystko, co istniało jeszcze między tobą a mną.

Małżeński duet odrodził się ponownie - w oddzielnych łózkach.

## Upadek Emilienne

Ale również w tym przypadku okazało się, że zło może mieć swoje dobre strony. Wprawdzie nasze małżeństwo - jeśli sędzić po milczeniu partnerów - osiągnęło swój najniższy poziom (choć moim zdaniem milczenie stanowi dla skłóconej pary raczej lekarstwo niż truciznę), ale od tej pory nie słyszałem już ani słowa na temat wyspy Ouessant lub jej mieszkańek. Nawet wtedy, gdy spakowałem cały dobytek Syreny, aby go jej odesłać, nie okazała nawet cienia żalu. Zresztą Emilienne spędziła cały mglisty grudzień jak w klasztorze:

coś w rodzaju grypy z nie kończącą się podwyższoną temperaturą więziło ją w mieszkaniu aż do najbardziej przygnębiających ze wszystkich dotychczasowych świąt Bożego Narodzenia. Przez p'e-3 wien czas sądziłem nawet, że wyleczyłem ją definitywnie z tej skłon-1 ności do kobiet, ona sama zapewniała mnie o tym - z okazji częś-1 ciowego pojednania, jakie wiązało się niewątpliwie z moją troskliwą opieką. Po świątach poczuła się lepiej, podjęła też swoją pracę u Ju-llimarda. Ze względu na rzekome narady w redakcji czas jej pracy był teraz ruchomy. Pewnego razu, w połowie stycznia, kiedy wróciła do domu dopiero po północy, i to trochę podchmielona, przyznała mi się do tego, że od około dziesięciu dni „jest recydywistką“.

Ten jej nawrót do przeszłości wydarzył się w sposób nadzwyczajny pod słońcem. Stało się to w jasny dzień w autobusie: przy Rond-Point na Champs-Elysees siedząca naprzeciw niej pasażerka

o seledynowych oczach, która od placu Clichy nie odrywała od niej wzroku, zapytała ją, czy wysiada na najbliższym przystanku. Wpatrywała się w nią przy tym tak dziwnie, że pytanie wyglądało raczej na polecenie. Zanim minęła godzina, leżały już obie obok siebie w negliżu w umeblowanym apartamencie na rue de Tilsitt.

– A teraz?

– Zostaniemy dobrymi przyjaciółkami. Ona wprawdzie nie potrafi dochować wierności, ale wprowadzi mnie w środowisko.

– Jakie środowisko?

– No, środowisko, w którym kobiety... Co chcesz, to jest silniejsze ode mnie,  
nie umiem już obyć się bez tego.

Kilka dni później poznałem dalsze szczegóły. Isabelle (znane mi było tylko jej imię) była szefową szwaczek w dużym salonie mody na Feubourg Saint-Honore. Utrzymywała stosunki z kilkoma dojrzałymi sprzedawczyniami antyków o ambicjach artystycznych i literackich. Będąc lesbijką w każdym calu, miała nie jedną kochankę, lecz cały harem, żyła bowiem w świecie, gdzie eleganckie damy z towarzystwa zmieniały swoje „laleczki“ jak rękawiczki. W lokalu „U Carroll“ na rue de Ponthieu, gdzie ostatnio wprowadziła Emilienne, przedstawiła ją od razu różnym światowym, choć z wypisanym wyraźnie na twarzy trybem życia elegantkom.

- Ja też - powiedziała mi - muszę pogodzić się z tym, że należę do tego świata, jeśli chcę coś osiągnąć.

A więc i tym razem sprawy nie układały się dla mnie pomyślnie. Jednakże nasze małżeństwo oparte było na zasadzie obopólnej swobody, a poza tym nie wyszłoby mi chyba na dobre, gdybym próbował teraz zabronić mej żonie tych praktyk, do jakich zamiłowanie sam w niej rozbudziłem. Tylko raz odważyłem się przypomnieć jej o poczuciu własnej godności.

coś w rodzaju grypy z nie kończącą się podwyższoną temperaturą więziło ją w mieszkaniu aż do najbardziej przygnębiających ze wszystkich dotychczasowych świąt Bożego Narodzenia. Przez pewien czas sądziłem nawet, że wyleczyłem ją definitywnie z tej skłonności do kobiet, ona sama zapewniała mnie o tym - z okazji częściowego pojednania, jakie wiązało się niewątpliwie z moją troskliwą opieką. Po świętach poczuła się lepiej, podjęła też swoją pracę u Ju-llimarda. Ze względu na rzekome narady w redakcji czas jej pracy był teraz ruchomy. Pewnego razu, w połowie stycznia, kiedy wróciła do domu dopiero po północy, i to trochę podchmielona, przyznała mi się do tego, że od około dziesięciu dni „jest recydywistką“.

Ten jej nawrót do przeszłości wydarzył się w sposób nadzwyczajny pod słońcem. Stało się to w jasny dzień w autobusie: przy Rond-Point na Champs-Elysees siedząca naprzeciw niej pasażerka o seledynowych oczach, która od placu Clichy nie odrywała od niej wzroku, zapytała ją, czy wysiada na najbliższym przystanku. Wpatrywała się w nią przy tym tak dziwnie, że pytanie wyglądało raczej na polecenie. Zanim minęła godzina, leżały już obie obok siebie

w negliżu w umeblowanym apartamencie na rue de Tilsitt.

– A teraz?

– Zostaniemy dobrymi przyjaciółkami. Ona wprawdzie nie potrafi dochować wierności, ale wprowadzi mnie w środowisko.

– Jakie środowisko?

– No, środowisko, w którym kobiety... Co chcesz, to jest silniejsze ode mnie, nie umiem już obyć się bez tego.

Kilka dni później poznałem dalsze szczegóły. Isabelle (znane mi było tylko jej imię) była szefową szwaczek w dużym salonie mody na Feubourg Saint-Honore. Utrzymywała stosunki z kilkoma dojrzałymi sprzedawczyniami antyków o ambicjach artystycznych i literackich. Będąc lesbijką w każdym calu, miała nie jedną kochankę, lecz cały harem, żyła bowiem w świecie, gdzie eleganckie damy z towarzystwa zmieniały swoje „laleczki“ jak rękawiczki. W lokalu „U Carroll“ na rue de Ponthieu, gdzie ostatnio wprowadziła Emilienne, przedstawiła ją od razu różnym światowym, choć z wypisanym wyraźnie na twarzy trybem życia elegantkom.

- Ja też - powiedziała mi - muszę pogodzić się z tym, że należę do tego świata, jeśli chcę coś osiągnąć.

A więc i tym razem sprawy nie układały się dla mnie pomyślnie. Jednakże nasze małżeństwo oparte było na zasadzie obopólnej swobody, a poza tym nie wyszłoby mi chyba na dobre, gdybym próbował teraz zabronić mej żonie tych praktyk, do jakich zamiłowanie sam w niej rozbudziłem. Tylko raz odważyłem się przypomnieć jej o



poczuciu własnej godności.

coś w rodzaju grypy z nie kończącą się podwyższoną temperaturą więziło ją w mieszkaniu aż do najbardziej przygnębiających ze wszystkich dotychczasowych świąt Bożego Narodzenia. Przez pewien czas sądziłem nawet, że wyleczyłem ją definitywnie z tej skłonności do kobiet, ona sama zapewniała mnie o tym - z okazji częściowego pojednania, jakie wiązało się niewątpliwie z moją troskliwą opieką. Po świętach poczuła się lepiej, podjęła też swoją pracę u Ju-llimarda. Ze względu na rzekome narady w redakcji czas jej pracy był teraz ruchomy. Pewnego razu, w połowie stycznia, kiedy wróciła do domu dopiero po północy, i to trochę podchmielona, przyznała mi się do tego, że od około dziesięciu dni „jest recydywistką“.

Ten jej nawrót do przeszłości wydarzył się w sposób nadzwyczajny pod słońcem. Stało się to w jasny dzień w autobusie: przy Rond-Point na Champs-Elysees siedząca naprzeciw niej pasażerka o seledynowych oczach, która od placu Clichy

nie odrywała od niej wzroku, zapytała ją, czy wysiada na najbliższym przystanku. Wpatrywała się w nią przy tym tak dziwnie, że pytanie wyglądało raczej na polecenie. Zanim minęła godzina, leżały już obie obok siebie w neglizju w umeblowanym apartamencie na rue de Tilsitt.

— A teraz?

— Zostaniemy dobrymi przyjaciółkami. Ona wprawdzie nie potrafi dochować wierności, ale wprowadzi mnie w środowisko.

– Jakie środowisko?

– No, środowisko, w którym kobiety... Co chcesz, to jest silniejsze ode mnie, nie umiem już obyć się bez tego.

Kilka dni później poznałem dalsze szczegóły. Isabelle (znane mi było tylko jej imię) była szefową szwaczek w dużym salonie mody na Feubourg Saint-Honore. Utrzymywała stosunki z kilkoma dojrzałymi sprzedawczyniami antyków o ambicjach artystycznych i literackich. Będąc lesbijką w każdym calu, miała nie jedną kochankę, lecz cały harem, żyła bowiem w świecie, gdzie eleganckie damy z towarzystwa zmieniały swoje „laleczki“ jak rękawiczki. W lokalu „U Carroll“ na rue de Ponthieu, gdzie ostatnio wprowadziła Emilienne, przedstawiła ją od razu różnym światowym, choć z wypisanym wyraźnie na twarzy trybem życia elegantkom.

- Ja też - powiedziała mi - muszę pogodzić się z tym, że należę do tego świata, jeśli chcę coś osiągnąć.

A więc i tym razem sprawy nie układały się dla mnie pomyślnie. Jednakże nasze małżeństwo oparte było na zasadzie obopólnej swobody, a poza tym nie wyszłoby mi chyba na dobre, gdybym próbował teraz zabronić mej żonie tych praktyk, do jakich zamiłowanie sam w niej rozbudziłem. Tylko raz odważyłem się przypomnieć jej o poczuciu własnej godności.

– O co ci chodzi? - zawołała wtedy. - Czy nie mam prawa poznać tak interesującego odłamu społeczeństwa? Wiesz przecież, że drzemie we mnie pisarka, która prze na światło dzienne. Po tym, jak

przez dziesięć lat bladłam nad obcymi manuskryptami, chciałabym wreszcie móc napisać sama ciekawe pamiętniki. Niezła wymówka! Po kolei stawała się partnerką wszystkich tych snobistycznych intelektualistek, które zaznajomiły ją z najdrobniejszymi finezjami swego zepsucia, potem ich uczennicą i wreszcie zwolenniczką. Rozkoszując się wszystkimi, uczyła się też od wszystkich po trochu. W założeniu chodziło o poetycką ideę powołania do życia - w cieniu miss Barnay - nowej szkoły safickiej, w rzeczywistości jednak było to polowanie przesyconych, żądnych nieustannych zmian kobiet na ekspedientki w luksusowych sklepach, gwiazdki filmowe i dystygowane sekretarki. W całej ósmej i szesnastej dzielnicy znały butiki, kawiarnie i bary - idealny teren obfitujący w tak poszukiwaną przez nie zwierzynę jak lesbijki. Lokal „U Car-roll“ był ich miejscem spotkań, gdzie mocno uszminowanej szefowej, która wyglądała tak, jakby ożyła z kart wiadomych powieści typowych dla Belle Epoque, szeptały do ucha jakieś nazwisko i adres, chyba że same wracały tego dnia z udanego polowania i mogły rzucić na pożarcie zgłodniałej klientki lokalu modelkę lub wystraszoną statystkę. Wkrótce jednak Emilienne uznała, że ma dosyć tego pijackiego klubu, gdzie pieniądze i whisky krążyły zbyt gorączkowo, a zdrada najędzniejszej dziwki wystarczała, by damy brały się do rękoczynów. Wyćwiczona fizycznie i wtajemniczona w cały podstępny kunszt uwodzenia, stanęła

— jeśli mi wolno tak powiedzieć - na własnych nogach i wypróbowała najpierw wszystkie neurotyczne pisarki i sekretarki o skłonnościach homoseksualnych, jakie mogło zaoferować

wydawnictwo Jullimard. Przed pójściem do pracy i po jej zakończeniu krążyła po mieście i niebawem stała się jedną z tych opętanych, które wszędzie - na ulicy, w autobusie i domach towarowych - tropią okazję i korzystają z nich.

Opowiadała mi niewiele, ale jej późne powroty do domu, pośpiech, z jakim wpadała do łazienki, napięte rysy twarzy i stale nieobecny wzrok świadczyły aż nadto wyraźnie, że wraca z łowów. Mogłem sobie doskonale wyobrazić to zuchwałe prześladowanie ofiary i spieszne porozumienie. Ostatecznym dowodem były rozmowy telefoniczne, po których gnała jak na skrzydłach do restauracji na rue Girardon, jak również listy adresowane kobiecą ręką. O ile wiem, nie brała pieniędzy ani nie płaciła. Ale zdjęcia, jakimi usiana była cała jej toaletka, kwiaty, chusteczki i kosmyki włosów, które przechowywała jak relikwie w specjalnej szufladce, wskazywały wymownie na ilość i różnorodność jej podbojów.

Gdzie to się odbywało? W mieszkaniu u tej lub u innej, albo też w pensjonacie - co zdradził mi któregoś dnia odpowiedni bilecik reklamowy, który wypadł z jej torebki.

Zacząłem czuć do niej odrazę. Tłumacząc się jakimiś trudnościami z zasypianiem, przenieśliśmy się na początku lutego do dawnego pokoju Syreny, gdzie nocowałem przez pewien czas. Pomysł okazał się fatalny w skutkach, otworzył bowiem na oścież drzwi naszego domu rozpuście. Były to dla mnie przykre, gorzkie chwile, kiedy w środku nocy słyszałem, jak Emilienne wchodzi do mieszkania, nie zapalając światła i szepcząc do kogoś „pst, pst“ - co okazało się

bardziej wymowne, niż odgłos kroków obcej osoby.

Ogarniało mnie dziwne uczucie: jej nazbyt splamione, zbrukane ciało nie znaczyło już dla mnie nic, rozwiązały tryb życia, który niegdyś rozpałał me zmysły, oddalał ją teraz ode mnie, ale owa dawna żądza obserwowania jej lubieżnych igraszek mieszała się obecnie z nieodpartym pragnieniem, by poznać najbardziej przepastne głębie jej duszy. Doszło do tego, że zdecydowałem się uczynić coś, o co siebie do tej pory nie podejrzewałem: zacząłem ją śledzić.

Och, wkrótce zorientowała się, że za nią chodzę. Trudno jest szpiegować kobietę, która krąży w poszukiwaniu miłości i bez przerwy odwraca się, by sprawdzić działanie swych znaczących spojrzeń. Może nawet poczuła już pierwszego dnia, że ją obserwuję, ale ów żaloszny odgłos mych kroków za jej plecami tylko ją bawił? Zaczęło się to na stacji „Abesses“, w wagonie I klasy metra, linii północ-południe. Przez drzwi łączące dwa wagony podziwiałem odwagę, z jaką zabierała się do dziewczyny, co do której jakiś tajemny znak upewnił ją, że może liczyć na sukces, i którą pytała teraz o możliwości jakiejś skomplikowanej przesiadki. Albo też siadała naprzeciw dziewczyny, na którą zwróciła uwagę już na peronie, i wlepiła wzrok w jej usta i piersi. Kiedy nie było miejsc siedzących, stawała obok wybranki, przesuwała nieznacznie dłonią po poręczy, aż jej palce zetknęły się, a potem splotły z palcami tamtej. Kiedy wchodziła do kawiarni, krążyła kilka razy po sali, zanim wreszcie zdecydowała się usiąść obok interesującej ją kobiety, która nie była w towarzystwie. Największe pole do popisu dawały jednak duże domy towarowe, gdzie przebijając w

wystawionych tam rękawiczkach mogła schwytać i uściskać znacząco niejednego ochoczy paluszek. Lubiała też herbaciarnie i - czy wierzyć? - dziedzińce klasztorów, gdzie przynajmniej jedna siostrzyczka zawsze pośpieszyła z pomocą, gdy Emilienne pytała o drogę: sam ujrzałem raz jedną z nich przed parkiem w Allee des Brouillards. Na ulicy zdarzało się, że Emilienne całkiem nieoczekiwanie skręcała, idąc za jakąś elegancką kobietą. Pewnego dnia w lutym szła krok w krok za dziewczyną w wyjątkowo wytwornych butach i rękawiczkach. W ten sposób znalazła się aż na rue Quincampoix, ale owa osóbką weszła raptem do domu publicznego i moja Emilienne, osłupiała, cofnęła się o krok, wpadając na mnie.

— To ty! - wykrzyknęła. A potem, wskazując na dom, zapytała:

- Czyżbyś chciał tu wejść?

— Nie spodziewałem się - odparłem - że spotkam tu ciebie.

— Śledzisz mnie?

— Tak jak ty tę prostytutkę.

— Och, nie wiedziałam przecież, kim ona jest!

— A teraz-? - kusilem ją. - Skoro już tu jesteś, co cię teraz powstrzymuje? Weszliśmy do środka, gdzie nastąpiło spotkanie z ową dziewczyną. Po przełamaniu pierwszych lodów przedstawiła się jako przewodnicząca komitetu rodzicielskiego w liceum na Saint-Germain-en-Laye. Dziś nie dysponowała swoim cadillakiem, ale zazwyczaj jej szofer przywoził ją tu o trzeciej po południu i przyjeżdżał po nią potem o pierwszej w nocy. Widocznie dostrzegła w nas coś więcej, niż w innych klientach, gdyż przedstawiła nam perspektywę spotkania na

herbatce u niej w domu. Z godną podziwu zimną krwią Emilienne zapisała sobie adres dziewczyny, która pod imieniem Violetta zarabiała tu trzydzieści tysięcy franków dziennie, aby jako madame de N., dama z towarzystwa, pełnić szacowną funkcję w zupełnie innym domu na Saint-Germain. Obydwie siedziały w negliżu, rozmawiały jednak na tak zawile i dziwaczne tematy, że wreszcie dałem sygnał do wyjścia. Rozmowa z Violette zakończyła się obietnicą złożenia wizyty w domu madame de N.

– Sam widziałeś - powiedziała Emilienne, kiedy byliśmy już na ulicy - jaka była wobec mnie uprzejma... Och, w tej dziewczynie tkwi wiele dobrych cech; można w niej odnaleźć nawet piękno.

– Tylko tego brakowało, żebyś została kochanką tej kurwy! - odparłem ostro. Moje zajęcie szpiega miało przynajmniej tę zaletę, że odzyskałem pewną kontrolę nad poczynaniami mej żony.

– A propos - powiedziała pewnego wieczoru, kiedy odebrałem ją na Place du Tertre nie wzbudzającej najmniejszego zaufania „laleczce“ - nie rozumiem, dlaczego masz być w moim życiu wichrzycielem, skoro mógłbyś stać się dla mnie opiekunem. Wiem przecież, na jakie narażam się niebezpieczeństwa, przydałby mi się więc ktoś, kto by mnie powstrzymywał.

– Opiekun - odparłem - musi być przede wszystkim kochankiem.

– Mógłbyś jeszcze kochać się z taką „lesbą“ jak ja?

– Gdybym przynajmniej mógł się przyglądać!

– O nie, to wykluczone. Ale jeśli zadowolilibyś się tym, że

mówiłabym ci o wszystkim - zgoda. Zamiast mnie śledzić, mógłbyś mi towarzyszyć; do pewnego momentu.

– I znowu będziesz należała do mnie?

– Przyjdź dziś wieczorem do mego łóżka, o ile nie brzydzisz się taką łajdaczką jak ja.

W „Grenier“ wypiliśmy trochę. To, że uświadamiała sobie, jak bardzo jest zepsuta

i rozwiązała, działało na mnie jak afrodyzjak. W pośpiechu wróciliśmy do domu,

gdzie okazałem się na tyle słaby, by wziąć w ramiona to splamione nad miarę

ciało. W tym momencie przypomniał mi się przyjaciel z Akademii Sztuk Pięknych,

który zmuszał swą żonę do przechadzania się po zapadnięciu zmroku pod własnym

domem, z charakterystyczną torebką w ręku, i szeptania do niego: „I jak, mały,

zabawimy się?“. Inny mój znajomy płacił w burdelu za to, żeby jego prawowita

małżonka oddawała mu się w „odpowiedniej scenerii“. Do tego typu zdrożnej

rozpusty podobna była tego dnia moja brudna żądza.

W każdym razie zostaliśmy znowu współnikami. Dawniej byłem trzecim bokiem

trójkąta, potem wyrozumiałym świadkiem zbiorowego



wyuzdania, przepelniony odrazą

śledziłem też osobliwą podry-waczkę kobiet, teraz zaś miałem  
pełnić rolę

bezinteresownego alfonsa lesbijki.

Bywało, że w niedzielę po południu mówiła: - Chodźmy na  
bulwar, mam chrapkę na  
jakąś dziewczynę.

Właśnie wtedy przekonałem się, jak wygląda lesbijski tropiciel  
w Paryżu. Trzeba

było zobaczyć na własne oczy, jak chyżo nawiązywała kontakt z  
najbardziej

niewinną - jak się wydawało - z przechodzących obok niej  
kobiet. Przypominało to

prawdziwą magię. Emi-lienne muskała nieznajomą i  
wyprzedzała, trącając ją lekko

łokciem; obracała się, zwalniała kroku, tamta doganiała ją, palce  
dotykały

dłoni, wślizgiwały się wyżej pod rękaw, Emilienne ujmowała ją  
już pewnie pod

rękę; dziesięć minut później wchodziły razem do hotelu. A ja?  
Przez pewien czas

przechadzałem się tam i z powrotem, jeśli zaś nie wychodziły  
przez dłuższy czas,

rezygnowałem z czekania na żonę.

Nigdy nie udało mi się rozgryźć owych znaków, po których

poznawały się siostry z

tego osobliwego zakonu, o wiele liczniejszego, niż się tego spodziewałem. Kiedy

prosiłem Emilienne, aby mi to wyjaśniła, mówiła tylko: - To czuje się na

odległość! - albo: - W każdej kobiecie drzemie „lesba“. To tylko kwestia

intuicji i odwagi.

Nie korzystała ze wszystkich dokonanych przez siebie podbojów. Po okresie, kiedy

spontanicznie dawała ujście swym najbardziej ślepym żądom, stała się wybredna;

trafiała nieraz zwierzyń, ale nie

zabierała jej. Wprawny wzrok dostrzegł w ostatniej chwili zbyt nisko osadzone pośladki lub za wąskie biodra. Nie każda też próba podboju kończyła się sukcesem. Bywały zaskoczone, zaszokowane twarze, wykrzykiwane na głos lub szeptem dyskretnie wyzwiska, problemy z małżonkami lub kochankami (którzy wzywali mnie, bym bronił tej, która wcale nie chciała być broniona). Trzeba było jednak widzieć, jak w przypadku porażki bierze się natychmiast w garść i rzuca na kolejną ofiarę. Tuż po upokarzającej odmowie pędziła już do kina Gaumont, gdzie napastowała sąsiadkę łokciem lub kolanem i otaczała ramieniem drżącą talię. W lokalu flirtowała z siedzącą przy sąsiednim stoliku damą, aż tamta udawała się do toalety - ustronnego, uniwersalnego miejsca spotkań. Kiedy wszystko było już uzgodnione,

Emilienne przepraszała mnie i odsyłała samego do domu. Zjawiała się dopiero po dwóch godzinach i wtedy opowiadała monotonne, nie mające końca szczegóły na temat nowego podboju. Wieści o Adilee

Funkcję doradcy pełniłem z nierównym skutkiem: wystarczyła nieraz jedna moja uwaga na temat wyglądu lub zachowania tej czy innej kobiety, aby stłumić w zarodku niepożądaną przygodę, nie udało mi się jednak zapobiec krótkotrwałemu, ale jakże brzemiennemu w skutki wtargnięciu w nasze życie niejakiej madame Safo. Sposób, w jaki to uczyniła, świadczył wyraziście i bezwzględnie o opinii, jaką Emilienne cieszyła się w naszej dzielnicy. Madame zadzwoniła do drzwi domu we wtorek, podczas mojej nieobecności, i przedstawiła się jako przewodnicząca „Akcji charytatywnej na rzecz kobiet pozbawionych kobiet“. Fundacja miała wspierać moralnie i finansowo te dziewczęta, które przez swe niewierne kochanki zostały pozostawione na pastwę bestii, jakimi są mężczyźni. W rzeczywistości madame Safo była pod swą filantropijną maską nikim więcej jak tylko zwykłą rajfurką. Ta wymalowana i uszmkowana kobieta po sześćdziesiątce, wyszczekana i

Omanierach domokrażcy, prowadziła biuro pośrednictwa matrymonialnego, którego zadaniem było przede wszystkim werbowanie lubieżnym damom z towarzystwa młodych dziewcząt. Madame pełniła rolę skrzynki pocztowej i pośredniczki pomiędzy pewnymi czasopismami, w których zamieszczała określone ogłoszenia,

a

bardzo

drażliwą klientką. Za odpowiednią opłatą można było odbyć intymne spotkania w jej salonie.

Emilienne, równie dobra co naiwna, nie omieszkała uiścić składki na rzecz owej sekty charytatywnej, nierozważnie też zaprosiła madame Safo do złożenia nam ponownie wizyty. I w ten sposób ta niesamowita istota zaczęła przychodzić do naszego domu co trzeci dzień na pogawędkę - cenioną tym bardziej, że gość znał dokładnie wszelkie przejawy zbiorowej i indywidualnej rozpusty w całej dzielnicy. O swoich klientkach opowiadała takie świństwa, że włosy jeżyły się na głowie, relacjonowała zaś to tonem spokojnym, jakby mówiła o sprawach najzwyczajniejszych pod słońcem. Tym samym przyczyniła się do jeszcze większego rozkładu sumienia mej żony, która i bez tego była skłonna uznać najgorsze okropności za nieistotny banał. Jednym z ulubionych tematów madame Safo było biczowanie; nie mogła sobie wyobrazić pary dziewcząt, gdzie jedna nie chłostałaby drugiej. Dlatego też trudniła się sprzedażą pejczy, pochodzących z wytwornego osiemnastego rewiru i wzorowanych na pejcach z XVIII wieku. Nieco bardziej dyskretnie oferowała zastępujące męskie członki przyrządy, jakie pewien głodujący artysta z rue Saint-Eleuth Fore wykonywał na jej zamówienie. Pokazywała je damom po nawiązaniu kontaktów bardziej zażyłych i popyt na nie wśród spragnionych rozkoszy kobiet okazał się większy, niż można by się tego spodziewać. Aby zyskać większe poważanie, obnosiła się ze swą znajomością

literatury, co sprawiło, że w Emilienne zbudziła się na nowo skłonność do pisania: w rzeczywistości jednak chodziło przede wszystkim o książki ze specyficznego kręgu literatury; książki tworzące interesującą „wypożyczalnię“. Prawdopodobnie w celu wzbogacenia tego księgozbioru madame Safo zaproponowała mej żonie, by opisała swe przeżycia miłosne. Któregoś pięknego dnia znalazłem w sekretarzyku Emilienne setkę arkuszy papieru, zapisanych jej charakterem pisma i zatytułowanych „Wspomnienia współczesnej lesbijki“. Po chwili przyszła do domu autorka owych wspomnień, zaskoczyła mnie na lekturze i stanęła jak wryta - jeszcze bardziej zakłopotana niż ja. Poprosiłem o wyjaśnienie i usłyszałem w odpowiedzi, że reguły stosowane w wydawnictwie Jullimard są zbyt surowe, ona więc znalazła w osobie madame Safo wydawcę bardziej dyskretnego i liberalnego. Na szczęście udało mi się odwieść Emilienne od zamiaru dokończenia tej sprośnej, a mimo to niezbyt ciekawej książki. Rzadko zdarza się, by pisarki powiedziały rzeczywiście to, co mają do powiedzenia: zaintrygował mnie tylko jeden z początkowych rozdziałów, „Dzieje powołania“, w którym mężczyzna bardzo podobny do mnie, stręczy ją dziewczynie, przywodzącą na myśl Adilee - był to dowód, że nie wymazała jeszcze z pamięci Algierki.

Madame Safo nie udało się więc przekształcić mojej żony w autorkę książek pornograficznych, przyczyniła się za to do sfinalizowania brzemienną w skutki randki: w jej biurze Emilienne spotkała się z pewną dziewczyną - dostawczynią czy też klientką, tego nie była pewna - w której rozpoznała Wandę Pergolaszkę.

Nie nosiła wprawdzie nazwiska, jakim ochrzciła ją niegdyś Adilee, ale była to ona: ta sama Słowianka, z którą Algierka zaznajomiła się osiem miesięcy temu w „Pergoli“ i z którą spędziła urlop na Lazurowym Wybrzeżu. Emilienne zapamiętała dobrze zdjęcie przysłane na Ouessant. Dziewczyna przedstawiła się jako stała bywalczyni w Saint-Germain-des-Pres i w „Saint-Tropp“ -7- w tym miejscu, które jest bardziej paryskie niż sam Paryż, prowadziła z przyjaciółką księgarnię. Wynikało z tego, że owa Wanda zamieszkała z Adilee w Saint-Tropez. Z dalszych relacji wynikało, że obie posprzeczały się już po sześciu tygodniach, nie mogąc porozumieć się ani w sprawach estetyki, ani namiętności, ani podziału zysków. Uzgodniono, że prowadzeniem interesu zajmie się Adilee, również w tym roku. - A więc Adilee odnalazła się... - powiedziała Emilienne, jękając się ze wzruszenia i podniecenia. - Nie mogłam inaczej, musiałam zaprosić tę dobrą kobietę na jutrzejszy wieczór. Ty też musisz przy tym być.

I w ten sposób siedziałem nazajutrz przy kolacji razem z Wandą.  
Była typem

Słowianki o najbardziej jasnych włosach, jakie kiedykolwiek widziałem: klasyczna mieszanina aktorki bez roli i szpiega bez misji. Wymawiając „r“ tak nienaturalnie, jakby się tego specjalnie wyuczyła, opowiadała bez końca o przyjaciółce, którą porzuciła z żalem. Ale: Adilee miała trudny charakter, jej poglądy na temat sztuki były nieco staroświeckie, brakowało jej zmysłu kupieckiego, a poza tym sprawiała wrażenie, jakby kochała kogoś w przeszłości i nie mogła zapomnieć o tamtej wielkiej miłości.

Emilienne chłonęła jej słowa, zaciskając kurczowo dłonie, jakby chciała ją udusić, ale wzrok, jakim wodziła po kształtach dawnej rywalki, zdradzał zainteresowanie ciałem, które tuliło się niegdyś do Adilee. Uznałem za stosowne odejść od stołu jeszcze przed kawą.

Wanda, która, trudniła się rano jakimś tajemniczym zajęciem, opuściła Emilienne o ósmej, przyrzekając jej, że spotkają się znowu u madame Safo. Przy śniadaniu odbyłem bardzo szczere rozmowę z żoną, która już coraz mniej przypominała ową upiorną zjawę z ostatnich dni. Najpierw wysłuchałem relacji o spędzonej z Wandą nocy:

– Wyjątkowa osóbka! - mówiła. - Niezwykle piersi, jak wymodelowane, twarde jak stal, ale za to nie ma bioder, a pośladki jak u chłopczyka. A jakie ma wymagania! Wyobraź sobie: chciała, żebym ją wy chłostała... z całej siły!... tak samo, jak jeszcze nikt tego ode mnie nie oczekiwał! Uderzyłam ją parę razy, a potem, żeby zmusić do mówienia, wbiłam paznokcie w jej pośladki. W ten sposób wyciągnęłam z niej prawdę o niej i Adilee I wiesz co? Adilee kochała w niej nie kobietę, lecz mężczyznę, tylko te, jeśli można tak powiedzieć, męskie części ciała. Podniecają ją wyłącznie mężczyźni o kobiecym charakterze.

– Cóż za wygodne uproszczenie tria!

– Czy wiesz, że Adilee nie zajmowała się prawie wcale kobiecymi częściami ciała Wandy? Jej wybujałe piersi onieśmiały ją. Ale za to szukała... jak to powiedzieć?... tego, czego mężczyźni szukają u mężczyzny. Właśnie za tym szalała, nigdy nie miała dość!

– A więc w pewnym sensie obojnak. Jeżeli tak, to znaczy, że

ani ty ani ja nie zostaliśmy oszukani.

– W każdym razie mógłbyś się zemścić, jak należy. Gdybyś któregoś dnia miał skierować swe zainteresowanie na jakiegoś urodziwego młodzieńca, to ta wprawa mogłaby ci się przydać.

– Jako lesbijski samiec nie jestem narażony na takie pokusy. A za resztki po Adilee pięknie dziękuję.

– Nadal jesteś wściekły na tę małą biedaczkę? Wydaje mi się, mój drogi, że kiedy dyktowałeś mi ten okropny list pożegnalny w Ouessant...

– Tylko go podpisałem...

– Powtarzam: kiedy zmusiłeś mnie do napisania tego okropnego listu

pożegnalnego, nie miałeś racji. Wtedy brakowało mi jeszcze doświadczenia, ale od tamtego czasu dużo rozmyślałam na ten temat. Zamiast rzucać się setkom kobiet na szyję, powinnam była pogodzić się z wadami tej jednej, która mimo wszystko znaczy dla mnie wiele. Zakochana kobieta jest zawsze zbyt zaborcza w swych uczuciach. Wtedy to było nieporozumienie. Gdyby Adilee powiedziała: „Mam ochotę na tę pół-chłopczycę“, odparłabym: „A więc zrób to, skoro nie potrafisz z tego zrezygnować, potem wracaj jak najszybciej“. W każdym razie odpowiedziałabym tak dziś. Te kołtuńskie sprzeczki między kobietami z elity są okropne!

– Jeszcze nie tak dawno nazywałaś to zdradą.

– Zabraniam ci używać tego słowa w odniesieniu do kobiety, co do której popełniłam błąd.



– Wracając do Wandy: kiedy zobaczysz się z nią znowu?  
– Już ci powiedziałam, że możesz ją sobie wziąć, jeśli ci odpowiada. Jeżeli o mnie chodzi, spełniła swą misję: doprowadziła mnie z powrotem do Adilee. Jestem teraz przekonana, że Adilee nie może żyć beze mnie.

Była to rocznica ślubu. W południe przyniosłem bukiet róż.

- Jak to miło, że o tym pamiętałeś! - wykrzyknęła Emilienne i pocałowała mnie.

- Prawda, że my oboje będziemy zawsze mężem i żoną? A skoro już o tym mówimy: chciałabym, żebyś ofiarował mi piękny prezent!

– Mój Boże, jaki prezent?

– Pojedziesz wieczorem do Saint-Tropez. Jeżeli dobrze zrozumiałam, Adilee jest właśnie tam. Od 24 marca znowu zajęła się prowadzeniem interesu, a dziś mamy już początek kwietnia. Na Wielkanoc musi znaleźć się tu, rozumiesz?

– A jak mam to załatwić?

– Wszystko jedno, możesz nawet posunąć się do ostateczności, jeżeli będzie to konieczne!

Jej głos narastał, przerodził się nagle w krzyk.

– Zrozum wreszcie, że wszystko, co wydarzyło się w ciągu tego roku, robiłam tylko po to, aby o niej zapomnieć! I że to mi się nie udało! I że jej pragnę!

– A te wszystkie kobiety...

– Czy wiesz, że taki tryb życia mógłby mnie zdeprawować do

reszty? Och, ale wtedy, gdy ona wróci, będę czuła się zupełnie świeża i zupełnie czysta.

Z oczyma pełnymi łez wyszła z pokoju.

Misja na Saint-Tropez

Nie zdobyłem się na żaden odruch oporu. Wieczorem 3 kwietnia wsiałem do pociągu, a Emilienne, aby upewnić się, że naprawdę wyjeżdżam, odprowadziła mnie na Dworzec Lyoński. Kuląc się w przedziale, zacząłem rozmyślać wreszcie nad celowością tej osobliwej misji. Początkowo marzyłem o powrocie niewiernej, a jednocześnie bałem się tego, potem przestałem za nią tęsknić, gdyż nie czułem już przed nią strachu. Wydawało mi się, że jestem z niej wyleczony, w momencie wymuszonej wstrzemięźliwości małżeńskiej pocieszałem się z braku jej ciała przelotnymi przygodami z Królowymi Nocy, a wracałem do niej myślą tylko po to, by porównać tę upojną rozkosz, jaką mnie kiedyś obdarzała, z jeszcze większymi kłopotami, jakie sprawiała. Sama myśl o tym, że zobaczę ją znowu, napelniała mnie niesmakiem, i tylko troska o Emilienne mogła skłonić mnie do tego, bym przygotował to przykre pojednanie. Łatwo pogodziłem się z faktem, że Algierka ułożyła sobie życie inaczej: z kobietą czy z mężczyzną, wszystko jedno. Ale jak miałem ją odnaleźć? Kiedy przyjechałem w samo południe do Saint-Tropez, liczyłem się właściwie z tym, że będę musiał wrócić, nic nie wskórawszy. Poszedłem do „Escale“, gdzie zjadłem w spokoju obiad, i dopiero potem zapuściłem się w wąskie uliczki w poszukiwaniu podanego mi przez Wandę adresu. Dopiero około trzeciej odkryłem sklep. Był otwarty i na ten widok serce

zabiło mi trochę mocniej; Właściwie nie była to księgarnia, lecz sklepik „Z wszystkiego po trochu“ na mało uczęszczanej uliczce. Same książki zajmowały tu niewiele miejsca. Kiedy spojrzałem na wąską wystawę, gdzie pomiędzy dwiema parami żółtych, dziwacznych okularów leżał przedostatni numer czasopisma „Adam“, rozpoznałem w krótko ostrzyżonej kobiecie, która stała przy kasie, piłując sobie paznokcie - Adilee. Pełniła najwidoczniej funkcję ekspedientki i prezentowała długowłosemu mężczyźnie w wieku około 40 lat, wyglądającemu na klienta, który dużo ogląda, ale nic nie kupuje, krawaty. Rozsunąłem na bok zasłonę z pereł: Adilee dostrzegła mnie, drgnęła z lekka i podeszła bliżej, nadstawiając mi policzek do pocałunku.

- Coś takiego! Claude! Jaka miła niespodzianka! A więc zjawileś się tu wreszcie, niewierny Tomaszu!

Potem wskazała na dziewczynę, którą wziąłem za drugą sprzedawczynię.

- Pamiętasz moją kuzynkę Tatianę?

Nie, nie poznałbym jej. Zresztą dawniej też widywałem niezmiernie rzadko - tę, która wynajmowała pokój Adilee i nieraz z nią sypiała, w tym heroicznym okresie, kiedy jeździłem co tydzień z Paryża na wykłady w Lyonie.

Wspólniczka nie wyglądała wcale na zaniepokojoną, dziwną minę miał za to szef: wyraźnie skłócony z prozodią poeta, którego mój mierny zachwyty tym, co widzę w sklepie, zdawał się dziwić. Nie wdając się z nim w rozmowę, powiadomiłem Adilee krótko i zwięźle,

że mam dla niej ważną informację i że będę czekał na nią za dziesięć minut w barze Bijou.

- O.K. Zamów mi drinka. Pozwolisz, Tatiano? Pozwolisz, Gustawie? Jedną chwilkę, założę tylko slipki i już lecę.

Wkrótce dołączyła do mnie, odziana w jeden z tych dwuczęściowych kostiumów kąpielowych, jakie w Saint-Tropez stanowią normalny strój wyjściowy. Ponieważ nie byłem za bardzo przyzwyczajony do tej mody, widok jej ciała podziałał na mnie jak cios zadany z nienacka. Jej niemal zwierzęco owłosione pachy wydzielały nadal intensywny zapach, ramiona były w dalszym ciągu tak apetyczne, jak niegdyś, a mój wzrok mógł przesunąć się swobodnie od obnażonego dzięki krótkiej fryzurze karku prawie do końca ciągnącego się w dół meszku. To, co zakrywał materiał, dostrzegłem i tak, kiedy patrzyłem, jak marszczy się i opina na przemian na jej wyzywających kształtach.

„cale“, gdzie zjadłem w spokoju obiad, i dopiero potem zapuściłem się w wąskie uliczki w poszukiwaniu podanego mi przez Wandę adresu. Dopiero około trzeciej odkryłem sklep. Był otwarty i na ten widok serce zabiło mi trochę mocniej.’ Właściwie nie była to księgarnia, lecz sklepik „Z wszystkiego po trochu“ na małej uczęszczanej uliczce. Same książki zajmowały tu niewiele miejsca. Kiedy spojrzałem na wąską wystawę, gdzie pomiędzy dwiema parami złotych, dziwacznych okularów leżał przedostatni numer czasopisma „Adam“, rozpoznałem w krótko ostrzyżonej kobiecie, która stała przy kasie, pijąc sobie paznokcie - Adilee. Pełniła najwidoczniej funkcję

ekspedientki i prezentowała długowłosemu mężczyźnie w wieku około 40 lat, wyglądającemu na klienta, który dużo ogląda, ale nic nie kupuje, krawaty. Rozsunąłem na bok zasłonę z'pereł: Adilee dostrzegła mnie, drgnęła z lekka i podeszła bliżej, nadstawiając mi policzek do pocałunku.

- Coś takiego! Claude! Jaka miła niespodzianka! A więc zjawiłeś się tu

wreszcie, niewierny Tomaszu!

Potem wsifexała na dziewczynę, którą wziąłem za drugą sprzedawczynię.

- Pamiętasz moją kuzynkę Tatianę?

Nie, nie poznałbym jej. Zresztą dawniej też widywałem niezmiernie rzadko - tę, która wynajmowała pokój Adilee i nieraz z nią sypiała, w tym heroicznym okresie, kiedy jeździłem co tydzień z Paryża na wykłady w Lyonie.

Wspólniczka nie wyglądała wcale na zaniepokojoną, dziwną minę miał za to szef: wyraźnie skłócony z prozodią poeta, którego mój mierny zachwyty tym, co widzę w sklepie, zdawał się dziwić. Nie wdając się z nim w rozmowę, powiadomiłem Adilee krótko i zwięźle, że mam dla niej ważną informację i że będę czekał na nią za dziesięć minut w barze Bijou.

- O.K. Zamów mi drinka. Pozwolisz, Tatiano? Pozwolisz, Gustawie? Jedną chwilkę, założę tylko slipki i już lecę.

Wkrótce dołączyła do mnie, odziana w jeden z tych

dwuczęściowych kostiumów kąpielowych, jakie w Saint-Tropez stanowią normalny strój wyjściowy. Ponieważ nie byłem za bardzo przyzwyczajony do tej mody, widok jej ciała podziałał na mnie jak cios zadany zniemacka. Jej niemal zwierzęco owłosione pachy wydzielają nadal intensywny zapach, ramiona były w dalszym ciągu tak apetyczne, jak niegdyś, a mój wzrok mógł przesunąć się swobodnie od obnażonego dzięki krótkiej fryzurze karku prawie do końca ciągnącego się w dół meszku. To, co zakrywał materiał, dostrzegłem i tak, kiedy patrzyłem, jak marszczy się i opina na przemian na jej wyzywających kształtach.

– Czekam na ciebie już od tyłu miesięcy! - oświadczyła, po czym uszczypnęła mnie niedwuznacznie i bezwstydnie. - Kto ci powiedział, że jestem tutaj?

– Ty sama, do diabła, a potem Wanda!

– Widziałeś się z nią w Paryżu?

– Emilienne spotkała się z nią.

– Stara Liii! Jak jej się wiedzie?

– Pod względem fizycznym dobrze. Pod względem psychicznym raczej nieszczególnie. Chyba tęskni za tobą.

– Ja nie mogę tego powiedzieć o sobie. Czy przyjechałeś tu tylko po to, by mnie o tym poinformować?

– Tego, z czym przyjechałem, nie opowiem ci w ciągu godziny, ani nawet w ciągu dnia.

– A więc przenocujesz tu?

– Oczywiście.

– Hm... mam tylko jedno łóżko, a tam śpi Tatiana.

– Pójdę do „Aioli“. Tam możemy się spotkać.  
– Nie licz na to. Muszę dbać o opinię.  
– Opinię lesbijki?  
– Właśnie. Wystarczy, że ktoś mnie zobaczy, jak wchodzę z mężczyzną do hotelu - i mój interes będzie świecił pustkami przez cały sezon. Ale mam inny pomysł: przenocujesz u Jimmy’ego.

– Co to za jeden, ten Jimmy?  
– Kochanek Gustawa, którego już widziałeś. Kocha mnie do szaleństwa i chciałby się ze mną ożenić. Ale ja nie palę się do tego, a i on sam boi się, że zaszokowałby swoje środowisko, gdyby zaczął okazywać zbyt otwarcie uczucia wobec kobiety.

– Ale ja nie mam zamiaru spać z pederastą!  
– Nie unoś się tak od razu! Jimmy spędzi tę noc u Gustawa, a za to ja pójdę do nich na godzinę.

– Musisz to zrobić?  
– Tak, bo wychodzi im to tylko wtedy, kiedy jestem przy nich. Ale to nie trwa długo. O drugiej nad ranem mogę być już znowu u ciebie. Tatiana będzie rozpaczać, ale trudno. A teraz muszę już lecieć, o tej porze zaczynają schodzić się klienci. Przyślę ci tu zaraz ich obu. Na razie!

– Nie zjemy razem?  
– To niemożliwe. Jestem umówiona na kolację z przyjaciółmi. Potem, po krótkim namyśle:

– A właściwie, dlaczego nie miałbyć pójść z nami? Spotkajmy się o dziewiątej w „Escale“. Mam tylko jedną prośbę: nie zgrywaj się za

bardzo na starszego, czcigodnego pana.

5 - Emilienne

Na pożegnanie dała mi nieco już cieplejszego całusa, a w dwadzieścia minut

później w drzwiach zjawił się Jimmy.

Był to Amerykanin, blisko dwumetrowy dryblas, trochę mazgajo-waty. Na mocno

owłosionym ciele nosił prostą, kraciastą bluzę, a niżej skąpe slipy, pod którymi

nie odznaczało się nic imponującego. Miał wyraz twarzy przygłupa i już teraz kłopoty z siadaniem - co przy jego dwudziestu latach musiało budzić zdumienie. Jego nosowy angielski mieszał się z nielicznymi wyrazami francuskimi. Nie ukrywał, że przede wszystkim chciałby się dowiedzieć, czy osoba, której oddaje do dyspozycji swój pokój, jest adeptem jednego z dwóch wiadomych kultów. Okazałem się dyplomatą na tyle, by uspokoić go w tym względzie, on zaś, w przyływie zaufania - co spowodowały trzy szkockie - oświadczył w tym swoim żargonie, że żywi wobec panny Adilee uczucia tym czystsze, że jego silna skłonność do Gustawa wyzwala go z wszelkich „kompleksów“. Szczęśliwa jest ta prowansalska ziemia, gdzie w pełnej harmonii ze środowiskiem mogą rozkwiatać namiętności, które gdzie indziej skazane są na izolację. Najwidoczniej pod wpływem whisky wyraził swą aprobatę wobec mnie, po czym chwiejnym krokiem zaprowadził mnie na trzecie piętro domu z widokiem na morze. Tam zaopatrzył się na noc w jakiś mały neseser i dał mi nie tylko klucz do



pokoju, ale również klucz do barku z trunkami.

W tym samym stopniu zmęczony co osłupiały rzuciłem się na łóżko, nie doprowadziwszy do końca swych myśli. Około wpół do dziewiątej rozległo się pukanie do drzwi: był to Gustaw, który poprzedniego dnia zostawił tu swoją walizeczkę. Męskim głosem oznajmił, że „ekstraseksualiści“ - tak brzmiała ich nazwa - udają się do stołu.

Nie było innej rady; jeśli chciałem poznać świat, w jakim obracała się Adilee, musiałem przejść przez to wszystko.

I wreszcie ujrzałem ją: nadchodziła otoczona hałaśliwą zgrają estety i estetek w wieku od szesnastu do pięćdziesięciu pięciu lat. Mnie - jak się zdawało - nawet nie spostrzegli, tym większą uwagę zwracali na samych siebie, przy czym płęć nie wpływała tu na rodzaj okazywanych uczuć. Jakiś młodzian uniósł nóż, czyniąc gest, jakby chciał odciąć sąsiadowi „serdelka“, dziewczyna o imieniu Marie-Claire sięgnęła śmiało w przepastny dekolt partnerki, pocierając kciukiem i palcem wskazującym jej sutek. Chłopiec w baletowej spódnicy, opierając się łokciami o ramię dziewczyny w spodniach, opowiedział osobliwy i skandaliczny przypadek: ktoś z ich grona, kogo nie odważył się określić po imieniu popełnił stosunek a la Papa z osobą przeciwnej płci. Ogólne „eeee“ wyraziło potępienie dla owej pary. Potem poinformowano, że Jean-Claude zwyciężył wreszcie w

walce o zwieracz Jean-Paula. Potrójne „hura!“ Moja mdła reakcja zarówno na pierwszą wiadomość, jak i na drugą, zirytowała krótko ostrzyżoną dziewczynę, która - wskazując na mnie palcem -

syknęła do ucha długowłosego sąsiada: „hetero!“. W celu wyjaśnienia sytuacji wysłano do mnie jakiegoś starego, śmierdzącego Belga, który miał pocałować mnie w usta. Opór doprowadziłby bez wątpienia do zlinczowania mnie, krzyknąłem więc przez stół, że jako miłośnik lesbijek zasługuję na szczególne względy. Moja męka nie trwała zbyt długo, gdyż o jedenastej całe to wspaniałe towarzystwo z Adilee na czele rozeszło się parami i grupami, zostawiając mi rachunek do zapłacenia.

Zatopiony w ponurych myślach, przeszedłem się do portu. Z przykrością uświadomiłem sobie teraz, że Adilee - na swój sposób - stoczyła się przynajmniej tak nisko jak Emilienne. Cokolwiek jednak miało się zdarzyć, nie mogłem wrócić do Paryża nie wskórawszy niczego. Podróż odsłaniała mi cały rozmiar deprawacji Adilee, niestety jednak było to pośrednio moje dzieło. Ale czy wtedy, kiedy kojarzyłem je ze sobą, mogłem przewidzieć skutki? Naprawdę, w porównaniu z tą otchłanią, w jaką spadły teraz obie, każda z osobna, nawet nasz trójkąt, należący już do przeszłości, wydał mi się wyjściem idealnym. Co robić, skoro żadna z nich już mnie nie kocha. Czy Adilee przyjdzie do mnie dziś w nocy, a jeżeli tak, to jaka będzie? Wyobraziłem ją sobie taką, jaka była może w tej chwili: czczona niczym bogini dlatego tylko, że Jimmy zaznał rozkoszy - i zrobiło mi się niedobrze. Dawny „katalizator“ był naprawdę w fatalnym nastroju. Tak, zgadza się, przedtem ogarnęła mnie znowu przemożna żądza do ponętnego ciała Algierki. Dręczony wyrzutami sumienia chciałem jednak okiełznać własną lubieżność, aby móc osiągnąć cel podróży. Czytelnik miał już

okazję przekonać się o tym nie raz: mam słabą wolę i nie potrafię oprzeć się popędowi płciowemu, moja fantazja popycha mnie do czynów, których skutków nie umiem przewidzieć, nie jestem jednak człowiekiem złym. Niebiosa, które rzadko powołuję na świadka, wiedzą, że tego wieczoru, kiedy wróciłem do pokoju Jimmy'ego, traktowałem ponowne zdobycie Adilee nie tylko jako środek do osiągnięcia własnej przyjemności, co raczej jako sposób na powtórne podarowanie jej Emilienne. Kiedy dziś próbuję ocenić rzetelnie moje uczucia z owej pamiętnej nocy, dostrzegam, jak rozdzielają się one na niezdrowe pożądanie ciała owej przerażającej brunetki z jednej strony i suwerenną pogardę wobec jej cech ludzkich i moralnych. Byłem skłonny wziąć ją tak, jak prostytutkę, aby - co było złem koniecznym - rzucić ją potem mojej żonie w ramiona, nie zamierzałem jednak zawierać z nią na nowo paktu

miłosnego. Niestety, okazało się, że znam siebie samego bardzo źle, a ją jeszcze gorzej. Przyszła nieco wcześniej, niż obiecała, odziana pod letnim płaszczem jedynie w uroczą, różową koszulkę. Podobna teraz do dawnej Adilee, zdołała pokonać wszystkie moje postanowienia.

— Nareszcie - zawołała, przywierając do mych ust wargami, które smakowały bardziej, niż kiedykolwiek. - Nareszcie ty! Nareszcie my oboje! - Jej atak był tak szybki i gwałtowny, że nie zdążyłem nawet przemówić do jej sumienia. W jednej chwili ściągnęła ze mnie marynarkę, w następnej stanęła przede mną naga i raptem owiał mnie jej zapomniany już zapach. Jej piersi stały się bardziej bujne, pozostały

jednak twarde, jędrne i znowu zatopiłem wzrok w ich podniecających nadal, długich i ciemnych wierzchołkach. Brzęcząc naszyjnikami ze złotych krążków, które tak często wrzynały mi się w ciało, rzuciła się na mnie. Cóż mogę tu powiedzieć? W ciągu kilku zaledwie minut zdobyła mnie ponownie - bardziej władcza, niż dawniej. Nie ulegało wątpliwości, że w sztuce miłości poczyniła duże postępy. Świadczył o tym sposób, w jaki zabrała się do mnie: ledwie zdążyła się rozebrać, a jej zwinne, sprężyste ciało zatańczyło mi na brzuchu, jednym palcem, potem dwoma, a wreszcie trzema ułatwiła mi wtargnięcie w jej ciało, a po chwili już ujeżdżała mnie, z dłońmi splecionymi na karku i wzrokiem utkwionym w moich oczach. Nie myśląc o niczym, poddałem się temu ognistemu atakowi. W tym momencie, kiedy wiała się nade mną, przykucając i podrywając się znowu do góry, kiedy doprowadzała mnie do szczytowej ekstazy, którą daremnie usiłowałem odwlec jeszcze trochę, a potem kilkoma zmyślnymi chwytami sprawiała, że mój śpioch na nowo podnosił głowę, byłem gotów i tak obiecać jej o wiele więcej, niż obiecałem komukolwiek i kiedykolwiek przedtem.

— A teraz - szepnęła, pogrążając się sama w stanie błogiego upojenia - teraz nie dam ci już nigdy odejść.

Dopiero po godzinie całkowitego letargu mogliśmy rozpocząć normalną rozmowę. Pierwsze słowa Adilee były zapewnieniem, że nigdy nie przestała mnie kochać i od wielu miesięcy myślała tylko o takiej chwili, jaką teraz przeżyliśmy. Na drzwiach wszystkich domów, w których sypiała, zostawiała dla mnie aktualny adres, pod jakim

mogłem ją spotkać. Potem zaczęła mówić o Wandzie, która, według jej słów, nie była nigdy jej prawdziwą kochanką, a raczej współniczką i do tego złodziejką, gdyż w samym środku sezonu uciekła z całą kasą. Przez to ona, oficjalna szefowa sklepu, znalazła się w tarapatkach finansowych, z jakich w normalnych warunkach nie odważyłaby mi się zwierzyć i w tej sytuacji była zmuszona spędzić zimę w Lyonie u swej kuzynki.

– Kochana Tatiana! Co za szczęście, że natknęłam się na nią. Gdyby nie ona, pozostałaby mi już tylko prostytutka. Ale ona kochała mnie nadal, jako krewną i jako kobietę. Jak wiesz, jest ode mnie bogatsza i bardziej przedsiębiorcza, dlatego dopuściłam ją do spółki i do udziału w zyskach, kiedy przejęłam ten sklep. Niestety sklep jest z dala od centrum. Trudno, żebyśmy obie żyły z tego obrotu.

– Krótko mówiąc - przerwałam jej - gdybyś zostawiła jej samodzielne prowadzenie interesu, byłaby to dla niej pomoc?

– Nie jesteśmy jeszcze tak daleko. A poza tym są również dochody uboczne.

– Co to znaczy: dochody uboczne? Zmieszała się trochę.

– Posłuchaj, Claude... nie wiem, czy ci o tym powiedzieć... Może nie zrozumiesz tego tak jak należy, mimo twojej inteligencji. Przede wszystkim chciałabym zwrócić ci uwagę na jedno: kiedy nawiązałam te kontakty z Gustawem, nie wiedziałam, że ty się zjawisz. Przecież zniknąłeś całkowicie z mego życia. Nic nie zapowiadało twojego powrotu - chyba tylko moje małe serduszko.

– Ale kto to właściwie jest, ten Gustaw?

– Gustaw... eee... to znajomy z ostatniego lata. Poeta, który przyjeżdża czasem na wybrzeże, a w Paryżu przyjaźni się z nowoczesnymi literatami. Nie będę zawracać ci głowy jego wierszami, bo i tak byś ich nie zrozumiał. W każdym razie zjawił się na otwarcie sklepu, aby spotkać się ze mną. I wtedy upodobała go sobie Tatiana.

– Myślałem, że woli kobiety.

– Tak, na swój sposób, ale w rzeczywistości chodzi o inny gust, bardziej perwersyjny.

– Jaki? Powiedz! Naprawdę zaintrygowałaś mnie.

– Nie, nie mogę, wprawiasz mnie w zakłopotanie. Przecież to nie mój sekret.

– Przysięgam na twój tyłeczek, że nikt się o tym nie dowie. -

– No więc, ona lubi... Jak ci to powiedzieć?... Lubi przebywać z mężczyznami, którzy sypiają ze sobą.

– Wyjaśnij mi to jakoś!

-To dosyć skomplikowane. Żeby to zrozumieć, trzeba pozbyć się wszelkich przesądów. A więc, Tatiana kocha Gustawa, ale Gustaw kocha tylko młodych

mężczyzn, którzy nie zawsze zadowolają się jego ciałem. I wtedy do zabawy włącza

się jako trzecia osoba Tatiana.

Przypomniały mi się zwierzenia Jimmy'ego. Zaczynałem już wszystko rozumieć.

– A ty? - zapytałem spieszenie. - Dla jakiej pary jesteś tą

trzecią? Zarumieniła się. A policzki są, jak wiadomo, zwierciadłem płci.

– Nie rozumiesz. Jest w tym pewna delikatna różnica. Stosunek pomiędzy mną a Jimmym jest inny. Jimmy kocha mnie, a Gustaw, który z konieczności radzi sobie z Tatianą - z pewnej strony - nie ma na mnie chęci ani z tyłu ani z przodu. Wystarczy, że Jimmy patrzy na mnie, jak szyję albo robię coś innego, podczas gdy Gustaw go bierze. W innych warunkach Jimmy nie zgodziłby się na to i Gustaw wie o tym.

– Ho ho ho!

– No cóż! Tym biedakom trzeba jakoś pomagać!

– I Gustaw potrzebuje przy tym kobiety?

– Dopóki radzi sobie z Jimmym, jest mu to obojętne. Woli, kiedy jest przy nich Tatiana, bo ona pomaga im... troszkę. Ale Jimmy z kolei lubi, kiedy ja jestem przy nim, dlatego też zmieniamy się co jakiś czas. To zupełnie nie to samo. Ach, mówię ci, uśmiełbyś się, gdybyś mógł to zobaczyć na własne oczy: ja muszę przybierać unizone pozy: tak (tu złożyła ręce) i tak (uniosła wzrok ku górze), na wzór prerafaelickich madonn. Już kiedy po raz pierwszy ukląkł przede mną w samych slipach pomyślałam, że zanosí się na coś niezbyt przyzwoitego. Potem zobaczyłam Gustawa, wchodzącego ze swoim interesem w dłoni - i zrozumiałam wszystko. Zresztą to Tatiana puściła wszystko w ruch.

– A więc zdarza się, że zabawiacie się w czwórkę?

– Kilka razy doszło do tego, ale ja nie przepadam za tym. To trochę niesmaczne. A Jimmy uważa nawet, że to grzech.

– Ale co wspólnego z tymi świństwami mają dodatkowe

dochody, o jakich mówiłaś?

– Niczego nie rozumiałaś. Jimmy jest bardzo bogaty. Dlatego płaci Gustawowi, który nigdy nie ma nawet grosza, i daje prezenty Tatianie, która nie gardzi nimi.

– Tobie też?

– Oczywiście.

– Ile dolarów za jedno posiedzenie?

– Jakiś ty nietaktowny! Tu nie chodzi o gotówkę. Powiedziałam ci przecież, że on traktuje mnie jak swoją narzeczoną. Narzeczoną, która nigdy za niego nie wyjdzie, to jasne, ale on nie przestaje o tym mówić. Z jednym zastrzeżeniem: że stale będzie miał pod ręką jakiegoś chłopca. Tak więc daje mi bransolety i

pierścionki. Zobacz, jeden z nich mam w torebce, nie założyłam go, żebyś się nie zmartwił.

Pierścionek był istotnie bardzo duży. Przy okazji Adilee pokazała mi list od Jimmy'ego.

- Proszę, sam zobacz, że cię nie oszukuję. Zacząłem czytać. „Słodka Adilee,

właśnie dostałem list od mojej ciotki z Cleveland, która jest zachwycona naszymi zaręczynami. Gorące całusy, kochanie. Jutro, jak zwykle, będę czekać na ciebie o 10 wieczorem w moim mieszkaniu razem z droгим Gustawem, aby odbyć nasze francuskie, miłosne party. Niebo jest w twych oczach, a moje serce w twoich dłoniach. Jimmy.“

Wydrukowany nagłówek brzmiał: „Jimmy Shimmy. Farandola. The Village, Manhattan, N.Y.C.“ Oddając list Adilee odczułem nagle



potrzebę umycia sobie rąk.

– I to nie wprawia cię w zakłopotanie? - zapytałem.

– Dzięki temu radzę sobie finansowo, nie przestając być porządną kobietą.

– Porządną! - krzyknąłem i wstałem, aby założyć z powrotem koszulę. - Porządną! Uważasz się za porządną! I z taką kobietą kochałem się przed chwilą!

Zalała się łzami. - Ach, widzisz, wcale nie jesteś taki wielkoduszny jak

myślałam. To ty sprawiłeś, że jestem taka, a nie inna, a teraz pozwalasz sobie

na to, by mnie potępiać. Och, jaka jestem głupia, głupia i nieszczęśliwa!

Leżała płasko na brzuchu, twarz wtuliła w poduszkę, a jej drżące uda poruszyły

się konwulsyjnie tam i z powrotem.

Ta jej odrażająca zażyłość z dwoma mężczyznami nie mogła mi się podobać, a

korzyść finansowa, jaką z tego ciągnęła, przekraczała miarę. Ale jednocześnie

uświadomiłem sobie całą wagę mojej odpowiedzialności za ten stan rzeczy. Nagle

odkryłem w sobie pasję moralisty:

- Posłuchaj, Adilee, muszę z tobą poważnie porozmawiać. Nie wolno ci żyć ani.

dnia dłużej z głupoty tych pedałów. Muszę powiedzieć ci otwarcie, co o tym myślę: nie znajduję słów dla twojego zachowania. Znalazłaś się już w miejscu, gdzie przestaje się rozróżniać zło. Rzuciłem cię w ramiona Emilienne i teraz wiem, że uczyniłem źle. Rzuciłem ją w twoje ramiona - i też uczyniłem źle. Byłbym jednak łotrem, gdybym pozwolił ci na dalsze skubanie homoseksualistów, podczas gdy tamta zadaje się z poznanymi przypadkowo kobietami, aby móc zapomnieć o tobie. Uczynisz mi więc tę grzeczność

i porzucisz tamto urocze towarzystwo. Pójdziesz ze mną. Jestem teraz tu, ja, twój pan i władca, zabieram cię ze sobą, gotów - o ile zajdzie taka potrzeba - zadbać o całe twoje utrzymanie. Słyszając to, odwróciła się do mnie:

– Po tym poznaję cię znowu - powiedziała. - Poznaję mojego Claude'a. Jesteś piękny, jesteś wielki, jesteś jedyny! To prawda, że kiedy jestem bez ciebie, brak mi przewodnika, brak mi moralnej podpory! Bądź spokojny, kochanie, nie uczyniłam jeszcze nic naprawdę złego, ale przyznaję ci rację: zjawiłeś się w odpowiednim czasie. Jeżeli wyciągniesz mnie z tego rynsztoka, uczynię potem wszystko, co tylko zechcesz!

– Wrócisz na Allee des Brouillards?

– Och, wszystko, tylko nie to!

– Ale to właśnie jest konieczne! - krzyknąłem i uderzyłem pięścią w stół. - Emilienne też stoczyła się na samo dno, tak jak ty. Jedyny ratunek dla was obu, to pomóc sobie wzajemnie.

– Ale ona mnie nie przyjmie.

– To już pozostaw mnie. Ona tęskni za tobą. Chcesz wiedzieć, co o tym myślę? Ona czeka na ciebie. Jeżeli przyprowadzę cię do domu. wystarczy jedno twoje słowo, abyś znowu odnalazła łaskę w jej oczach. Wymażcie z pamięci ten nieszczęsny rok, zachowujcie się tak, jakby nic się nie wydarzyło: za jej zgodą staniesz się moją współżoną.

– Wolałabym być twoją jedyną żoną - odparła z ponurą miną.

– To moje ostatnie słowo. Musisz się zdecydować. Wkrótce wysyłam list do Emilienne.

– Proszę cię, daj mi trzy dni do namysłu. Pobyt w Sanary

Ponieważ odniosłem wrażenie, że sprawy przybierają pomyślny obrót, postanowiłem spędzić owe trzy dni w Cannes. Wysłałem do żony list, w którym opisałem wszystko dokładnie, a kiedy wróciłem do Saint-Tropez, moja kochanka postawiła mi dosyć ostre ultimatum:

- Decyzja należy do ciebie - powiedziała. - Spróbuję zrobić tak, jak chcesz i udać się za tobą. Tatiana zajmie się prowadzeniem sklepu do końca sezonu i zrobi wszystko, żeby zostać narzeczoną Jimmy'ego. Ale ja też przedstawię ci swoje warunki. Kiedy wrócę z tobą na Brouillards, będziesz traktował mnie na równi z Emilienne,

zostawisz mi do dyspozycji całe górne piętro i zadbasz o moje utrzymanie. Poza tym będę wychodzić i przychodzić wtedy, kiedy zechcę. Wysłałem telegram do Emilienne, która zadeszowała mi

następującą odpowiedź: „Przywieź Adilee. Zrób wszystko, czego zapragnie“.

Wyjechaliśmy z Saint-Tropez prawie natychmiast i bez pożegnania. Pod presją Adilee zgodziłem się jeszcze na skrócony miesiąc miodowy w Sanary. Przez ten czas, pomyślałem sobie, ujarzmię ją całkowicie.

Tymczasem okazało się, że to ona ujarzmiła mnie. W trakcie owego Wielkiego Tygodnia, jaki spędziliśmy w hotelu de la Tour - tuż przy wjeździe do kąpieliska, gdzie w cieniu Grand Cerveau baraszkowały beztriosko rozbawione dziewczyny - obsypała mnie, ocierając się i pomrukując rozkosznie, pieszczotami zakochanej kotki i jakimiś magicznymi sztuczkami, wzbudzającymi niezgłębione żądze cielesne. Z coraz większą wprawą i gorliwością przyzwyczajala mnie do uciech, o których mężczyźni nie zadający się z lesbijkami nie mają nawet pojęcia: pieszczot tak wyrafinowanych, że były w stanie podrażnić na swym beztrioskim szlaku najodleglejsze i najbardziej skryte nerwy; ssącego języka, zdolnego poruszać się z niezmordowaną ciepłiwością zadziwiająco opieszale, aby raptem wpaść w szal; wybryków, nie budzących - o dziwo! - najmniejszej niechęci u ofiary; nie kończących się podniet i tej cudownej umiejętności odwlekania owego fatalnego końca rozkoszy. Wolałem nie zastanawiać się, gdzie i od kogo nauczyła się tych wszystkich sztuczek, jakich nie znała nawet Emilienne. Jakaż to kobieta, albo który mężczyzna zapoznał ją z tymi godnymi podręcznika miłości przepisami, które ona stosowała ze skrupulatnością najlepszego rzemieślnika? Przede wszystkim polegały

one na fantazyjnej inspiracji masochistycznego sadyzmu i sadystycznego masochizmu z niezwykle zaskakującymi przejściami od niewolnicy

do władczyni.

Adilee miała osobliwe upodobanie do przejmowania funkcji martwych przedmiotów, na przykład stołu. Kuciała na czworakach i trwała tak w pokornym, niewygodnym bezruchu na stercie poduszek, wystawiając nagie plecy na chłód talerzy i szklanek albo na ciepło filizanek. Gdy siedziałem na taborecie uwielbiała czuć, jak jem na niej i piję, tak jakby nie była żywą istotą. Pozostawanie w absolutnym bezruchu sprawiało jej rozkosz, nawet gdy trącałem kolanami jej wiszące w tej pozycji piersi. Kiedy przesuwałem potem dłońmi po jej udach, czułem, że są dziwnie wilgotne. Tak samo udawała wieszak na ubrania, biurko, wazon na kwiaty, koszyk na owoce

lub czarę na maliny. W zamian za to musiałem potem - niczym koń - przewieźć ją do pokoju, znosząc w ustach jej zakrzywione kurczowo palce na wzór wędzidła, oraz ostre paznokcie zastępujące ostrogi. Uległość, z jaką reagowałem na jej okrzyki „wio!“, sprawiała, że z całkowitą swobodą dawała wreszcie upust swojej rozkoszy.

Pewnego dnia wpadła na jeszcze bardziej przerażający pomysł: zjawiła się z dwoma pejcjami. Stojąc z podniesioną głową, podała mi jeden z nich i powiedziała: - Poczekaj, aż się rozbiore! - Potem, kiedy była już naga, chwyciła drugi pejcz: - A teraz kolej na ciebie, ściągaj spodnie, precz z tą koszulą! - Nie czekając nawet, aż zdejmę z siebie resztę ubrania, smagnęła mnie z całej siły w plecy. Oddałem uderzenie.

Wywiązał się pewien rodzaj wyuzdanego pojedynku: na zmianę i z coraz większym zapalem zadawaliśmy sobie ciosy, aż wreszcie ona pierwsza padła na łóżko. Jej pośladki zadygotały, uda miały się przez chwilę. Potem, kiedy mogła już wstać, ujęła oba pejcze i zadała mi straszliwe uderzenie. - Równe prawa! - oświadczyła zdecydowanym tonem. - Cios za cios! Starając się wyzwolić w ten sposób z otchłani naszych podświadomości najbrutalniejsze skłonności prameżczyzny i prakobiety, oglądała w lustrze szafy, otwartej pod najbardziej sprzyjającym kątem, nasze najbardziej lubieżne i rozpustne wyczyny, od początku aż do końca. Wspólnie zajmowaliśmy się intymną higieną naszych ciał, poduszki wysłuchiwały słów, od których powinny się były zarumienić. Z naszych ust wydobywały się to szeptane żądania czegoś, co niemożliwe, to znów krzyki, głoszące coś, co nie nadaje się do wypowiedzenia. I ten ostatni zakątek piekła był według niej siódmym niebem. Jakby przekonana, że uczyniliśmy już ostatni decydujący krok ku związkowi doskonałemu, wpadła na jeszcze jeden finezyjny pomysł, który nie był wprawdzie niemoralny, ale mimo to niezwykle skuteczny. Chodziło o pozorowanie zmiany płci. Ona odgrywała rolę Claude'a, z wszystkimi niezbędnymi atrybutami mężczyzny, wykorzystując moje narządy, aby mnie posiadać, ja zaś byłem Adilee, z jej piersiami, włosami i oczywiście z owym schowkiem, w jakim musiałem ją przyjąć. - Claude - mówiłem - mój piękny Claude, jakiś ty silny! - Ona zaś wychwalała pod niebiosa moją gibką kobiecość, wykrzykiwała „Adilee!“ z taką czułością, że topniało mi serce.

Lubiła wychodzić ze mną, odziana w męskie spodnie; ja zaś

mogłem być zadowolony, że nie żądała ode mnie, bym ośmieszał się w jej spódnicach. - Możesz być pewien

- mawiała w chwilach, gdy w mniejszym lub większym stopniu wracał nam rozsądek - że jeszcze żadnej innej parze nie udało się zejść tak daleko, albo przynajmniej

nie ujawniła się z tym. Taka zamiana, której nie zrozumiałby nikt

przeciętny, wiąże ludzi z elity na całe życie. Gdyby nawet nie łączyła ich rozkosz, to przynajmniej ta tajemnica.

W trakcie naszych rozmów przy posiłkach - rozmów, których nieskrępowany bezwstyd skłaniał kelnerów do wskazywania nam stolików w najbardziej ustronnych kąciach

- Adilee przywiązywała dużą wagę do faktu, że wszystkie te pomysły powstały w jej głowie, przede wszystkim zaś starała się podkreślić ową względną wierność,

jaka nie pozwoliła jej nigdy na przekroczenie z mymi rywalami pewnych granic. -

Wiesz przecież doskonale, że za nic na świecie nie zgodziłabym się, aby

TU

dotknął mnie ktoś inny, niż mój Clau-de...

— A gdybyś wyszła za Jimmy'ego?

— Czy naprawdę muszę ci powtarzać, że to wszystko było czystą komedią? Najważniejsze, że dostaliśmy się do tego raj, w którym teraz jesteśmy. Każdą nieufność wobec jej zachowania

odbierała jako powątpiewanie w jej diabelską boskość. Aby zakończyć „to bezsensowne strzępienie języka“, zrodzone przez moją zazdrość, powiedziała wreszcie: - Dałby Bóg, żebyś nie zadawał się ze swoją Emilienne podczas mojej nieobecności.

Właściwie najrzadziej mówiliśmy o Emilienne. Moje relacje na temat lesbijskich przygód żony nie zdołały zbytnio zainteresować Adilee. Odparła tylko: - Biorąc pod uwagę, jaka była przedtem, musiała stać się niezłą dziwką! - Bardziej zaintrygowało ją spotkanie z Wandą, owym cudem, którego nie mogła się wręcz

nachwalić. Przede wszystkim absorbowały ją wydarzenia w Ouessant. -

Pogodziliście się za moimi plecami... Musieliście nieźle gruchać. - Na szczęście

nie wspomniała ani słowa o tym, co dręczyło mnie najbardziej: moim podpisie pod

listem pożegnalnym, była też zadowolona, że Emilienne nie wciągnęła mnie w swoje

kolejne miłostki. Oczywiście nie zwierzyłem się jej z mojego ataku na Syrenę,

choć wiedziałem, że nie miałyby do mnie pretensji o stosunek z kobietą odbyty

bez współdziałania mojej żony. - Wiem niestety aż zbyt dobrze, jacy są mężczyźni,

a poza tym nie robiliśmy wtedy tego, co dziś. - Jeżeli można jej było uwierzyć,



to uważała, że ma do spełnienia szczytną misję wobec mnie.  
Cokolwiek uczyniłbym

bez niej, odbyłoby się to ze szkodą dla naszego programu  
wspólnych czynów

anielskich, uzupełnionych o święstwa.

W tym stylu mówiła jeszcze długo po wyjściu z lokalu.

- A teraz - oświadczyła 16 kwietnia na dworcu w Bandol,  
wsiadając za mną do

nocnego pociągu - koniec z całą wspaniałością, przynajmniej na  
razie. Kiedy

pomyśle, że będę musiała znowu żyć z tą kobietą, kto wie, jak  
długo!...

Powrót Adilee

Rozmyślenia, jakim oddawałem się w pociągu wiozącym mnie  
w wigilię Wielkanocy ku rzeczywistości, podczas gdy Adilee drzemała  
na moim ramieniu, nie były wcale miłe. W Lyonie, gdzie moja  
towarzyszka przypominała mi o nieśmiałych początkach tak  
doskonałego dziś związku, ogarnęła mnie panika. Powtarzane przez nią  
warunki, pod jakimi zgadzała się wrócić, sprawiły, że włosy zaczęły  
stawać mi dęba. Nie ulegało wątpliwości: ośmielona władzą, jaką  
zyskała nade mną, Adilee szykowała się już otwarcie do zagarnięcia dla  
siebie wszelkich przywilejów żony. Wystarczyło spojrzeć na  
zmarszczone brwi - gdyż taką właśnie miną skwitowała mój opór  
wyrażony milczeniem. - Ależ tak, to ty będziesz prawdziwą panią -  
musałem powiedzieć, nie chcąc dopuścić, by wysiadła w Dijon. - Ty

będiesz moją prawdziwą żoną. - Kiedy wreszcie dojechaliśmy na miejsce i wyszliśmy z dworca na ulicę, zacząłem drżeć tak gwałtownie, że o mały włos nie upuściłem walizki. Nie powiadomiłem Emilienne o terminie naszego przyjazdu, okazało się jednak, że trzyma wartę na progu naszego domu na Brouillards.

Zaledwie taksówka zatrzymała się przed furtką, moja żona rzuciła się pędem przez ogród i szarpnęła za klamkę - przy czym wysiłek, z jakim tłumiała swe emocje był równie widoczny jak ten, z jakim Adilee ukrywała swój chłód.

Ze źle tłumioną porywczoscią Emilienne pocałowała ją, mówiąc jedynie: - Proszę cię, ani słowa o tym, co było. Skoro wróciłaś puszczam wszystko w niepamięć. Sama wniosła do domu jej torbę i zaprowadziła nas do Błękitnego Pokoju, który podczas mojej nieobecności urządziła zupełnie na nowo. Wszędzie stały kwiaty, a łóżko obsypane było płatkami róży. Pośpiesznie odrzuciła kołdrę. - Połóż się, jesteś chyba zmęczona.

Nieco zakłopotany, postanowiłem wyjść z pokoju, nie uczyniłem jednak jeszcze pięciu kroków, kiedy zatrzymał mnie okrzyk z ust obydwu. Odważyłem się spojrzeć za siebie i wtedy moim oczom ukazał się oszałamiający widok. Emilienne, która umyślnie ubrała się bardzo lekko, była już zupełnie naga i drżącymi rękami zrywała z Adilee bluzkę i spódnicę. Kiedy obnażyła już jej piersi, rzuciła się na nie z jakimś dzikim okrzykiem i pokryła je gorącymi pocałunkami, jakby chciała zawładnąć całym ciałem naraz. Od piersi powędrowała ustami ku wargom, które wchłonęła łąpczywie, potem do karku, gdzie

zaczęła ssać i lizać, aż wreszcie jej rozdygotany z żądz język począł sunąć po plecach w dół, nie wahając się nadkładać drogi tam,

gdzie było to tylko możliwe. Pies myśliwski, wypuszczony na zwierzynę po tygodniowym poście, może dać zaledwie słabe wyobrażenie o łakomstwie, z jakim moja żona rzuciła się na pleć, której była pozbawiona przez osiem miesięcy. W obląkańczym chaosie mieszały się jasne ciało i ciemne, okrzyki rozkoszy i łyzy radości.

Nie mogłem się już dłużej opanować; w mgnieniu oka zrzuciłem z siebie ubranie, i nim upłynęły trzy minuty, trio powróciło w cudowny sposób do dawnego stanu. Zostaliśmy w łóżku aż do pierwszej. Emilienne przygotowała wyśmienity posiłek, z burgundem i szampanem, dzięki czemu Adilee odzyskała dobry humor. Po kawie obie wróciły do łóżka, ale same. W końcu trzeba było dać im możliwość swobodnej rozmowy, prawda?... A jednak nie mogłem odżalować tych ich samotnych chwil, jakie znowu zaczęły spędzać każdego wieczoru, nie pozwalając mi być świadkiem ani tego, co robiły, ani tego, co mówiły. Poza tym musiałem odrobić zaległości w interesach. Ponieważ zobowiązałem się zapewnić Adilee bezpłatne mieszkanie, jak również zadbać o jej utrzymanie, musiałem tym bardziej pracować sumiennie w biurze i w galerii.

Początkowo wszystko szło jak z płatka, zacząłem nawet śmiać się z przedwczesnych obaw. Upłynęły dwa tygodnie, one zaś nadal leżały splecione w miłosnym uścisku, kiedy wychodziłem po obiedzie, w takiej samej zgodzie widywałem je po powrocie. W nocy trio powracało do swych dawnych nawyków, jakkolwiek bez zbędnych

słów, nie udało się bowiem przywrócić owej romantyki. Zmiana dotyczyła postawy obu kobiet: Adilee stawiała się coraz bardziej władcza. Emilienne pokorniała z każdym dniem, co wyrażało się w jej uległym oddaniu się zajęciom domowym - przy czym moja żona kierowała się nie tylko obawą, że jej kochanka zniknie na nowo, co raczej skutkami kolejnego grzechu, jaki zagnieździł się między nimi bez mojej wiedzy.

Wspomniałem już, że po nocy spędzonej w Wandą Emilienne była zdumiona między innymi dlatego, że owa ekstrawagancka Słowianka zażyczyła sobie chłosty. Nie przypuszczałem jednak, iż ona sama poprosi kiedyś o to samo inną kobietę, a w ogóle nie przyszłoby mi do głowy - cokolwiek wydarzyło się w Sanary - że Adilee mogłaby pomyśleć o wykorzystaniu tego sposobu w celu zdobycia władzy. Któregoś wieczoru jednak, kiedy Algierka, padając ze zmęczenia, odeszła do swego pokoju, zauważyłem, że moja żona, która zazwyczaj nie wiedziała, co to wstyd, założyła grubą nocną koszulę, zważa też usilnie, by nie odsłaniać ciała. Następnego ranka, widząc, że nadal zachowuje te same środki ostrożności, zaskoczyłem ją pod natryskiem i wtedy dostrzegłem na jej pośladkach kilka równoległych,

czerwonych pręg, z których kilka kończyło się nawet czymś w rodzaju pęknięcia skóry. Emilienne, czując że stoję za nią, odwróciła się: wybiegła rozwścieczona z łazienki. Nie odezwałem się nawet słowem i ograniczyłem do tego, że przez kilka następnych dni obserwowałem ciąg dalszy tego osobliwego zjawiska. Już po trzech dniach tamte pręgi zniknęły, ale za to pojawiły się nowe, jeszcze

bardziej wyraziste i ciągnące się aż do kręgosłupa.

– Co ci się stało? - zapytałem wreszcie.

– Nie mam pojęcia - odparła z rumieńcem na twarzy. - Mam tę wysypkę od czasu, kiedy jedliśmy ostatnio małże.

– Ciekawe... muszę to obejrzeć - powiedziałem i nachyliłem się nad nią.

– Coś ty! Daj mi spokój!

– Moja droga, powinnaś iść do lekarza.

– Z powodu takiego drobiazgu nie będę przecież wyrzucała pieniędzy w błoto. To zniknie samo, tak jak się pojawiło.

I rzeczywiście zniknęło. Upłynęło znowu kilka dni, w ciągu których nie

zauważyłem nic podejrzanego. Następny tydzień przyniósł nową zabawę w chowanego,

nowe przesłuchanie, nowe kłamstwa, wykręty o małżach.

Trzeba było wreszcie

położyć temu kres. Aby upewnić się całkowicie, udałem któregoś popołudnia, że

wychodzę, potem wróciłem po kryjomu i stanąłem na czatach w pomieszczeniu

przylegającym do Błękitnego Pokoju. I w ten sposób - nie widząc niczego - mogłem

podслуchać niezwykle rozmowę.

Najpierw zaczęły gruchać. Niczym wilk, który zaskoczył nad potokiem jagnię,

Algierka odezwała się raptem, cedząc poszczególne słowa:

– Aleś się dziś afiszowała tym, że jesteś żoną Claude’a!

– Tylko ty masz prawo to ocenić - odparła Emilienne płaczącym głosem.

– Zapłacisz teraz za to!

– Pozwalam sobie przypomnieć ci - mówiła moja żona tym samym tonem - że dostałam już więcej niż tysiąc uderzeń.

– Czy tysiąc, czy więcej, to zależy tylko ode mnie. Za to, co zrobiłaś w Ouessant, zasłużyłaś na dziesięć tysięcy uderzeń. A poza tym zauważyłam dziś przy obiedzie, że talerze nie były wytarte jak należy. A więc nadstaw tyłek! Po krótkiej przerwie usłyszałem świst przecinającej powietrze różgi.

– Błagam cię, dziś nie bij mnie tak mocno - szepnęła Emilienne. - Mój mąż zaczął coś podejrzewać.

– Twój mąż!

czerwonych pręg, z których kilka kończyło się nawet czymś w rodzaju - I ju pęknięcia skóry. Emilienne, czując że stoję za nią, odwróciła się i I wybiegła rozwścieczona z łazienki. Nie odezwałem się nawet słowem i ograniczyłem do tego, że przez kilka następnych dni obserwowałem | ciąg dalszy tego osobliwego zjawiska. Już po trzech dniach tamte I pręgi zniknęły, ale za to pojawiły się nowe, jeszcze bardziej wyrazi - i ste i ciągnące się aż do kręgosłupa.

– Co ci się stało? - zapytałem wreszcie.

– Nie mam pojęcia - odparła z rumieńcem na twarzy. - Mam i tę wysypkę od czasu, kiedy jedliśmy ostatnio małże.

– Ciekawe... muszę to obejrzyć - powiedziałem i nachyliłem się] nad nią.

– Coś ty! Daj mi spokój!

– Moja droga, powinnaś iść do lekarza.

-Z powodu takiego drobiazgu nie będę przecież wyrzucała pie -  
1   niędzy   w  
błoto. To zniknie samo, tak jak się pojawiło.

I rzeczywiście zniknęło. Upłynęło znowu kilka dni, w ciągu któ -  
- I rych nie zauważyłem nic podejrzanego. Następny tydzień przyniósł I  
nową zabawę w chowanego, nowe przesłuchanie, nowe kłamstwa, wykrety o małżach. Trzeba było wreszcie położyć temu kres. Aby upewnić się całkowicie, udałem któregoś popołudnia, że wychodzę, j  
potem wróciłem po kryjomu i stanąłem na czatach w pomieszczeniu przylegającym do Błękitnego Pokoju. I w ten sposób - nie widząc niczego - mogłem podsłuchać niezwykle rozmowę.

Najpierw zaczęły gruchać. Niczym wilk, który zaskoczył nad potokiem jagnię, Algierka odezwała się raptem, cedząc poszczególne; słowa:

– Aleś się dziś afiszowała tym, że jesteś żoną Claude'a!

– Tylko ty masz prawo to ocenić - odparła Emilienne płaczącym głosem.

– Zapłacisz teraz za to!

– Pozwalam sobie przypomnieć ci - mówiła moja żona tym samym tonem - że dostałam już więcej niż tysiąc uderzeń.

– Czy tysiąc, czy więcej, to zależy tylko ode mnie. Za to, co

zrobiłaś w Ouessant, zasłużyłaś na dziesięć tysięcy uderzeń. A poza tym zauważyłam dziś przy obiedzie, że talerze nie były wytarte jak należy. A więc nadstaw tyłek! Po krótkiej przerwie usłyszałem świst przecinającej powietrze różgi.

– Błagam cię, dziś nie bij mnie tak mocno - szepnęła Emilienne. - Mój mąż zaczął coś podejrzewać.

– Twój mąż!

– Zapewniam cię, że wkrótce domyśli się wszystkiego.

– Jeżeli ma coś przeciwko temu, przyślij go do mnie. Na czwo-aki, pośpiesz się!

– Dobrze zrobiłam, że dałam ci wolną rękę, kiedy miałaś na to heć po raz pierwszy.

– Za to, co powiedziałaś, dostaniesz dwa uderzenia więcej. Ściągaj koszulę! Po chwili doszedł mnie odgłos pierwszego ciosu.

– Wyżej zad - poleciła Adilee.

Uderzenia rozbrzmiewały najpierw w regularnych odstępach:zasi, potem coraz szybciej. Emilienne kwiliła żałośnie, wreszcie izyknęła. Adilee przerwała na moment bicie.

– Dalej, nie przejmuj się tym - odezwała się ofiara. Kat przyftąpił ponownie do swej czynności; uderzenia przybrały na sile. ilmienne zawyła.

– Masz dosyć? - zapytała Adilee.

– Nie, jeszcze, bij mocniej!

– Chcesz mocniej? A więc uważaj, nadchodzi punkt kulminacyj - O Boże!



- Teraz rozsuń uda, żebyś mogła cię wychłostać po tym co naj-  
ielikatniejsze.

- Już nie mogę.

- Popatrz, popatrz! To za Ouessant.

- Nie, teraz sprawiasz mi ból, przestań!

Minęło dziesięć minut, a potem znowu usłyszałem głos Adilee:

- No jak, niewolnico, czy jesteś mi wdzięczna?

- Dzięki, o pani - wyszeptała tamta.

- Chciałabym się teraz dowiedzieć, która z nas jest żoną Clau-  
de'a.

- Ty, oczywiście.

- A więc pamiętaj o tym. Możesz się ubrać.

Jeszcze rok temu zainterweniowałem w tych okolicznościach.  
Może uratowałem sytuację, gdybym wtargnął do pokoju, wyrwał  
pejcz z rąk Adilee i użył go przeciw niej samej. Nie uczyniłem jednak  
tego: po prostu od razu po wyjściu mej żony zamknąłem się z Algierką  
w Błękitnym Pokoju:

- Posłuchaj, zauważyłem na plecach Emilienne jakieś dziwne  
blizny.

- Czy to moja wina - odparła Adilee tonem niemal obojętnym  
- że koniecznie chce, abym ją chłostała?

- Zapewniam cię, że wkrótce domyśli się wszystkiego.

- Jeżeli ma coś przeciwko temu, przyślij go do mnie. Na  
czworaki, pośpiesz się!

- Dobrze zrobiłam, że dałam ci wolną rękę, kiedy miałaś na to

chęć po raz pierwszy.

– Za to, co powiedziałaś, dostaniesz dwa uderzenia więcej.

Ściągaj koszulę! Po chwili doszedł mnie odgłos pierwszego ciosu.

– Wyżej zad - poleciła Adilee.

Uderzenia rozbrzmiewały najpierw w regularnych odstępach czasu, potem coraz szybciej. Emilienne kwiliła żałośnie, wreszcie krzyknęła. Adilee przerwała na moment bicie.

- Dalej, nie przejmuj się tym - odezwała się ofiara. Kat przystąpił ponownie do

swej czynności; uderzenia przybrały na sile. Emilienne zawyła.

– Masz dosyć? - zapytała Adilee.

– Nie, jeszcze, bij mocniej!

– Chcesz mocniej? A więc uważaj, nadchodzi punkt kulminacyjny!

– O Boże!

– Teraz rozsuń uda, żebym mogła cię wychłostać po tym co najdelikatniejsze.

– Już nie mogę.

– Popatrz, popatrz! To za Ouessant.

– Nie, teraz sprawiasz mi ból, przestań!

Minęło dziesięć minut, a potem znowu usłyszałem głos Adilee:

– No jak, niewolnico, czy jesteś mi wdzięczna?

– Dzięki, o pani - wyszeptała tamta.

– Chciałabym się teraz dowiedzieć, która z nas jest żoną Claude'a.

- Ty, oczywiście.
- A więc pamiętaj o tym. Możesz się ubrać.

Jeszcze rok temu zainterweniowałbym w tych okolicznościach. Może uratowałbym sytuację, gdybym wtargnął do pokoju, wyrwał pejcz z rąk Adilee i użył go przeciw niej samej. Nie uczyniłem jednak tego: po prostu od razu po wyjściu mej żony zamknąłem się z Algierką w Błękitnym Pokoju:

– Posłuchaj, zauważyłem na plecach Emilienne jakieś dziwne blizny.

– Czy to moja wina - odparła Adilee tonem niemal obojętnym - że koniecznie chce, abym ją chłostała?

– A może prawda jest taka, że to ty chcesz ją koniecznie wychłostać?

– No, powiedzmy, że chcemy tego obie.

– Ale ja, moja droga, nie mogę na to pozwolić.

– A w Sanary nie krępowałeś się, kiedy robiliśmy to samo!

– To wcale nie to samo. Takie sprawy muszą pozostać tylko między nami. A poza tym u nas polegało to na wzajemności.

– Dałeś mi nad nią władzę, czy nie tak? Cóż to, nie wolno mi robić z nią tego, co z Wandą?

– Z Wandą?

– Tak, tak, dobrze zrozumiałeś!

– A więc to Wanda wykształciła w tobie te skłonności?

– Powiedzmy, raczej: uświadomiła mi, że drzemiam we mnie.

– A potem... może Jimmy...

– Och! On był w tak znacznym stopniu kobietą! W odpowiedzi wymierzyłem jej policzek.

– Adilee, mam już tego dość, słyszysz? Oddaj mi pejcz.

– Żebyś użył go przeciw mnie? Pięknie dziękuję!

– Użyję go wtedy, gdy będę miał na to ochotę.

Zaczęła szukać go za książkami na półce. Kiedy podała mi go, powyrywałem rzemienie, jeden po drugim, po czym złamałem rączkę.

- Chyba zrozumieliśmy się dobrze, co? Cześć! - powiedziałem i wyszedłem, nie dotykając jej nawet palcem.

Potem zacząłem przesłuchiwać Emiliene. Kiedy powtórzyłem jej to wszystko, co zeznała mi Adilee, powiedziała tylko:

– No i co? Skoro tej małej sprawia to przyjemność...

– Gdybym mógł się temu przyjrzeć...

– Nie, nie, to wykluczone.

– Wiesz, że nie przyglądałbym się temu z przyjemnością.“ Ale powiedz mi chociaż, jak do tego doszło?

W ten sposób wydarłem z niej prawie tę spowiedź.

– Było to tego dnia, kiedy wróciła Adilee. Ledwie wyszedłeś z domu, wepchnęła mnie do pokoju i powiedziała: „Mamy chyba pewien rachunek do wyrównania. Wiesz, za czym przepadała Wanda? No więc, ty też musisz to polubić. Oto sto franków. Weź je i kup mi pejcz!“ „Ale gdzie?“, wyjąkałam. „Jak to gdzie, u rymarza!“ . Zarzuciłam chustkę na głowę i poszłam do rymarza. Cała czerwona na twarzy poprosiłam o pejcz dla niesfornego psa. „Bardzo proszę, ma-dame“, powiedział,

uśmiechając się porozumiewawczo. „Niech pani dotknie, jaka skóra! Czy mam zapakować?“ „O, tak“, odparłam. Wróciłam do domu i podałam pejcz Adilee. „Nie tak!“, krzyknęła na mnie. „Masz trzymać go w zębach! Na kolana!“ A potem, kiedy za-darła mi do góry spódnice i uwięziła głowę między swymi udami, dodała:

– Za ten list, jaki wysłałaś do mnie z Ouessant, dostaniesz tysiąc uderzeń. W porządku?

– Nie wiem - odparłam - czy będę mogła to znieść.

– Nie bój się, rozdzielę to na tyle dni, na ile będzie trzeba.

– Ale ja nie jestem pewna, czy to mi przypadnie do gustu.

– Przekonasz się, że tak. - I zaczęła. Istotnie, z jej ręki nie było to nawet takie złe.“

– Emilienne - powiedziałem stanowczo. - Nie chcę, żeby to dłużej trwało. Doprowadzisz się do obłądu. Adilee obiecała mi, że nigdy już nie będzie ci tego robić. Ty też przyrzeknij mi, że nie poprosisz jej o to.

– Jeżeli obiecasz mi, że zabronisz jej takiego postępowania, ja obiecuję ze swej strony, że nie zezwolę na takie traktowanie.

Czcze obietnice! Minęło osiem dni, w ciągu których obie kłóciły się tak zażarcie, jak gdyby pejcz był warunkiem nieodzownym dla ich harmonijnego współżycia. O dziwo jednak! Po spacerze, na jaki wybrały się do Saint-Ouen, zapanował znowu spokój. Przeszukałem półkę za książkami. Nic, co mogłoby mnie zaniepokoić. Ale w szafie Adilee znalazłem wkrótce pod stertą bielizny dwa piękne pejczy z XVIII wieku, z bawełnianymi paskami i rzeźbionymi rączkami z

fajansu. W jakim warsztacie namalowano te pasterki chłuszczące markiza bez spodni zdobiące jeden z pejczy oraz widoczną na drugim pejczu markizę, która chłostała równie obnażonego pasterza? Sznury, jakie mogły bić po plecach piękne damy Bouchera czy Fragonar-da, były lekko przyczernione. Bardziej prawdopodobne było to, że moje kobiety odnowią je, niż że ja połamię znowu tak artystycznie wykonane rączki.

Poza tym uświadomiłem sobie, że nic już na to nie mogę poradzić i że zaznam trochę spokoju tylko wtedy, gdy przymknę na wszystko oczy. Najgorsza ze wszystkiego nie była jednak nasza nowa perwersja, która mogła doprowadzić do tego, że stracę je obie, o ile nie stanę się najsurowszym katem z całej trójki; niepokoiło mnie raczej wyrachowanie, dopingujące chyba Adilee bardziej, niż nałóg. Czy nie dostrzegła tu ona sposobu na zdobycie władzy nad moją żoną, a tym samym na osiągnięcie innych celów? Fakt pozostawał faktem: wystarczył miesiąc takiego traktowania przez Adilee, aby Emilienne stała się już tylko igraszką w jej rękach. Lubieżne wychłostanie brunetki byłoby ostatnią deską ratunku dla blondynki - gdyby chciała zachować resztki autorytetu.: - Emilienne

Rysy w spoiwie

Nowe wydarzenie podsyciło jeszcze bardziej mą nieufność. W piątek, 13 maja, zastałem w domu na Brouillards ku memu niezmię - J rmemu zaskoczeniu olbrzymiego pudła, którego - jak obie zgodnie stwierdziły - znalazły i który nosił nowiućką obrozę. Pies, ochrz - > czony paradoksalnym imieniem Minet, zwrócił na siebie moją uwagę j

w momencie, kiedy z grzbietem wygiętym w kabłąk zaczął ocierać się przymilnie o moje nogi. Moje zainteresowanie nim nie zmalało ani trochę, a w kilka tygodni po zjawieniu się w domu tego zwierza - rozpieszczonego i przystrajanego jak małe dziecko - w trakcie jednego ze zwiadów, do jakich czułem się upoważniony od czasu owej sprawy z pejcami, podsłuchałem dziwne słowa z ust Adilee, skierowane do mojej żony:

- Jeśli nie będziesz mi posłuszna, rzucę cię na pastwę psu, i tyle.

Wszcząłem

natychmiast drobiazgowe śledztwo na temat Mineta,

zaryzykowałem kilka pytań u jednej jak i u drugiej, a ich wykrętne, sprzeczne nieraz ze sobą odpowiedzi pozwoliły mi na odtworzenie pochodzenia psa. Nie został znaleziony; w rzeczywistości Adilee do - I stała go od madame Safo, ta zaś odkupiła go od właścicielki pewnego ośrodka tresury. Adilee nie wiedziała zapewne, że podsłuchałem jej groźbę „rzucę cię na pastwę psu“, nie podejrzewając więc żadnego podstępu z mojej strony, pozwoliła podczas jednego z naszych tajnych spotkań w hotelu Saint-Sulpice, abym skierował rozmowę na temat zwierząt. Ośmielona moimi słowami, opowiedziała mi historię jej znajomej, kobiety czterdziestoletniej, która chcąc wypełnić przerwy między płomiennymi wizytami dwóch młodzieńców, utrzymywała stosunki seksualne z psem. Pies był prawdopodobnie specjalnie wytresowany i niedawno zdechł - nie na jakąś chorobę, lecz z wyczerpania.

- Powiedz mi - poprosiłem, krzyżując ręce na piersi i patrząc jej

prosto w oczy

- czy tamten pies nie jest przypadkiem jakimś kuzynem tego, którego kupiłaś dla Emilienne?

Zamarła w bezruchu.

– Chyba oszalałeś! Co ci przyszło do głowy? Minet to dobry, niewinny, mały piesek, Minet to...

– ... to pies, którego język wydaje mi się szczególnie długi, nie mówiąc już o innych jego organach.

– Daję słowo, powinni cię zamknąć.

– W takim razie dlaczego powiedziałaś niedawno do Emilienne: „Jeśli nie będziesz mi posłuszna, rzucę cię na pastwę psu“?

– Powiedziała ci o tym?

– Nie, sam to słyszałem.

– A więc podsłuchujesz nas?

– Nie zmieniaj tematu. Chciałbym tylko wiedzieć, co miałaś na myśli, mówiąc do Emilienne: „rzucę cię na pastwę psu“?

– Co miałam na myśli... co miałam na myśli... Skąd mogę to teraz wiedzieć? Może po prostu to, że mogłabym ją rzucić...

To bezsensowne paplanie stanowiło dla mnie aż nadto wyraźny dowód. Emilienne, wzięta w krzyżowy ogień pytań, przyznała że Adilee miała istotnie zamiar wypróbować tak „dla zabawy“ umiejętności Mineta. O groźbie, jaką podsłuchałem, nie powiedziała ani słowa, byłem jednak przekonany, że przynajmniej do tej pory udało jej się ująć przed tym najgorszym. Nie omieszkała przy tym poinformować



mnie, że jest „własnością“ Adilee i musi podporządkowywać się jej poleceniom, niezależnie od ich charakteru.

- Tylko ty - zakończyła z miną wyrażającą pełne rezygnacji przerażenie -

mógłbyś stanąć między mną i nią... ale niestety już od tygodni jesteś jako

mężczyzna prawie niedostrzegalny!

Rzeczywiście zaniedbałem ostatnio swą funkcję w trio. Wołałem zachować siły, których granice zacząłem uświadamiać sobie coraz częściej, na chwile spędzane w miłosnym uniesieniu z Adilee, spragnionej tego samego co ja. Ale mimo wszystko nie zamierzałem tolerować pod moim dachem obecności czworonożnego rywala. Nie bardzo wierzyłem, by Adilee chciała zmusić mą żonę do tak groteskowego i obrzydliwego stosunku w celu ostatecznego pogrążenia jej w mych oczach, wołałem jednak - znając ją - zachować ostrożność. Wykorzystałem pierwszą okazję, kiedy znalazłem się w domu sam, schwyciłem Mineta i zaniósłem go do weterynarza, który bezzwłocznie wykastrował psa. I tak właśnie zastały go moje panie wieczorem, po przyjeździe do domu - okaleczonego, owiniętego bandażem. Ich początkowe okrzyki przerażenia przekształciły się w przeciągłe wycie, kiedy zorientowały się, o jakie to okaleczenie chodzi.

- Co się takiego stało? - zapytałem. - Wy obie nic na tym nie tracicie.

Chyba jego członek nie jest wam potrzebny.

Kiedy te wielkie emocje opadły, wygasło też ich

zainteresowanie biednym psem, który zresztą wkrótce zakończył żywot. Już otwarcie oskarżony przez obie o morderstwo dokonane na Minecie, pocieszałem się świadomością, że zostałem należycie zrozumiany. Na miejscu Mineta nie pojawił się żaden nowy pies. Dla taktyki Adilee nie mniej przydatne okazało się jednak samo wspomnienie o nieszczęśniku. W hotelu Saint-Sulpice mówiła każdorazowo tylko o łzach, jakie dniem i nocą przelewała Emilienne, wdowa po Minecie.

- Uwierz mi, wcale bym się nie dziwiła, gdyby okazało się, żywiła do niego skryte uczucie.

Zrozumiałem, że zniknięcie owego zmyślnego psa i fiasko jej - jak dotąd - najnikczemniejszego zamiaru nie zniechęciły Algierk do marzenia o usunięciu ze swej drogi Emilienne. Przez pewien czas panował nawet spokój, ale coraz częściej spotykałem się z dosyć niepokojącymi objawami. Pewnego wieczoru, kiedy siedziałem w moim gabinecie, gdzie wcale nie byłem tak bardzo odizolowany, jak to one sądziły, usłyszałem słowa Adilee:

- Jeśli nie oddasz mi go dobrowolnie, wezmę go sobie sama. Podobne wypowiedzi otarły mi się o uszy jeszcze dwa albo i trzy

razy. I wreszcie w dzień Wniebowstąpienia rozegrała się godna zacytowania scena; śpieszę więc ją opisać.

Po obiedzie, kiedy Adilee podała szampana, Emilienne oświadczyła z uroczystą miną, że ma mi do przekazania pewną wiadomość: otóż obie zawarły umowę, w myśl której zamieniają się od

piątku swymi rolami jako kochanka i żona. W pierwszej chwili uznałem to za żart, zachowując więc ów lekki ton zapytałem, czy rzeczywiście obie tego pragną.

– Oczywiście - odparły zgodnym chórem.

– A zresztą - dodała moja żona - na tym etapie, na jakim my się już znajdujemy...

Wspaniałomyślnym gestem zdjęła swoją obrączkę i nałożyła ją Adilee na palec serdeczny lewej dłoni. Byłem zbyt podejrzliwy, by nie przejrzeć głębokiego sensu tej komedii.

- Hola! - zawołałem. - Tu jest jeszcze ktoś, kogo nie zapytano w ogóle o

zdanie! - Nie uśmiechała mi się wcale rola mężczyzny, którego dwie kobiety

wymieniają między sobą tak, jak zazwyczaj czynią to raczej mężczyźni z jedną kobietą.

– Niepotrzebnie się unosisz - odparła Adilee ostrym tonem. - Czy prosiłyśmy cię, żebyś poszedł do adwokata? To sprawa wyłącznie pomiędzy tobą i nami.

– Jestem niepokieszony, ale nie wyrażam na to zgody. Bardzo cię proszę, żebyś włożyła obrączkę z powrotem na palec Emilienne.

Adilee ograniczyła się jednak do tego, by cisnąć obrączkę w kąt, po czym

wściekła wybiegła do swojego pokoju. Udałem się za nią, przyjęła mnie jednak

bardzo niezyczliwie.

,’-:- A więc - powiedziała cicho, głosem drżącym ze zdenerwowania - wtedy,

kiedy udało mi się wreszcie ją podejść, ty z kolei stajesz mi na drodze. Czy nie

widzisz, głupcze, że chodzi mi tylko o nasze szczęście?

– Może widzę to aż za dobrze.

– I co? Czy nie uzgodniliśmy tego w Sanary?

– Jestem zdecydowany nadal podejmować decyzje co do mojego postępowania i zamierzam pozostać mężem tej kobiety, którą sam sobie wybiorę.

– To niezupełnie to samo, co kiedyś mówiłeś.

– Jak zapewne wiesz, chyba nawet lepiej niż inne kobiety, są rzeczy, jakie wygaduje się w łóżku, a potem...- A potem przestają być aktualne, czy tak? Wyprostowała się, wsparła pod boki.

– A więc kiedy mówiłeś mi, że jestem twoją prawdziwą żoną i że któregoś dnia będziemy należeli tylko do siebie, to były tylko słodkie słówka, nic więcej?

– Nie można nie zwracać uwagi na okoliczności. Sytuacja nie dojrzała jeszcze do tego.

– Och, ty to byś czekał...

– Nie pozwolę, słyszysz, żebyś nadużywała władzy, jaką zdobyłaś nad tą słabą i prostoduszną kobietą.

Skoczyła na równe nogi.

– Słabą! Prostoduszną! Nie rozśmieszaj mnie! Jeśli chcesz wiedzieć, to ona sama błagała mnie, bym zajęła jej miejsce.

Powiedziała, że ma już dosyć roli gospośi. Poza tym boi się, że mnie utraci. Gdybym zechciała, zostałyby w tym domu za pensję 40 000 franków miesięcznie plus wyżywienie i nocleg. A poza tym nosiłaby fartuszek i zwracałaby się do mnie w trzeciej osobie.

– Tego właśnie chcę uniknąć.

– Mój drogi, jak ty nic nie rozumiesz! Ale jeśli mnie oszukałeś, to wiem, co pozostało mi do zrobienia: jutro rano wyjadę, nie zostawię ci nawet adresu. A zresztą, dlaczego jutro? Dziś wieczorem, natychmiast!

Stała na łóżku, zdjęła z szafy walizkę i zaczęła wrzucać do środka bieliznę, nie przestając mi wymyślać. Zatkanym sobie uszy i zszedłem na dół. Przy najniższym stopniu natknąłem się na Emilienne, bladą jak ściana.

- Co się stało? Posprzeczaliście się?

Algierka wystawiała właśnie z pokoju swój bagaż; zbyt skąpy, bym mógł uwierzyć w całą tę komedię. Moja żona zawołała mnie:

- Spójrz tylko - powiedziała zrozpaczona - ona się obraziła, chcę stąd

odejść“to twoja wina... Och, w takim razie ja odejdę pierwsza... albo raczej

odejdziemy razem, prawda, kochana?

Rzuciła się w ramiona Adilee, obejmując ją namiętnie.

– Nie - odparła tamta - nie, zostaw mnie. Widzę, że nie jesten tu mile widziana.

– Ależ Didi! Moja Didi!

– Zostaw mnie!

– Ale posłuchaj tylko...

– Powiedziałam: zostaw mnie! To również twoja wina. Wcale nie chcesz, żebym nosiła tę obrączkę. Nie chcesz złożyć dla mnie tej drobnej ofiary.

– Cóż ja mogę, skoro Claude się wzbrania...

– Ty maczałaś w tym palce, komediantko. To ty go buntujesz, obłudnico. Sprzysięgliście się przeciw mnie.

Jej głos wzbierał coraz bardziej.

- Ale trzeba patrzeć trzeźwym okiem na naszą sytuację. Mam dwadzieścia osiem lat i nie jestem jeszcze zamężna; istnieję tylko dla waszej rozrywki, a w tym czasie moja młodość upływa bezpowrotnie. Dostawcy zwracają się do mnie „mademoiselle“ i mają przy tym świetną zabawę. Dla ciebie to bez znaczenia:

zamężna, wdowa czy rozwiedziona - będziesz zawsze „madame“.

Podniosłem z podłogi obrączkę i ostentacyjnie nałożyłem ją na palec Emilienne. Potem podszedłem do Adilee i potrząsałem nią energicznie:

- Skończ wreszcie z tymi głupstwami, nie chcę już tego wszystkiego słyszeć.

Upajałem się własną energią. Adilee musiała pogodzić się z przegraną. I rzeczywiście: widząc, że ta runda jest już stracona, rzuciła

się na łóżko, szlochając rozpaczliwie. Emilienne zaczęła ją pocieszać; ich łzy mieszały się ze sobą.

- Nie - powiedziała Algierka, rozpuszczając jasne włosy kochanki - zostaw mnie, nie rozumiemy się. I tak wiem, że wcześniej czy później odejdę stąd.

Mimo to zawarły pokój, a raczej to ja go zawarłem: rozebrałem się, inicjując potrójne pojednanie.

- I to wszystko - powiedziała Adilee godzinę później, kiedy założyła już z powrotem koszulę - te nieporozumienia, sprzeczki i głupie dyskusje, to wszystko dlatego, że nie mamy dziecka!

Poczęcie Opportuna

„Wszystko dlatego, że nie mamy dziecka!“ Mogłoby się wydawać, że to zdanie otworzyło Emilienne oczy. Następnego dnia, kiedy zapanował już zupełny spokój, temat podjęto na nowo. Dziecko by-

— Nie - odparła tamta - nie, zostaw mnie. Widzę, że nie jestem tu mile widziana.

— Ależ Didi! Moja Didi!

— Zostaw mnie!

— Ale posłuchaj tylko...

— Powiedziałam: zostaw mnie! To również tw.oja wina. Wcale nie chcesz, żebym nosiła tę obrączkę. Nie chcesz złożyć dla mnie tej drobnej ofiary.

- Cóż ja mogę, skoro Claude się wzbrania...
- Ty maczałaś w tym palce, komediantko. To ty go buntujesz,

obłudnico. Sprzysięgliście się przeciw mnie.

Jej głos wzbierał coraz bardziej.

- Ale trzeba patrzeć trzeźwym okiem na naszą sytuację. Mam dwadzieścia osiem lat i nie jestem jeszcze zamężna; istnieję tylko dla waszej rozrywki, a w tym

czasie moja młodość upływa bezpowrotnie. Dostawcy zwracają się do mnie

„mademoiselle“ i mają przy tym świetną zabawę. Dla ciebie to bez znaczenia:

zamężna, wdowa czy rozwiedziona - będziesz zawsze „madame“.

Podniosłem z podłogi obrączkę i ostentacyjnie nałożyłem ją na palec Emilienne. Potem podszedłem do Adilee i potrząsałem nią energicznie:

– Skończ wreszcie z tymi głupstwami, nie chcę już tego wszystkiego słyszeć. Upajałem się własną energią. Adilee musiała pogodzić się z przegraną. I rzeczywiście: widząc, że ta runda jest już stracona, rzuciła się na łóżko, szlochając rozpaczliwie. Emilienne zaczęła ją pocieszać; ich łzy mieszały się ze sobą.

– Nie - powiedziała Algierka, rozpuszczając jasne włosy kochanki - zostaw mnie, nie rozumiemy się. I tak wiem, że wcześniej czy później odejdę stąd.

Mimo to zawarły pokój, a raczej to ja go zawarłem: rozebrałem



się, inicjując potrójne pojednanie.

- I to wszystko - powiedziała Adilee godzinę później, kiedy założyła już z powrotem koszulę - te nieporozumienia, sprzeczki i głupie dyskusje, to wszystko dlatego, że nie mamy dziecka!

Poczęcie Opportuna

„Wszystko dlatego, że nie mamy dziecka!“ Mogłoby się wydawać, że to zdanie otworzyło Emilienne oczy. Następnego dnia, kiedy zapanował już zupełny spokój, temat podjęto na nowo. Dziecko byłoby idealnym wyjściem, mogłoby wszystko usprawiedliwić, wzmocnić nasze więzy, dać nowe podstawy bytu naszej trójce. O rozstrzygnięcie kwestii obie zwróciły się do mnie; wypowiedziałem się oczywiście za tym rozwiązaniem. Wiedziałem już od dawna, że Emilien-ne jest bezpłodna, ona więc nie mogła urodzić mi dziecka. Jeżeli chodzi o Adilee, to było już tyle okazji, by zaszła w ciążę, że uznałem ją również za niezdolną do stania się matką, a przynajmniej nie ze mną. Tak więc wydawało mi się, że z całym spokojem mogę przystać na ich grę.

— Łatwo powiedzieć: dziecko - zauważyła Emilienne. - Ale kto miałby to zrobić?

— Jak to kto? Oczywiście, że Claude! - odparła Adilee.

— A z kim? - nie ustępowała moja żona. - Ja się do tego nie nadaję.

— A więc ja się poświęcę - powiedziała Adilee. - Nie będziemy

przecież adoptować dziecka, skoro możemy począć je sami.

Argument zdawał się nie do odparcia. Wieczorem przeprowadziłem z Emilienne zasadniczą rozmowę.

- Widzisz - powiedziała - mężczyzna traci kobietę bardzo szybko, ale kobieta traci kobietę jeszcze szybciej. Każde małżeństwo, nawet takie w trójkę, potrzebuje dziecka. Jakie to szczęście, że Didi wpadła na ten pomysł! Posłuchaj,

drogi mężu... Oboje pragnęliśmy tego dziecka, ale ja nie mogłam ci go dać. Bóg jeden wie, jak bardzo cierpiałam z tego powodu. I powinniśmy być wdzięczni temu samemu Bogu, że stwarza nam taką szansę. Musimy być sprawiedliwi: przecież to my skazujemy Adilee na życie bez męża. Pozbawić ją radości macierzyństwa byłoby niesłychanym okrucieństwem. A ty sam? Czy nie cieszyłbyś się, mając potomka? Poza tym muszę ci powiedzieć, że mimo waszego towarzystwa czuję się nieraz bardzo samotna! Lat nam nie ubywa, a przybywa, Claude. Tak bardzo bym się cieszyła, gdybym mogła wziąć w ramiona naszą kruszynę! A zresztą musimy dbać o naszą reputację. Trio bez dziecka? To zakrawa na skandal. Ale dziecko uciszy wszystkie plotki. Odwagi, do diabła, odwagi!

— Cóż za zapał, moja droga!

— Czyżbyś się bał? To byłoby cudowne: miałbyś własne dziecko z Adilee, ja miałabym wasze dziecko, dziecko należałoby do nas trojga! Kochałabym je jak swoje własne, chyba w to nie wątpisz. Pielęgnowałabym je razem z Adilee, byłabym matką w tym samym

stopniu co ona, a przez to złączylibyśmy się nierozzerwalnymi więzami.

Nazajutrz odbyłem poaobną zasadniczą rozmowę z Adilee.

– Twoja propozycja była poważna? - zapytałem.

– Czemu nie? To już jedyne wyjście.

– I pozwoliłabyś Emilienne, aby miała swój udział w twym macierzyństwie? Przyrzekasz?

Przyrzekła mi to, chociaż bez entuzjazmu. Nadeszła Emilienne i zebranie ogólne uchwaliło, „wziąć się do roboty“ jeszcze tego samego dnia wieczorem. Od tego momentu nasze wzajemne stosunki uległy radykalnej zmianie. Co do mnie, doczekałem się wreszcie pewnego rodzaju rehabilitacji i odzyskałem tym samym swój autorytet,. Teraz nie chodziło już o przyjemność; moje stosunki seksualne z potencjalną matką odbywały się zgodnie ze wskazaniem kalendarza, w którym obie podkreślały co miesiąc imię świętego, panującego nad ich cyklem miesięczkowym; Adilee na czerwono, Emilienne na niebiesko. Dni czternasty, jak również trzeci i czwarty - jak kazała dawna tradycja - oznaczały post. Moje nasienie, którego nie wolno mi już było marnować poza przepisany łonem, znajdowało się teraz pod troskliwą pieczę i nadzorem. Emilienne każdorazowo przyglądała się naszym poczynaniom z bliska, a nieraz nawet wkraczała do akcji, aby utworować mi drogę. Pomiędzy moimi paniami, oczekującymi na wynik, nastąpiło zawieszenie broni. Nie było już mowy o biczowaniu, w domu zapanowała harmonia, przynajmniej do pewnego stopnia. W razie sprzeczki na temat kuchni czy prowadzenia domu, jedna z nich przypominała od razu uroczyście: - Wszystko dlatego, że nie mamy

jeszcze dziecka! Ten okrzyk przywracał znowu spokój, sprawiał jednak zarazem, że odżywała troska

- z ich strony, by spowodować zajście w ciążę, a z mojej - by temu zapobiec.

Początkowo zbagatelizowałem tę sprawę, ale potem ogarnęły mnie wątpliwości.

Umyślnie i podstępnie zacząłem udawać niezdarę, ale Adilee zagroziła mi

natychmiast - jakkolwiek tonem żartobliwym - że postara się o pomocnika.

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko utrzymać ją w pozycji wyprostowanej.

Wtedy właśnie uświadomiłem sobie, jaka to różnica dla kobiety, czy oddaje się

dla przyjemności czy też w celu poczęcia. W sierpniu dziecko było już zmagistrowane, jeśli mogę się tak wyrazić; miesięczka Adilee, która powinna

była przypaść na znak Syriusza, nie nastąpiła. Pierwsze mdłości zostały powitane

przez Emilienne okrzykiem triumfu. - Nigdy nie zapomnę - powiedziała do mnie -

ile uczyniłaś dla swej żony!

A do Adilee, uroczystym tonem:

- Dzięki ci, matko mej córki, że zechciałaś to zrobić dla nas trojga!

Potem znowu do mnie, podczas jednego z rzadkich sam na sam:

- Wziąć na siebie piętno niezamężnej matki, z miłości do ciebie

i do mnie, to wspaniały gest z jej strony, musisz przyznać. Och, obawiam się, że nie doceniliśmy tej cudownej kobiety!

Zrezygnowałem z oporu, który i tak nie znalazłby żadnego zrozumienia. Zresztą sprawy toczyły się już zgodnie z tokiem ustalonym nieodmiennie przez samą naturę.

Drugi atak mdłości był witany jak niebiańska manna, trzeci spotkał się z tedeum, czwarty z hosanną. Na podstawie „oczywistego“ momentu poczęcia, który Adilee poczuła wówczas dzięki „nie nadającemu się do zdefiniowania zmysłowi“, wyliczyliśmy, że przypuszczalny dzień porodu przypadnie na 22 kwietnia. W kalendarzu wyczytaliśmy, że Kościół święci tego dnia męczeństwo świętej Opportuny. Adilee roześmiała się.

- To dobry znak! Doprawdy, nigdy jeszcze córka nie zjawiała się w tak odpowiednim momencie.’\*

Ze względu na powtarzające się mdłości przyszłej matki resztę sierpnia

spędziliśmy na Brouillards. Pod koniec miesiąca mówiliśmy już tylko o potrzebie wysłania jej tam, gdzie mogłaby odpocząć w letnim klimacie.

Ouessant i Saint Tropez, miejsca, z którymi wiązały się tak przykre wspomnienia, nie wchodziły w rachubę; i w ten sposób

zaszczyt ugoszczenia naszego tria przypadł w udziale Bassin d'Arcachon. Niestety tylko raz pojechaliśmy kolejką wąskotorową do Cap Ferrat, gdyż Adilee musiała od pierwszej chwili, kiedy zamieszkaliśmy w domu „Etche ona“, leżeć w łóżku z uwagi na groźbę poronienia. Emilienne przekształciła się natychmiast w pielęgniarkę. Nad domkiem, reprezentującym imitację stylu baskijskiego, zapanował obowiązek zachowania ciszy, a w środku - atmosfera szpitalna.

Ponieważ obie dały mi do zrozumienia, że im przeszkadzam, a poza tym musiałem zrezygnować z wszelkich przyjemności i trawiła mnie zazdrość o ten embrion, który zajął moje miejsce w sercu jednej i drugiej, ustawiłem sztalugi przed ławicami ostryg, chcąc w ten sposób zapomnieć o troskach.

W ciągu tych dwóch miesięcy, wypełnionych pozbawionym większego żaru romansiem z właścicielką hodowli ostryg z Petit-Piaguey, miałem dosyć czasu, aby uświadomić sobie, jak mało znaczy miłość dla kobiety - a tym bardziej dla dwóch kobiet - jeżeli w grę wchodzi macierzyństwo. To, że Adilee zdawała się myśleć więcej o dziecku, niż o mnie czy Emilienne, można było uznać za zjawisko naturalne, ale te same objawy zaobserwowałem u Emilienne. Szczegół-opportun (franc.) - stosowny, w porę, odpowiedni (przyp. tłum.)

nie wyraźnie uwidoczniło się to wtedy, gdy moja żona poczęła nasłuchiwać chciwie

pierwszych oznak życia w zaokrąglonym brzuchu swojej kochanki. Właściwie

interesowała się porodem bardziej, niż sama Adilee.

W dniu naszego wspólnego powrotu do domu, 10 października, Adilee jechała w wagonie sypialnym. W listopadzie wstała wreszcie z łóżka i ostatni okres aż do rozwiązania przebiegał spokojnie, a nawet pogodnie. Emilienne kręciła się u jej boku niczym kochający mąż, zastępując w ten sposób mnie, musiałem bowiem zająć się interesami.

Aby skrócić sobie czas oczekiwania na tak upragnioną chwilę, Emilienne zaczęła pisać na zamówienie specjalnej księgarni nową powieść „Lesbijka i matka“. Na własną rękę kontynuowała „Mnais i Phyllodocis“ - w formie parodii i zarazem dalszego ciągu opowiadania, które Adilee napisała na samym początku naszego potrójnego związku miłosnego. Nawet nie wiem, jakim cudem udało się zachować pierwsze karty.

„Jakieś zdradliwe niezadowolenie zakradło się pomiędzy Mnais i Phyllodocis, jako że ich związek był nieurodzajny. Doszło do tego, że Mnais leżała na poduszkach, sprawiając wrażenie nieobecnej. W jej niewinnych raptem

oczach bystry obserwator

mógłby dostrzec małe, śpiące dziecko. - Och, moja najdroższa -  
powiedziała - jak

bardzo bym pragnęła, aby nasze pocałunki mogły, podobnie jak  
pocałunki mężczyzn,

dać początek nowemu życiu! Czy naprawdę jesteśmy - my,  
bliźniacze róże - skazane

na to, by uschnąć na łądkach, nie doczekawszy się chwili, gdy  
tuż obok

wyrośnie nowa różyczka? Czuję w sercu jakąś pustkę,  
chciałabym objąć małą istotę

z krwi i kości, podobną do ciebie!

- Ach! - westchnęła Phyllodocis - Jaka szkoda, że nigdy nie  
mogłam mieć  
dziecka, nawet z mężczyzną! Ale ty... czy naprawdę pragniesz aż tak  
usilnie

podlegać temu przerażającemu prawu Hery? Chcesz wyglądać wkrótce  
tak, jakbyś

nosiła pod szatą żywego żółwia? Chcesz ujrzeć, jak z owej groty, w  
jaką z trudem

zagłębiały się do tej pory tylko mój język, moje palce i pręt Phaona,  
wydostaje

się na światło dzienne brat Erosa? Zapewne wiesz o tym, że dziecko  
może być jak

miecz, który rozcina zbyt wąską pochwą; może się zdarzyć, że nawet na



najładzszym ciele pozostaną - w najlepszym razie - zmarszczki i rozstępy, gaszące największą nawet namiętność.

- Masz rację - odparła Mnais - ale kobieca natura ma swoje wymogi; nie lubi rozkoszy, po jakich, przynajmniej niekiedy, nie następują trudy. Podobnie jest z

wojownikiem, któremu potrzebne są nie tylko wygodny łoża, ale również doświadczenie bitewne. To, czego pragnę, to - proszę, nie zrozum źle - córka zrodzona przez kobietę, córka zrodzona

przez ciebie, jasnowłosa jak ty, z twoimi błękitnymi oczyma, dziewczyna, która pewnego dnia - ach, czy odważę się to powiedzieć? - pokocha inną kobietę tak, jak ty kochasz mnie.

- Zaprawdę, to trudne - odrzekła Phyllodocis rozmarzonym tonem.

- Ale czy nie pomyślałaś, że i ja pragnęłabym mieć z tobą córkę, o twarzy tak pięknej jak twoja, o ciele tak ponętym jak twoje, o ruchach tak gibkich jak twoje, córkę, która za dwadzieścia lat mogłaby przypomnieć mi ciebie, tak jak wyglądasz dziś?

-Ten zamiar jest już o wiele prostszy do spełnienia - odparła Mnais

- gdyż nawet jeśli Phaon nie może dać mi dziecka na twoje podobieństwo, choćby

był przesycony twą substancją, to przecież jest w stanie, jeśli mu pomogę,

ofiarować ci dziecko podobne do mnie!

– Ależ oczywiście, Mnais! Jakaś ty mądra! Ale czy szlachetny Phaon będzie mógł to zrobić, czy będzie chciał? Widzę bowiem, że podczas wszystkich naszych igraszek miłosnych zachowuje się nadzwyczaj ostrożnie. W ostatniej chwili, kiedy ów gorący sok mleczny zaczyna tryskać ze słabnącej łodygi, on wycofuje się spiesźnie, żądając, byś złożyła go w ofierze w misce nienasyconego trójnoga Afrodyty.

– Ależ, droga Phyllo, to żadna przeszkoda! Wystarczy, jeśli w dwa tygodnie po tym, jak ustanie nasza pora deszczowa, skuszę nieświadomego Phaona lubieżnymi ruchami, by wszedł we mnie, a potem przytrzymam go oburącz za biodra z całych sił, aż ów życiodajny płyn napelni me łono.

– Nie - potrząsnęła głową Phyllocis - nie za cenę podstępu chciałabym mieć potomstwo. Muszę najpierw rozmówić się szczerze ze szczerym mężczyzną, który jest mym mężem.

I w ten sposób rozmawiały ze sobą dwie bezdietne kobiety.  
Któregoś dnia

wreszcie Phyllocis wzięła Phaona na bok i powiedziała mu...“

Tu następowały słowa, przypominające do złudzenia to, co zaproponowała mi

Emilienne owego pamiętnego dnia.

Wprawdzie te produkty literackie, czytane na głos, zyskiwały aprobatę Adilee,

trudno było jednak nie dostrzec, że uwznioślenie naszego tria, chociaż

spodziewało się już ono dziecka, interesowało ją teraz tyle, co nic. I tak

upływał czas, wypełniony nie kończącymi się rozważaniami na temat

przypuszczalnego koloru oczu Opportu-ny, jej włosów i ciała. Zauważyłem, że

Adilee mówi w obecności Emilienne „nasze dziecko“. W chwilach, jakie spędzała

tylko ze mną, wyrażała się tak samo, ale wówczas używała jakiegoś osobliwego,

ograniczającego tonu.

Mimo drobnych sprzeczek na tle sposobu, w jaki Opportuna miałyby się zwracać do

swojej drugiej matki (Emilienne życzyła sobie: „Papina“, ale Adilee wyrażała

zgodę jedynie na „mateczka“), mimo

pewnych dyskusji na temat zasad i metod wychowania lesbijskiego, spędziliśmy

święta Bożego Narodzenia beztrosko, przy gęszej wątróbce i szampanie -

przygrywce do późniejszej wymuszonej trochę rozpusty. Na powitanie nowego roku

1950 kobiety wymieniły ceremonialnie prezenty przeznaczone

dla przyszłej córki

(bieliznę niemowlęcą i srebrne grzechotki z uchwytem z kości słoniowej). Na moje

prezenty - naszyjniki z bransoletami - nie zwróciły niemal żadnej uwagi. Z pewnością

dozą dawnej serdeczności świętowaliśmy nasze urodziny: 29 stycznia, 19 lutego i

9 marca.

Długie wieczory zimowe posłużyły na przygotowanie śliniaczków i kaftaników. Wraz

z nadejściem wiosny pojawiła się u nas różowo-czerwona kołyska. Wstawiono ją do

Błękitnego Pokoju, gdzie Adilee przebywała teraz najczęściej. Doprawdy, to było

wzruszające, patrzeć, jak zgodnie pracują obie przyjaciółki - jedna trzymała

wstążkę, przez którą druga przeprowadzała igłę; co pewien czas wymieniały

nieśmiało raczej całusy.

Ta gorączkowa atmosfera trwała do momentu narodzin dziecka, a nastąpiło to

dokładnie 22 kwietnia - zasługę za ową punktualność przypisano Wenus.

Nie zdołałem odwieść Emilienne od zamiaru przebywania wraz z Adilee podczas

porodu. Zresztą ona sama odczuwała bóle i krzyczała jeszcze głośniejsze niż

położnica. I oto na świat przyszedł chłopiec, co stanowiło zapewne dla mojej

prawdziwej żony rozczarowanie, wołałaby bowiem ujrzeć przyszlą lesbijkę.

Niemniej chłopiec otrzymał imię Opportun. Sam poród przeszedł bez najmniejszych

kłopotów, a Adilee już wkrótce była na nogach, aby uczyć syna, jak ma

rozpoznawać swoje matki po śmiechu.

Przy całym tym rozgardiaszu nie zapomniała o obowiązku zameldowania dziecka u

burmistrza. - Ono należy przede wszystkim do nas obojga - nalegała szeptem. -

Musisz wpisać je do rejestru pod swoim nazwiskiem, a z czasem to samo nazwisko

będzie nosiła jego prawdziwa mama.

Nie odpowiedziałem na to nawet jednym słowem, przyłożyłem jej tylko dłoń do ust,

aby zamilkła, po czym za zgodą Emilienne udałem się do Urzędu Stanu Cywilnego.

Dziwiłem się wtedy, że to zawieszenie broni między nimi utrzymuje się tak długo.

Teraz jednak, z perspektywy czasu, muszę przyznać, że Adilee

było na rękę

korzystać z pomocy Emilienne, odciążona w ten sposób od obowiązków matki mogła

użyć w odpowiednim momencie swej kobiecej broni. Ja sam, cały w tej chwilowej

euforii ojcostwa, stałem się pierwszą ofiarą, kiedy warunki rozejmu przestały

być tak ściśle przestrzegane.

Spór przy kołysce

Dziecko naszego trójkąta, leżące w kołysce, która była teraz tak błękitna, jak cały pokój, otworzyło oczy i obie matki nachyliły się nad nim z obu stron. Był to bardzo ładny chłopczyk o piwnych oczach i ciemnych włosach, od samego początku kędzierzawych, a więc typ raczej algierski niż bretoński. Ale Emilienne widziała w nim siebie.

- Prawda - pytała - jaki do mnie podobny? No i jak? Czy można nie wierzyć w osmozę?

To śmieszne twierdzenie nie wyprowadziło Adilee z równowagi.

- Tak - powiedziała - ale przede wszystkim ten chłopczyk należy do kobiety, która go karmi, prawda?

I podała mu sterczącą pierś. Emilienne zaś, która już otworzyła usta, aby zaoponować, poczuła, jak rączki tego orientalnego malca odpychają ją na bok. Początkowo istotnie obie trzymały się zasady

dwóch matek. Emiïienne niezmordowanie zmieniała pieluszki, z jakąś wzruszającą, chwytającą za serce troską, posypywała go też talkiem i bujała tak czule, jak tylko może to czynić kochająca matka. Adilee nie sprzeciwiała się temu, tłumiała odruchy zazdrości nawet wtedy, gdy Oppor-tun reagował radosnymi wybuchami śmiechu na pieszczoty i figle mej żony. Z dnia na dzień jednak coraz trudniej przychodziło jej hamować się na widok synka, tulącego się z całych sił do Emiïienne. W połowie maja stało się jasne, że trudno jest pogodzić się dwóm matkom, z których jedna, przyszywana, okazuje niezwykłą gorliwość, a druga, ta prawdziwa - szczególną troskę. Wieczorem Emiïienne wykapała malca, jednak zamiast oddać go przyjaciółce do karmienia, przytuliła do siebie i zaczęła udawać ze śmiechem, że chce podać mu pierś.

- O, nie! - wykrzyknęła Adilee. - Nie, tylko nie to! On jest mój!

Wstała,

wzięła Opportuna na ręce i przyłożyła go do piersi. Emiïienne wybuchnęła

płaczem. Adilee przeprosiła ją i obnażyła

pierś kochanki, aby wetknąć dziecku do ust suchą brodawkę. Nie omieszkała jednak zaznaczyć ironicznie: - No dobrze, possij trochę swoją chrzestną, possij! Kilka dni później - nowy zatarg. Opportun dostał - w jego wieku nie powinno' to nikogo dziwić - drobnej wysypki, co wywołało rozpacz Adilee.

- To twoja wina! - krzyczała do Emiïienne. - Musisz go tak ciągle dotykać?

\_ Och - odparła moja żona - gdybym miała tak czekać, aż ty

raczysz zmienić mu

pieluszki...

Potem nadeszły długie noce, przerywane płaczem dziecka.

Dobrej Emilienne wolno

było wstawać do niego, podczas gdy Adilee wylegiwała się nadal w szerokim,

potrójnym łożu, które wyglądało teraz trochę dziwnie w zestawieniu z samotną

kołyską. Którejś nocy mruknęła nawet w półśnie, kiedy Emilienne usiłowała bez

powodzenia uspokoić drącego się wniebogłosy malca:

– Ucisz go wreszcie!

– Do diabła, spróbuj sama - odparła Emilienne. - W końcu to twoja sprawa, nie moja!. Cóż to, czy jestem tu tylko po to, by zrywać się w nocy i prać pieluchy?!

– W każdym razie powinnaś być szczęśliwa, że nosisz to samo nazwisko, co moje dziecko. Słowo daję, nie potrafię nawet wyegzekwować swych praw!

Wywiązała się prawdziwa kłótnia, musiałem więc interweniować, aby uspokoić i pogodzić obie rywalki.

Pewnego razu doszło nawet do tego, że pozostawiły dziecko samo sobie. Jedyne dzięki mnie nie udławiło się, a sporu nie zdołały załagodzić - o dziwo! - najbardziej wymyślne pieszczoty, jakimi obsypywałem potem ich ciała. Nawiasem mówiąc, od narodzin Opportuna nasze zainteresowanie seksem znacznie zmalało. Jeszcze w





wylegiwała się nadal w szerokim, potrójnym łożu, które wyglądało teraz trochę dziwnie w zestawieniu z samotną kołyską. Którejś nocy mruknęła nawet w półśnie, kiedy Emilienne usiłowała bez powodzenia uspokoić drącego się wniebogłosy malca:

– Ucisz go wreszcie!

– Do diabła, spróbuj sama - odparła Emilienne. - W końcu to twoja sprawa, nie moja! Cóż to, czy jestem tu tylko po to, by zrywać się w nocy i prać pieluchy?!

– W każdym razie powinnaś być szczęśliwa, że nosisz to samo nazwisko, co moje dziecko. Słowo daję, nie potrafię nawet wyegzekwować swych praw!

Wywiązała się prawdziwa kłótnia, musiałem więc interweniować, aby uspokoić i pogodzić obie rywalki.

Pewnego razu doszło nawet do tego, że pozostawiły dziecko samo sobie. Jedyne dzięki mnie nie udławiło się, a sporu nie zdołały załagodzić - o dziwo! - najbardziej wymyślne pieszczoty, jakimi obsypywałem potem ich ciała. Nawiasem mówiąc, od narodzin Opportuna nasze zainteresowanie seksem znacznie zmaleło. Jeszcze w początkach czerwca Adilee nie odzyskała swego popędu, Emilienne zaś, zaabsorbowana bez reszty dzieckiem, zapomniała w ogóle o smaku rozkoszy. Ja sam, witając z radością ojcostwo jako moment wytchnienia, nie śpieszyłem się zbytnio, aby rozniecić na nowo płomień trójkąta. Dopiero w połowie czerwca libido zbudziło się, ponownie doszło do zbliżeń seksualnych pomiędzy kobietami, ale ja uczestniczyłem w nich bez zapалу, wątpiłem bowiem, by czyniły to tak

zupełnie spontanicznie. Stosunek przerywało pierwsze kichnięcie Opportuna, a potem musieliśmy czekać z kontynuacją aż dziecko znowu uśnie. Poza tym zaczęło dochodzić między nami do scysji; rozważały, czy mamy prawo robić w obecności tego niewinnego stworzenia rzeczy, będące przeciwieństwem niewinności. Już wkrótce nie ulegało wątpliwości, że dziecko, które miało sementować naszą miłość, jest raczej przyczyną wszelkich konfliktów. Doszło też do sporu na temat tej osławionej osmozy, jaką - według słów Emilienne - uprawiałem przez dziesięć lat, dzięki czemu dziecko stawało się z każdym dniem coraz bardziej podobne do niej. - W takim razie musiałyby być w dwóch trzecich czarne - zaproponowała Adilee

- jeśli pomyśli się o tych wszystkich Murzynkach, które nasyciły mego dziadka.

- Och - odparła moja żona - gdybym miała tak czekać, aż ty raczysz zmienić mu pieluszki...

Potem nadeszły długie noce, przerywane płaczem dziecka. Dobrej Emilienne wolno było wstawać do niego, podczas gdy Adilee wylegiwała się nadal w szerokim, potrójnym łożu, które wyglądało teraz trochę dziwnie w zestawieniu z samotną kołyską. Którejś nocy mruknęła nawet w półśnie, kiedy Emilienne usiłowała bez powodzenia uspokoić drącego się wniebogłosy malca:

— Ucisz go wreszcie!

— Do diabła, spróbuj sama - odparła Emilienne. - W końcu to twoja sprawa, nie moja! Cóż to, czy jestem tu tylko po to, by zrywać się

w nocy i prać pieluchy?!

— W każdym razie powinnaś być szczęśliwa, że nosisz to samo nazwisko, co moje dziecko. Słowo daję, nie potrafię nawet wyegzekwować swych praw!

Wywiązała się prawdziwa kłótnia, musiałem więc interweniować, aby uspokoić i pogodzić obie rywalki.

Pewnego razu doszło nawet do tego, że pozostawiły dziecko samo sobie. Jedyne dzięki mnie nie udławiło się, a sporu nie zdołały załagodzić - o dziwo! - najbardziej wymyślne pieszczoty, jakimi obsypywałem potem ich ciała. Nawiasem mówiąc, od narodzin Opportuna nasze zainteresowanie seksem znacznie zmalało. Jeszcze w początkach czerwca Adilee nie odzyskała swego popędu, Emilienne zaś, zaabsorbowana bez reszty dzieckiem, zapomniała w ogóle o smaku rozkoszy. Ja sam, witając z radością ojcostwo jako moment wytchnienia, nie śpieszyłem się zbytnio, aby rozniecić na nowo płomień trójkąta. Dopiero w połowie czerwca libido zbudziło się, ponownie doszło do zbliżeń seksualnych pomiędzy kobietami, ale ja uczestniczyłem w nich bez zapału, wąpiłem bowiem, by czyniły to tak zupełnie spontanicznie. Stosunek przerywało pierwsze kichnięcie Opportuna, a potem musieliśmy czekać z kontynuacją aż dziecko znowu uśnie. Poza tym zaczęło dochodzić między nami do scysji; rozważały, czy mamy prawo robić w obecności tego niewinnego stworzenia rzeczy, będące przeciwieństwem niewinności. Już wkrótce nie ulegało wątpliwości, że dziecko, które miało sementować naszą miłość, jest raczej przyczyną wszelkich konfliktów. Doszło też do sporu

na temat tej osławionej osmozy, jaką - według słów Emilienne - uprawiałem przez dziesięć lat, dzięki czemu dziecko stawało się z każdym dniem coraz bardziej podobne do niej. - W takim razie musiałyby być w dwóch trzecich czarne - zaproponowała Adilee

- jeśli pomyśli się o tych wszystkich Murzynkach, które nasyciły mego dziadka.

Inne kłótnie dotyczyły sposobu, w jaki należy małego ukołysać, wycierać mu nos, ubierać i karmić. Lękliwa Emilienne i Adilee-fatalistka interpretowały zupełnie odmiennie krzyki dziecka, kaszel czy zaczerwienienie skóry, zmuszając mnie ustawicznie do wyjaśniania skrajnie absurdalnych nieporozumień. 10 sierpnia, w trakcie dyskusji na temat miejsca naszego letniego wypoczynku, wybuchła zupełnie inna burza.

- Obstawę przy tym - powiedziała Emilienne - i będę się upierać, żeby mały nie opalał się w tym roku. Lekarz zalecił, żeby zabrać go do La Grave. Tam będzie najlepiej.

- Zdaje się, że już postanowiłam - odparła Adilee. - Zawieziemy go nad morze. O tej porze roku słońce jest tak zdrowe, jak śnieg, oto moje zdanie. Powinniśmy byli napisać już dawno do Hyeres.

- Niech zadecyduje ojciec - powiedziała Emilienne, już głośniej.

- Claude - odparła z naciskiem Adilee - Claude, ojciec mojego syna, uczyni to, co ja chcę. Ostatecznie znam swoje prawa jako matka.

- A co myśli na ten temat Claude?

- Wydaje mi się - wykrztusiłem spiesznie - że macie do niego

takie same prawa, z tym, że...

– Takie same prawa! - wykrzyknęła Adilee. - Śmiesz twierdzić, że mamy takie same prawa? Obca kobieta ma decydować o losie naszego dziecka?

– No, proszę! - zawołała Emilienne, podnosząc ręce ku niebu.  
- Ja - obca kobieta! A więc doszło już do tego!

I wyszła z pokoju. Ta druga utyskiwała:

– I to ma być zapłata za moją cierpliwość! Tyle z tego mam! Claude, musisz zdecydować raz na zawsze, która z nas ma nosić oficjalnie twoje nazwisko. Troskliwie zacząłem wycierać chusteczką jej czarne oczy.

– Nie - odsunęła mi rękę. - Tym razem mam naprawdę tego dosyć. Musisz wybrać: twoja żona czy matka twojego dziecka.

Mimo to udało mi się zaprowadzić ją do Emilienne, która z własnej woli przyszła do salonu, aby powiedzieć:

– Musisz wiedzieć, Claude, której z nas jesteś winien zadośćuczynienie. Albo pojedziesz do La Grave z żoną, albo do Porquerolles z kochanką.

– Czy nie byłoby rozsądniej - zapytałem, ujmując jedną i drugą w talii, aby wymusić potrójny pocałunek na moich ustach - spędzić najpierw we troje dwa tygodnie w La Grave, a potem znowu dwa tygodnie w Porquerolles?

– Też coś! - odparła Adilee, uwalniając się z moich objęć. - Dwa tygodnie w La Grave, żeby mały nabawił się zapalenia płuc!

– Dwa tygodnie w PorquerollesL - parsknęła Emilienne. -

Żeby dostał udaru słonecznego!

Adilee nie ustępowała: - Mogę powiedzieć ci tylko jedno. To ja wydałam go na świat, wezmę więc Opportuna ze sobą i pojutrze będę z dzieckiem na rękę w Porquerolles, z tobą albo bez ciebie, z Claudem albo bez Claude'a!

– Widzę - powiedziała Emilienne - że przegrałam. Tak naprawdę nie zależy ci na tym, żeby wziąć Opportuna beze mnie do Porquerolles, po prostu chcesz odebrać mi męża.

– Możesz tryskać jadem, ile chcesz. Ja odchodzę. Nie mogę już dłużej żyć razem z dzieckiem, splodzonym przez Claude'a, i kobietą, która chce być jego matką w większym stopniu niż ja. - Po tych słowach poszła do siebie na górę, natomiast moja żona wróciła do swego pokoju.

Zajście wyglądało na poważne, tym bardziej że od momentu rozwiązania Adilee starała się raczej nie ujawniać swych prawdziwych odczuć. Siedziałem tak przez chwilę, a potem zapukałem do Emilienne, która uchyliła drzwi do sypialni tylko trochę i powiedziała przez szparę:

– Nadszedł czas, by podjąć ostateczną decyzję. Czy jesteś moim mężem czy jej? Wykrztusiłem z trudem: - Wiem jedno. Ona jest matką mego dziecka.

– TWEGO dziecka!

I zatrzęsnęła mi drzwi przed nosem.

Tak więc w moim własnym domu zostałem pozbawiony łóżka. Wszedłem na górę do

Adilee, która otworzyła mi dopiero po pięciu minutach. To że

owej nocy

skorzystałem z jej gościnności w Błękitnym Pokoju, było największą głupotą mego życia.

Dodatkowe głupstwo popełniłem następnego ranka, kiedy ulegając naciskom

Algierki, oświadczyłem mojej żonie, że jadę „przodem“ na wybrzeże wraz z Adilee

i Opportunem, ona zaś może jechać z nami, jeśli chce.

– Ależ ja nie jestem jeszcze gotowa do podróży - wkrzyknęła.

– Dobrze - odparła Adilee. - W takim razie przyjedziesz do nas potem.

– Idźcie się przejść - powiedziała moja żona z godnością. - Ja zostaję! Wyszła z pokoju i nie zjawiała się z powrotem. Czas nagle, wyruszyliśmy więc sami na Dworzec Lyoński. Na peronie znaleźliśmy się na pół godziny przed odjazdem pociągu. Adilee umieściła Opportuna

w hamaku rozwieszonym między półkami i od tej pory nie ruszyła się już z

przedziału. Co do mnie, przechadzałem się gorączkowo tam i z powrotem, łudząc

się nadal-nadzieją, że w końcu ujrzę Emilienne. Miałem jechać z Adilee czy też

zostać z żoną? Z nogą na stopniu wahałem się aż do ostatniej chwili. Ostateczną



decyzję podjął za mnie kierownik pociągu, który po prostu wepchnął mnie do

wagonu.

Urlop w Porquerolles

- To nic - powiedziała Adilee, kiedy pociąg nabierał rozpędu.

- Ale jednak nie spodziewałam się, że okaże się na tyle odważna, by puszczać nas samych na urlop, i na tyle samolubna, by obarczać tylko mnie opieką nad

dzieckiem. Słowo daję, pozwalasz jej na zbyt wiele!

Mimo że nie rezerwowaliśmy niczego w Porquerolles, znaleźliśmy jakby cudem wolny pokój w „Óustaou de la Mar“.

Nazajutrz odkryliśmy na spacerze zaniedbany, lecz umeblowany domek o nazwie „Mas Jean d’Agreve“, nie wynajęty na razie ze względu na bezwstydnie wysoki czynsz. Nadal dręczyły mnie wyrzuty sumienia i moją pierwszą myślą było przesłanie Emilienne naszego adresu. Algierka zaoferowała się pobiec z listem na pocztę; najwidoczniej bała się, że przyjdzie tam już po opróżnieniu skrzynki.

– Miałam szczęście - powiedziała, kiedy wróciła z powrotem.

– Worek był już zamknięty. Poprosiłam urzędniczkę i była tak uprzejma, że otworzyła go tylko dla mnie.

Czekając na niechybny - jak sądziłem - przyjazd Emilienne, nabieraliśmy nawyków pary małżeńskiej. Adilee dostrzegła zapewne moje przygnębienie i aby mnie rozerwać, zaczęła wciągać w obowiązki przy dziecku. Kręciła się wokół niego z bezgranicznym wprost

oddaniem, oświadczyła nawet, że kocha je i interesuje się nim bardziej, niż kiedykolwiek, od czasu, gdy wyzwoliła się z przykrego obowiązku dzielenia się z drugą kobietą swoją miłością.

- Nawet nie wiesz - powiedziała - jakie to okropne dla młodej matki, kiedy widzi, że ktoś inny kwestionuje jej prawa do istoty, będącej owocem jej ciała.

Nie zrozum mnie źle, ale co ty byś powiedział, gdyby inny mężczyzna zaczął

rościć sobie prawa do połowy Opportuna?

Minęły trzy dni, ale z Allee des Brouillards nie nadchodziła żadna wiadomość.

‘

- Może to błąd z naszej strony, że tak na to czekamy - mówiła Adilee. - Ona po prostu drwi sobie z nas. Albo chce zemścić się na mnie za Ouessant, albo będzie trzymać nas tu aż do sądnego dnia, jak na rozżarzonych węglach. Piątego dnia, po daremnym, pełnym napięcia oczekiwaniu na pocztę:

- To już nie zwykłe dąsy, ale szantaż. Przejrzałam jej plan; masz wrócić do Paryża, zostawiając mnie samą z dzieckiem, aż dam za wygraną. Ale ja wiem, że nigdy nie sprawiłbyś mi takiego wstydu.

A siódmego dnia, kiedy tupiałem już nogami z niecierpliwości:

- Co ci jest? Czy czegoś ci brak? Można by pomyśleć, że nam

o boju nie jest tu  
ze sobą dobrze. I wiesz co? Jeżeli ja ci nie wystarczę, to na Lewant  
można  
spotkać podobno bardzo ładne nudystki.

Wyspa Lewant była jej stałym tematem. Zastanawiałem się, czy owe uroczę zwolenniczki kąpeli słonecznych nie pociągały raczej jej samej. Wkrótce mieliśmy już za sobą spacer po ustalonych, rutynowych trasach do Semaphore, Mont des Salins, Cap des Medes i Plage Notre-Dame, jakie ze względu na wózek odbywaliśmy w żółtym tempie.

- Ach - westchnęła Adilee dziewiątego dnia - gdyby była tu z nami opiekunka do dziecka, mogłaby się zająć małym. Nie możemy żyć tak dalej. Jutro po południu zostawimy Opportuna pod opieką właścicielki „Arki Noego“.

„Arka Noego“ była to restauracja, gdzie przeważnie jadalśmy kolację. Obiad spożywaliśmy w domu, w „Mas Jean d’Agreve“.

We wtorek, 27 sierpnia, siedzieliśmy sobie w najlepszym pod platanem, z biletami na statek na drugą w kieszeni i z dzieckiem obok. Właśnie obieraliśmy langustę, kiedy jakaś kobieta otworzyła gwałtownie furtkę.

- Ach - zawołała - już myślałam, że was nie znajdę. Była to Emilienne.

Rzuciłem się jej na spotkanie, potrącając wózek Opportuna. Adilee nie wstała na razie z miejsca.

– Nie wiem, czy wam nie przeszkadzam! - mówiła dalej Emilienne bardzo afektowanym tonem.

– To ty! - odezwała się wreszcie Adilee, podchodząc do niej bez pośpiechu. -

Skąd się tu wzięłaś? Przestaliśmy już cię oczekiwać, bo minęło tyle czasu, odkąd Claude napisał ci, gdzie zamieszkaliśmy.

– Ależ ja nie dostałam żadnego listu, przyjechałam tu na chybił trafił, nie znając waszego adresu.

– Przecież ja sama zanosłam na pocztę list Claude'a, od razu po naszym przyjeździe. Chyba ze dwadzieścia razy wychodziliśmy po ciebie na przystań, a dziś zamierzaliśmy opuścić tę wyspę.

Zjawienie się Emilienne drażniło Adilee w tym samym stopniu, w jakim Emilienne dotknął widok nas obojga u boku dziecka. Jej irytacja przybrała na sile, kiedy w pokoju, gdzie złożyła swój niewielki bagaż, ujrzała łóżko z dwiema poduszkami - niezbity dowód intymności zarazem cudzołóżnej, jak i małżeńskiej. Na jej twarzy odmalowało się wyraźne niezadowolenie. Kiedy na spóźnione zaproszenie rywalki zajęła miejsce przy stole, gdzie po chwili zjawiono się dodatkowe nakrycie, była biała jak ściana.

– To również twoja wina - powiedziała Algierka nieco już łagodniejszym tonem. - Powinnaś była nas powiadomić i nie kazać czekać na siebie tak długo. Nie przypuszczałam nawet, że po tej głupiej kłótni w Paryżu będziesz tak zwlekać z przyjazdem do nas.

– A kiedy już się zjawiłam - odparła Emilienne - to chyba tylko po to, aby ujrzeć widok jakże bolesny; was oboje, bawiących się

świetnie beze mnie, ale za to z dzieckiem.

Wstała i zaniósła się żalonym płaczem.

– Och, to zbyt okrutne, pozwólcie mi stąd wyjechać!

– Po co ten teatr! - powiedziała Adilee. - I pomyśleć, że wszystko z powodu jednego głupiego, zagubionego listu! A jedź sobie, skoro chcesz. Za to Claude'owi, Opportunowi i mnie bardzo się tu podoba... Prawda, Claude?

– Ale jeśli wyjadę, moja droga, to wiedz, że nie będziesz już miała prawa wstępu do domu na Brouillards!

Ta groźba nie była oznaką rozsądku. Adilee wyprostowała się natychmiast, z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

- Co słyszę? To w ten sposób rozmawiasz z kobietą, która podarowała wam dziecko! Zapamiętaj sobie raz na zawsze: mieszkanie na Brouillards jest tak samo moim domem, jak i twoim!

W ciągu tych kilku ostatnich dni Adilee zdołała mnie przekonać, że Emilienne to najbardziej nieznośna osoba na świecie. W tym też przekonaniu zabrałem teraz głos:

- Posłuchaj, Mimi, posuwasz się naprawdę za daleko, skoro obrażasz się na nas za coś, co właściwie wynikało z twojej winy, przez twoją niezgodność. Jesteś teraz z nami, a więc wszystko skończyło się dobrze, ale nie psuj nam zabawy, bo

i tak mamy zesputy przez ciebie cały tydzień.

Po raz pierwszy skarciłem Emilienne w obecności Adilee - i fakt ten dotknął ją bardzo boleśnie.

- Och! - odparła. - Widzę, że popadłam w niełaskę nie tylko u niej, ale również u ciebie!

Adilee natychmiast nabrała pewności siebie.

- Tak to wygląda, kiedy dwoje kochających się ludzi bierze sobie na kark byłą żonę! Gdyby Claude wiedział o tym trochę wcześniej...

„Była“ żona osłupiała.

— Co to ma znaczyć? Rozwód?

— To sprawa uzgodniona między nim a mną już od dawna! Zaprotestowałem, ale za późno. Emilienne straciła panowanie nad sobą.

- A więc taki los przeznaczyłaś dla mnie! Nareszcie przejrzałam cię na wylot! To twoje obłudne wtargnięcie w nasze życie! Ta komedia z ucieczką do Saint-Tropez, a potem z ponownym zjawieniem się w Paryżu! Ten teatr z dzieckiem! Wszystko po to, żeby zająć w ciążę i zostać żoną mego męża. I to ja sama

ściągnęłam sobie obrączkę z palca, aby podarować ją tobie! Czy nie widzisz sama, jakim jesteś potworem? A ty, Claude? Czy mam uznać cię za łotra czy też za durnia? Kim naprawdę jesteś, jeśli nie

marionetką sterowaną przez nędzną dziwkę? Słowa były ostre, ja jednak zachowałem spokój.

- Coś podobnego! - zwróciła się do mnie Adilee. - I ty pozwałasz, by obrażano mnie w ten sposób? Jedźmy na wycieczkę, tak jak to sobie zaplanowaliśmy, a ona niech sobie przez ten czas wszystko przemyśli, tak będzie najlepiej.

des Olbes Claude - Emilienne Po chwili wróciła w chustce na głowie i z małą walizeczką w rękę.

— Słyszałeś syrenę na statku? Już czas! Istotnie, była już druga i parowiec dał sygnał, że wkrótce odpływa.

— Mam nadzieję, że przynajmniej zaopiekujesz się małym do wieczora - zwróciła się Adilee do Emilienne. - Claude, idziemy?

Pobiegliśmy co sił. Na statku podniesiono już kotwicę, kapitan zawrócił jednak, aby wziąć nas na pokład. I w ten sposób - wbrew moim zamiarom - dokonała się tragedia mego życia. Porwanie Opportuna

Parowiec przybił na krótko do Port-Cros, a potem popłynął zygzakiem w stronę olbrzymiej, wznoszącej się ponad lazurową toń morza skały, która przywodziła na myśl wybieg dla zwierząt w ZOO; na jej powierzchni nie było jednak widać obrośniętych, brunatnych małą, lecz białe zarysy ludzkich ciał. A więc powiedziano nam prawdę: na ścieżce dostrześliśmy obok kilku mężczyzn w stroju Adama całą grupę młodych, nagich lub odzianych wyjątkowo skąpo dziewcząt, które natychmiast przykuły uwagę Adilee. Również w parowie, 132

znajdującym się na drodze do wsi Heliopolis, ujrzeliśmy mniej

lub bardziej obnażone amatorki słońca, maszerujące gęsiego.

Adilee zacytowała Kartezjusza, który radzi podróżnym, aby stosowali się do obyczajów kraju, w jakim się akurat znajdują, po czym zdjęła bluzkę, następnie spódnicę, wreszcie większą część tego, co miała jeszcze na sobie, a potem zażądała, abym również ściągnął z siebie zbyteczne ubranie, które szokowało coraz bardziej, w miarę, jak mijaliśmy kolejnych golasów. Nasze manatki zostawiliśmy więc w niedużej, wegetariańskiej restauracji, tam też zjedliśmy obiad, obsługiwani przez nagą - jeśli nie liczyć fartuszka - kelnerkę, a następnie, w nadzwyczaj zredukowanym odzieniu, zbiegliśmy stromą, wijącą się wężowato drogą na brzeg. Traf chciał, że przed nami przeskakiwała właśnie z kamienia na kamień wysoka, jasnowłosa kobieta, nie mająca na sobie więcej ubrania, niż my, i do złudzenia przypominająca Emilienne - może tylko miała trochę pełniejsze kształty. Adilee wyprzedziła ją, rzucając jej wymowne, pełne skrytej aprobaty spojrzenie. Następnie zwolniła kroku, nieznajoma objęła znowu prowadzenie, a mijając nas, odrzuciła do tyłu potok włosów. Szliśmy za nią w pewnym oddaleniu. Od czasu do czasu obracała się ku nam, pozornie bez celu, i zrywała jakąś łodyżkę czy kwiatek, biorąc je do ust. Kiedy znowu zrównaliśmy się z nią Adilee musnęła jej biodro. Kobieta zadrżała z lekka i odsunęła się na bok. Przysiedliśmy w pobliżu, a blondynka przeszła dalej, chociaż jej czujny wzrok pochwycił spojrzenie Adilee; pod jego wpływem zwolniła kroku. Spojrzałem z podziwem na jej mocne ramiona, gładkie plecy, kształtne pośladki i kuszące kolana. Raptem odwróciła się, zachwycając całym



bezwstydnym urokiem piersi o różowych pączkach oraz brzucha, pod którym migotał w słońcu jasny meszek. Podeszła wprost do Adilee i pocałowała ją w usta, przy czym wyraz jej niebieskich, surowych oczu nie złagodniał ani trochę. To, że kobiety, które ulegają tego typu pokusom, posługują się tak dobitnymi środkami porozumiewania, zdumiewa mnie po dzień dzisiejszy. Adilee wyraziła już zgodę - objęła tamtą w talii. Nieznajoma, wyższa od niej, padła w jej ramiona, po czym obie osunęły się na pustą plażę. Czym prędzej doskoczyłem do nich i nie myśląc nawet o tym, co robię, położyłem się na nie. Nasze wargi zetknęły się ze sobą. W pamięci zachowało mi się nie tyle pulsowanie obu języków, z których jeden dopiero poznawałem, co raczej jakieś dziwne wrażenie - oto po raz pierwszy uczestniczyłem w igraszkach miłosnych tria, które nie było naszym. Mimo to wszystko odbywało się bez kłopotów, tak jakby cała trójka była już ze sobą zgrana od dawna. Z pewną goryczą zacząłem się już zastanawiać, czy przypadkiem to, co uważałem za tak niezwykle i wzniosłe, nie było w gruncie rzeczy czymś banalnym i pospolitym. Z

znajdującym się na drodze do wsi Heliopolis, ujrzeliśmy mniej lub bardziej obnażone amatorki słońca, maszerujące gęsiego.

Adiiee zacytowała Kartezjusza, który radzi podróżnym, aby stosowali się do obyczajów kraju, w jakim się akurat znajdują, po czym zdjęła bluzkę, następnie spódnicę, wreszcie większą część tego, co miała jeszcze na sobie, a potem zażądała, abym również ściągnął z siebie zbyteczne ubranie, które szokowało coraz bardziej, w miarę, jak mijaliśmy kolejnych golasów. Nasze manatki zostawiliśmy więc w

niedużej, wegetariańskiej restauracji, tam też zjedliśmy obiad, obsługiwani przez nagą - jeśli nie liczyć fartuszka - kelnerkę, a następnie, w nadzwyczaj zredukowanym odzieniu, zbiegliśmy stromą, wijącą się wężowato drogą na brzeg. Traf chciał, że przed nami przeskakiwała właśnie z kamienia na kamień wysoka, jasnowłosa kobieta, nie mająca na sobie więcej ubrania, niż my, i do złudzenia przypominająca Emilienne - może tylko miała trochę pełniejsze kształty. Adilee wyprzedziła ją, rzucając jej wymowne, pełne

### Strona 77

skrytej aprobaty spojrzenie. Następnie zwolniła kroku, nieznajoma objęła znowu prowadzenie, a mijając nas, odrzuciła do tyłu potok włosów. Szliśmy za nią w pewnym oddaleniu. Od czasu do czasu obracała się ku nam, pozornie bez celu, i zrywała jakąś łodyżkę czy kwiatek, biorąc je do ust. Kiedy znowu zrównaliśmy się z nią Adilee musnęła jej biordo. Kobieta zadrżała z lekka i odsunęła się na bok. Przysiedliśmy w pobliżu, a blondynka przeszła dalej, chociaż jej czujny wzrok pochwycił spojrzenie Adilee; pod jego wpływem zwolniła kroku. Spojrzałem z podziwem na jej mocne ramiona, gładkie plecy, kształtne pośladki i kuszące kolana. Raptem odwróciła się, zachwycając całym bezwstydnym urokiem piersi o różowych pączkach oraz brzucha, pod którym migotał w słońcu jasny meszek. Podeszła wprost do Adilee i pocałowała ją w usta, przy czym wyraz jej niebieskich, surowych oczu nie złagodniał ani trochę. To, że kobiety, które ulegają tego typu pokusom, posługują się tak dobitnymi środkami porozumiewania, zdumiewa mnie po dzień dzisiejszy. Adilee wyraziła

już zgodę - objęła tamtą w talii. Nieznajoma, wyższa od niej, padła w jej ramiona, po czym obie osunęły się na pustą plażę. Czym prędzej doskoczyłem do nich i nie myśląc nawet o tym, co robię, położyłem się na nie. Nasze wargi zetknęły się ze sobą. W pamięci zachowało mi się nie tyle pulsowanie obu języków, z których jeden dopiero poznawałem, co raczej jakieś dziwne wrażenie - oto po raz pierwszy uczestniczyłem w igraszkach miłosnych tria, które nie było naszym. Mimo to wszystko odbywało się bez kłopotów, tak jakby cała trójka była już ze sobą zgrana od dawna. Z pewną goryczą zacząłem się już zastanawiać, czy przypadkiem to, co uważałem za tak niezwykle i wzniosłe, nie było w gruncie rzeczy czymś banalnym i pospolitym. Z

przykrością zorientowałem się też, że Adilee, bardziej zajęta swoją partnerką niż mną, jest nie tyle zazdrosna o moje hołdy, co raczej spragniona widoku starcia pomiędzy mną a jej nową rywalką. - No już, pośpiesz się trochę! - popędzała mnie. Chcąc nie chcąc, musiałem dokonać tego aktu na jej oczach. Potem usnąłem. Kiedy Adilee zbudziła mnie, spojrzałem na zegarek - była to pora, o jakiej statek miał odpłynąć. Puściliśmy się pędem, ale kiedy dobiegaliśmy do przystani, parowiec zniknął już w oddali.

- No i co z tego! Możemy tu przecież przenocować! - wzdrygnęła ramionami. - Mam nadzieję, że Emilienne zajmie się małym. A zresztą trochę nerwów i niepewności dobrze jej zrobi.

Nie mogłem ukryć zdenerwowania.

- Można by pomyśleć, Claude, że boisz się, by nie odeszła -  
dodała Adilee.

W „Pomme d'Adam“ spędziłem u boku Algierki ciężką noc.  
Nazajutrz o siódmej rano

wzięliśmy inny parowiec. Przesiadka w Port-Cros była  
niekorzystna, do

Porquerolles przybiliśmy niemal w południe. „Mas“ był już  
zamknięty. Wsunęta w

skrzynkę pocztową karta od Emilienne informowała nas, że  
klucz, wraz z

wiadomością od niej, możemy odebrać w „Arce Noego“.

Odchodząc od zmysłów, Adilee poleciała do gospody. Wkrótce  
wróciła i odczytała -

jak w delirium - cały list na głos:

„23 bieżącego miesiąca, 5 godz. rano Moi drodzy,  
daremnie czekałam na was wczoraj na przystani o ustalonej  
porze. Ponieważ nie

wiem, kiedy wrócicie, a mały jest cały skłuty przez komary,  
uważam, że zrobię

słusznie, spędzając z nim lato w górach. Bawcie się dobrze.

Do zobaczenia. Całuję Was Liii“

— Ha! - wykrzyknęła Adilee i z pasją zmięła list. - Sam  
wiesz, powinniśmy byli być bardziej ostrożni. Nie wolno nam było  
zostawiać Opportuna w jej rękach. Jestem pewna, że zawiozła go do  
tego cholernego Grave.

– Kłopot w tym, że właśnie nie możemy być tego pewni! Poza tym nie zostawiła żadnego adresu.

– Musimy więc zaryzykować. I pamiętaj, liczy się każda minuta. Och, jakie to okropne! Ona go porwała! Porwała moje dziecko! Moje dziecko, na śniegu, w rękach tej kreatury!

A widząc, że stoję oniemiały, wykrzyknęła:

- Chodź wreszcie, nie stój jak kłoda, poproś o rozkład jazdy!

Z trudem udało nam się dowiedzieć, że o 17.30 jest w Marsylii pociąg, który mógłby dowieźć nas do Grenoble przed północą. Gdybyśmy pojechali autobusem z samego rana, moglibyśmy być w La Grave około dziesiątej.

– A stąd do Marsylii? Sprawdź, szybko, szybko!

– Hyeres... Toulon...

Tak, znalazłem połączenie. Natychmiast wyruszyliśmy w drogę, najpierw statkiem, autobusem, potem pociągiem. W Grenoble Adilee chodziła całą noc po pokoju, od ściany do ściany, powtarzając ustawicznie: - Co za szaleństwo! Daj Boże, żeby ta wariatka go nie zabiła...

Kiedy rankiem następnego dnia przybyliśmy do La Grave, zaczęła szarpać mnie za rękę:

- Żeby ona tu tylko była! Ale jeśli ją odnajdziemy, trzymaj mnie z całych sił. Nie ręczę za siebie!

Pytaliśmy we wszystkich hotelach. W jednym z najodleglejszych dowiedzieliśmy się, że przed niecałą godziną przybyła

tu rzeczywiście autobusem z Briancon wysoka blondynka z małym dzieckiem. W tej chwili wypoczywa - w pokoju numer 8. Jednym susem Adilee znalazła się przed drzwiami, które otworzyła siłą, zamiast zapukać. Przysłonięte okna nie przepuszczały światła, ale mimo to dostrzegłem Emilienne, leżącą w ubraniu na łóżku.

– Złodziejka! Gdzie mały?

– Ależ on tam leży... - odparła moja żona, podnosząc się. -

Podejdź do mnie, uspokój się!

Usiłowała ująć za rękę rozwścieczoną Adilee.

– Jeszcze czego, mam być spokojna! Już owijała grubo naszego malca.

– A smoczek?

– Tu jest jego mały nesoser - odparła Emilienne. - Nie miałam nawet czasu wyjąć go z torby. Chodź, Adilee, chodź do mnie, kochana!

– Zostaw mnie w spokoju, ty podła kreaturo!

Dogoniłem ją na schodach. Obejmowała z całych sił Opportuna.

– Znieś mi torbę, bądź tak dobry!

– Claude, Claude, ratuj nas! Ona kradnie nam dziecko! - wrzeszczała wniebogłosy Emilienne.

– Przecież to jej dziecko - zauważyłem. Można by pomyśleć, że moja żona zapomniała o tym.

– A więc teraz pozbawia się mnie jeszcze tego! - zawołała głosem rozdzierającym serce.

Pech chciał, że w tym samym momencie przejeżdżał tędy autobus z wycieczką do Bourg-d'Oisans. Adilee pomachała ręką,

zapytała

kierowcę, czy znajdzie się jeszcze jedno miejsce dla „biednej matki z ciężko chorym dzieckiem“, i po uzyskaniu zgody podróżnych wsiadła do środka z Opportunem i jego całym bagażem.

– Jedziesz ze mną, Claude? - zapytała.

– Wiesz... - (ostatecznie nie mogłem posłużyć się tym samym pretekstem, by wsiąść do autobusu, a poza tym nie wypadało mi zostawiać Emilienne samej - teraz, gdy była tak załamana). - A dokąd ty właściwie jedziesz?

– Do Lyonu, Montee Neyret 7, trzecie piętro.

Przez pewien czas moja żona i ja siedzieliśmy w hotelu otępiali. Potem Emilienne wróciła na górę do swego pokoju i tam dopiero dała upust rozpaczy.

– Wszystko utraciłam - zaszlochała. - I dziecko i ciebie.

– A mnie się zdaje, że jestem tu z tobą! - zauważyłem.

– Na jak długo? Widzę przecież, że aż się trzęsiesz, by za nią polecieć. Gdyby zaczekała jeszcze godzinę... miałyby cię teraz przy sobie. Jest bardzo pewna siebie! Ale w jej sytuacji to zrozumiałe. Ojciec musi być tam, gdzie dziecko, prawda? A ja jestem tylko biedną, bezpłodną kobietą, w dodatku tak szaloną, że zgodziłam się, byś spłodził dziecko z inną!

Wyglądała bardzo żałośnie. A moje sumienie też nie było w najlepszym stanie.

– Gdybyś chociaż nie kazała na siebie czekać przez osiem dni! - powiedziałem.

– Ale ja nie wiedziałam przecież, gdzie wy jesteście. Tylko szczęśliwy przypadek sprawił, że zjawiłam się w końcu w Porquerolles!

– Jak to! Wysłałem do ciebie list od razu po przyjeździe tam.

– Klnę się na wszystko, co święte; nie otrzymałam żadnego listu. Kto zaniósł list na pocztę?

– Zdaje się, że Adilee.

– A więc na pewno nie wrzuciła listu do skrzynki. Zrobiła to umyślnie! Ach, teraz już wszystko rozumiem!

– Ale skąd przyszedł ci do głowy pomysł, żeby wyjechać z małym? Trzeba wczuć się w sytuację matki.

– A czy je nie jestem również matką?... Ona uciekła razem z tobą, drwiła ze mnie...

– Oto skutek.

– Och, co za nieszczęście! Gdybym wiedziała o tym wcześniej! Ale to jeszcze nie koniec tej sprawy! Podpisaliśmy pewną umowę dotyczącą Opportuna.

– Moja droga, obawiam się, że umowa sprzeczna z panującą u nas obyczajowością jest pod względem prawnym bezwartościowa.

Czego się spodziewasz? Pozwól powiedzieć sobie jeszcze raz: dziecko należy do kobiety, która wydała je na świat.

– A więc sprowadź tu z powrotem ich oboje, za wszelką cenę! Powiedz Adilee, że wszystko, co mam, łącznie z tobą należy do niej. Powiedz jej zresztą, co chcesz, najważniejsze, żebyśmy znowu zamieszkali razem wszyscy czworo.



– To wymaga czasu - wtrąciłem. - Przede wszystkim pojedę do Lyonu.

Byłem na tyle litościwy, że nie powiedziałem, jak bardzo wątpię w powodzenie mej misji. Zależało mi zresztą na tym, by spędzić z nią resztę tego tygodnia; dopiero na jej uporczywe nalegania wsiadłem wreszcie w poniedziałek, 28 sierpnia o dziewiątej do autobusu, który już po południu miał być w Lyonie. Towarzystwo w Lyonie

Montee Neyret, trzecie piętro... był to lyoński adres Tatiany, która jeszcze niedawno była w Saint-Tropez. Można było przypuszczać, że Adilee mieszka sama u swojej kuzynki, albo też, że ściągnęła ją do siebie. Nad tym właśnie zastanawiałem się, wchodząc do wysokiego, posepnego domu, którego spleśniała sień wychodziła na stopnie Cro-ix-Rousse.

Wracając do swojej kochanki należy liczyć się z różnymi niespodziankami, trudno jednak byłoby wyobrazić sobie moje osłupienie na widok olbrzymiego Murzyna, który na moje pukanie otworzył drzwi z tabliczką „Tatiana R...“, odsłaniając przy tym w dobrodusznym uśmiechu duże zęby. Uspokoilo mnie dopiero kwilenie Oppor-tuna. Zapytałem o Adilee i uprzejmy Haitańczyk (gdyż stamtąd właśnie pochodził) poinformował mnie, iż jest „w drodze“, gdyż razem z jego „dama“ poszły do miasta, wkrótce jednak wrócą. Jeżeli chodzi o niego, to został tu, aby popilnować dziecka.

Przedstawiłem się jako rodzic wspomnianego dziecka i dopiero wtedy zostałem do niego dopuszczony, po czym dowiedziałem się, że dobroduszny Murzyn, przyjaciel Tatiany jeszcze w Saint-Tropez,

otrzymał za niewielki czynsz klucze do jej mieszkania. Do Lyonu zwabił go angaż saksofonisty w jakimś nocnym lokalu niedaleko teatru. On i jego żona z prawdziwą przyjemnością przyjęli Adilee, poleconą w telegramie przez Tatianę, promieniał też na twarzy, kiedy zaoferował mi cygaro - odniósł bowiem wrażenie, że będziemy dobrymi przyjaciółmi.

Bawiłem go wiasnie rozmową na temat, tak uciążliwej dla ludzi o jego kolorze skóry, sekwańskiej mgły, gdy nagle do pokoju weszła Adilee, a tuż przed nią gruba, rudowłosa kobieta o niezwykle dużych piersiach, krótkich, masywnych udach, kanciastych pośladkach i wydatnych, owłosionych pachach. Sądząc po jej akcencie i zapachu, była z Marsylii. Adilee przedstawiła mi ją jako Estelle B., piosenkarkę - wyglądała raczej na zalotną gospodynię domową o zacięciu kelnerki w podrzędnej knajpie - którą zastała w mieszkaniu Tatiany, kiedy się tu sprowadziła. Fakt ten ucieszył ją niezmiernie, gdyż w ten sposób nie musiała się już obawiać samotności podczas oczekiwania na mój opóźniający się, ale przecież niewątpliwy przyjazd.

Mieszkanie kuzynki Adilee składało się z trzech niewielkich pomieszczeń. Kiedy po obiedzie udaliśmy się z Adilee do przydzielonego nam mniejszego z dwóch pokoiów, postarałem się - na tyle, na ile pozwalały mi niedyskretne odgłosy spółkowania tamtej mieszanej pary - przedstawić matce Opportuna całą sytuację.

— Przyjechałeś w samą porę - powiedziała. - Epiphane unosi się z byle powodu, a jego żona działa mi swoim gadulstwem na nerwy. I tak nie moglibyśmy tu zostać: Tatiana grozi, że wróci do mnie. A

przede wszystkim tutejsze powietrze nie jest odpowiednie dla Opportuna; ciągle tylko płacze i kaszle. Za kilka tygodni musimy być znowu w Paryżu...

– O ile nie wyjadę za trzy dni do La Grave - przerwałem jej.

– Chyba nie mówisz tego na serio? Miałbyś ponownie kłaść głowę pod topór, mimo że już raz uciekłeś przed katem? A poza tym są sprawy bardzo istotne - na przykład praca, zaniedbana ostatnio przez ciebie. Pamiętaj, że teraz masz na utrzymaniu nie tylko kobietę, ale i dziecko... Prawda, Opportunie?

Z nienaturalną, przesadną tkliwością tuliła do siebie i obcałowywała opatuloną

aż po nosk małą istotkę o twarzy wystarczająco pucołowatej, by pochlebić moim

ojcowskim uczuciom.

Wreszcie przeszedłem do propozycji Emilienne, ale Adilee odrzuciła ją

zdecydowanie.

– Nie rozumiem, jak możesz podejmować się tego typu misji po tym wszystkim, co się wydarzyło. Ta kobieta usiłowała ukraść mi dziecko, a nawet ciebie. Wiem, że pragnie mojej śmierci. Niech wystąpi o rozwód, a potem zobaczymy.

– Co zobaczymy?

– Czy będziesz miał chęć ożenić się ze mną. Nawiasem mówiąc... wiesz...

mogłabym bez trudu znaleźć sobie innego mężczyznę, chociaż

mam dziecko. Jeśli nie wierzysz, zapytaj Epiphane'a.

- Dlaczego Epiphane'a?
- Och, nie mówmy o tym, sam się przekonasz.

I rzeczywiście. Bardzo szybko zorientowałem się, że ów przybysz z Antyli, jakkolwiek trzy albo i cztery razy dziennie dymał przez godzinę swoją roślą marsylianekę, miał jeszcze potem chętkę na drugą kobietę. Łaził za Adilee z pokoju do pokoju i nie przepuszczał żadnej okazji, by otrzeć się o nią w przejściu lub spłoszyć swawolnym gestem, niczym małą dziewczynkę. Z czasem posunął się jeszcze dalej

- z niewinną miną wystawiał na zewnątrz przez rozporek palec wskazujący.

Adilee, śmiejąca się z tego wszystkiego, nie próbowała nawet zejść mu z drogi, a kiedy usiłował ją objąć, robiła unik dosłownie w ostatniej chwili. Jak wszyscy

czarni, również Epiphane był typem dobrodusznym; pogodnie i posłusznie reagował każdorazowo na „zabieraj te łapy!” albo „zajmij się lepiej Estellą“.

Byłem pewny, że Adilee nic sobie nie robi z Haitańczyka. Najwidoczniej te niesmaczne figle miały jedynie pobudzić mą zazdrość. Muszę przyznać, że jej zamiar się udał - kiedy wiedziałem, że jest w domu sama z Epiphanem, nie mogłem sobie znaleźć miejsca, gnałem z powrotem co sił, aby upewnić się, że nic się nie stało. Nie potrafiłem nawet ukryć przed nią swego rozdrażnienia. Ośmielona, prowadziła coraz dalej swą przekorną grę - doszło do tego, że nawet Estella traciła

humor, a z czasem zaczęła myśleć o rewanżu, kusząc mnie. Ja jednak nie paliłem się do tego, by odplacić Adilee pięknym za nadobne - nie uśmiechało mi się wyjadanie resztek po Murzynie

- a zresztą on nic nie zostawiał. Pewnego dnia Estelle usiłowała przekonać

mnie, że flirt jej towarzysza z moją panią zaszedł już za daleko, powinniśmy

więc pójść w ich ślady. Tylko w ten sposób możemy nauczyć ich rozumu. Wprawdzie nie udało jej się dotrzeć do mych ust, tłumaczyła mi jednak tak przekonywująco, jaki to olbrzymi błąd, zachowywać się bardziej powściągliwie niż tamci, że wreszcie z całą surowością skarciłem Adilee. Zachwycona skutecznością swej taktyki, Algierka stała się jeszcze bardziej podatna na uporczywe umizgi Epiphane'a, nie zaprzeczała też, że zaczyna zwracać na nie uwagę.

- Zanim wybiorę między tobą a nim - dodała - musisz się zdecydować. On jest gotów iść ze mną na koniec świata - i do tego razem z Opportunem. Zawsze marzył o tym, by mieć białe dziecko...

Nie zdecydowałem się wystarczająco szybko, a Adilee sięgnęła po środek bardziej drastyczny. Kiedy wieczorem 6 września wróciłem do domu - jak to robiłem ostatnio - zniemacka, ujrzałem ją w pokoju nieobecnej Estelli. Murzyn stał przed nią, oparty plecami o szafę, ona zaś obrabiała go językiem. Dawniej tak ohydny widok zmusiłby mnie może do ucieczki, daleko, byle dalej stąd. Ale Adilee była matką mego

dziecka, a w myślach widziałem ją już jako swoją żonę. Zazdrość wzięła górę nad

odrazą. Rzuciłem się ku niej i potrząsnąłem z całych sił, ponieważ jednak obsunęła się brzuchem na łóżko, pociągając mnie za sobą, ten olbrzymi Murzyn znalazł się tuż za mną. W tym momencie weszła Estelle; przekonana, że trafiła na wspólną zabawę, rozebrała się, obnażając swe zwiędłe, nieapetyczne ciało, po czym skoczyła czarnemu na plecy. Przypadkowy widz mógłby odnieść wrażenie, że ma przed sobą czterech muzykantów miejskich z Bremy.

Na szczęście ujrzałem tę groteskową scenę w lustrze. Ponieważ nie miałem chęci na zapowiadającą się rozpustę, wyrwałem się z oplatających mnie ramion, wymierzyłem Adilee siarczysty policzek i poleciłem, by spakowała rzeczy. Następnie chwyciłem walizkę i w towarzystwie dziecka i jego matki wyładowałem po wielu perypetiach w „Terminusie“. Kiedy wreszcie zamknęliśmy się w naszym pokoju, Algierka powiedziała:

- To musiało się stać, zwłaszcza po tym, co wyrabiałeś z Estelle. Ale to nic. Zapłacisz mi jednak za ten policzek. Żeby nie tracić czasu: jeśli nie chcesz, bym wróciła od razu na Montee Neyret, napiszesz teraz to, co ci powiem.

Stanęła za mną, przywarła całym swym nagim ciałem, opierając się dłońmi o moje

ramiona, i zaczęła dyktować:

„Lyon, środa, 6 września 1950 roku. Moja droga Emilienne!

Przyparty do muru koniecznością podjęcia decyzji, do czego sama mnie zmuszasz,

jak również nie mogąc wahać się dłużej w wyborze pomiędzy matką mego dziecka a

żoną, która właściwie nie znaczy już dla mnie nic, czuję się ku memu wielkiemu

ubolewaniu w obowiązku poinformować Cię o moim zamiarze powrotu do Paryża wraz z

Adilee i zamieszkania z nią, ale bez Ciebie, w domu na Brouillards. W tej

sytuacji wykażę pełne zrozumienie dla Twego pozwu rozwodowego. Jestem skłonny

wziąć na siebie całą winę i dojść z Tobą do porozumienia na zasadzie umowy

polubownej, we wszystkich punktach spornych, oprócz podjęcia na nowo naszego

współżycia.

Twój na zawsze oddany przyjaciel Claude“

- To właśnie typowa męska gburowatość! - zaopiniowała Adilee ułożony przez

siebie list.

Na kopercie wypisała wyraźnie adres, zakleiła ją i pobiegła na pocztę, aby wrzucić list do skrzynki - mogłem się spodziewać, że tym razem uczyni to naprawdę.

- To taka mała odpowiedź na jej list z Ouessant! - oświadczyła po powrocie. - A teraz - w drogę do Paryża! Nie możemy dopuścić, by ona zjawiała się tam przed nami.

Byłem posłuszny jak automat, działałem jak w transie, ale mimo całego szaleństwa

uświadomiłem sobie własne tchórzostwo, jak również niewątpliwą prawdę, że

motorem wszystkiego jest u mnie wyłącznie dzika żądza.

Kiedy jednak z tylnego siedzenia taksówki, w którą wsiedliśmy na Dworcu

Lyońskim, ujrzałem kraty naszego domu na Brouillards, zmieniłem zamiar:

- Do hotelu na rue de Louvois! - krzyknąłem do kierowcy.

Ale Adilee już wysiadła. Nie bez oporu przekroczyłem próg za nową panią domu, której pierwszą myślą było sprowadzenie ślusarza, aby wymienić zamek wejściowy na nowy.

Pozbywam się Emilienne

Na szczęście byłem nieobecny w domu, kiedy 8 września zjawiała się Emilienne, mogę więc - ach, cóż za obłuda! - twierdzić, że nie mam nic wspólnego z tym tchórzliwym postępkim, jakim było niewątpliwie wygnanie jej. Całą tę scenę znam jedynie z relacji Adilee, która - jak sądzę - zataiła jeszcze przede mną to, co najbardziej haniebne. Prawdopodobnie Emilienne, otrzymawszy zgodę na wstawienie swego bagażu do pakamery, zachowywała się bardzo



ugodowo, a nawet pokornie. Z braku innych argumentów zaoferowała wreszcie nowej władczyni za cenę zgody na jej przebywanie w tym domu część swego majątku. zaproponowała nawet, że będzie w pewnym sensie jej służącą.

– Pozwolić ci tu zostać! Żebyś znowu uprowadziła mi dziecko, jak tylko nie będzie mnie w domu!

– Czy nie wystarczy ci - zapytała moja żona - że wystąpiłam o rozwód?

– To drobiazg! Zaoszczędziłaś tylko Claude'owi przykrego obowiązku podjęcia pierwszych kroków, masz jednak za to o wiele mniejsze wydatki, gdyż on był tak przesadnie dobry, że zgodził się wziąć na siebie całą winę.

– Nie zapominaj, jak bardzo cię kochałam.

– Miłością pijawki!

– Spójrz na moje łyzy.

– To fałszywe łyzy!

– Ale przecież ty też mnie kochałaś!

– Zawsze bierzesz na serio to, co mówi się w łóżku?

– A więc chodziło ci tylko o Claude'a?

– Nawet głupi domyśliliby się tego już wcześniej!

– Ale z ciebie wyrachowana istota!

– Trzeba było też nauczyć się liczyć.

– Zjawiłaś się tu tylko po to, by zająć moje miejsce!

– A ty przyjechałaś mnie pod swój dach, aby móc mnie wykorzystać! Adilee odegrała przede mną scenę tej rozmowy

przytłaczająco realistycznie. Jeżeli mówiła prawdę, to w końcu w przepływie wspaniałomyślności pozwoliła Emilienne - która zasłużyła na zupełnie inne traktowanie! - zostać tu, pod warunkiem, że nie ruszy się ze swego kąta, póki nie zostanie „ułaskawiona“. Czy to jej wina, że tamta przybrała w końcu pozę obrażonej królowej i poszła sobie, zabierając oprócz swego bagażu jeszcze dwie spakowane naprędce walizki? Po dziś dzień zastanawiam się, dlaczego nie pozbyłem się od razu kobiety, która odkrywała swą perfidną broń z tak triumfującym cynizmem. Tu muszę jednak dodać, że Emilienne oddaliła się ode mnie w ciągu owych długich miesięcy rozwiązłego życia, a także później - nie tyle z powodu tego, co robiła, co raczej swych nie kończących się kłamstw. Wiedziałem, że nigdy już nie odnajdę w niej swej dawnej towarzyszki, którą zraniłem, gdyż i ona zraniła mnie, nie wierzyłem też, by te rany mogły się kiedyś zagoić. Z drugiej strony Adilee udało się wreszcie narzucić mi przekonanie, że Emilienne to rozhi-steryzowana komediantka i nieznośny mąciciel. Czyż ona, Adilee, nie była prawdziwą matką mego dziecka, z wszystkimi należnymi jej prawami, utrwalającymi jeszcze bardziej wdzięki młodszego ciała i uroki wyuzdania? A mimo to skapitulowałem dopiero po ostatniej scenie, burzliwszej niż wszystkie poprzednie. Zaczęło się od tego, że obarczyłem Adilee winą za najnikczemniejszy występki w moim życiu.

— Och - wykrzyknęła - chyba żartujesz?

— Zaklinam cię na wszystko, jeszcze nie jest za późno.

W odpowiedzi na te słowa zaczęła ustawiać na podeście schodów całe swoje obuwie oraz składać ubranie.

– Co robisz? - zapytałem.

– Ustępuję jej miejsca.

A jednak została. Mój opór ulotnił się, nie tyle z powodu siły jej argumentów, co raczej doskonałości pieszczot.

Nie uczyniłem nic, by oddalić Adilee lub odzyskać Emilienne, kiedy 23 września jakiś adwokat z rue de Ponthieu poinformował mnie, że na jego ręce wpłynęła skarga rozwodowa. Miałem właściwie

zamiar poprosić o zwłokę, ale Adilee nalegała. Doprowadzony przez nią przed oblicze sędziego przyznałem, że w swoim małżeńskim mieszkaniu utrzymywałem kochankę, matkę uznanego przeze mnie dziecka.

W pierwszych dniach listopada stanęliśmy naprzeciw siebie na sprawie pojednawczej w Pałacu Sprawiedliwości, żadne z nas jednak - ani moja żona ani ja

- nie ustąpiło ani na krok. Zmarszczone brwi Emilienne, która nie zawahała się oświadczyć, że rezygnuje z domu na Allee des Brouillards i zamieszka u krewnych w Ille-et-Vilaine, były wymowną wizytówką bretońskiej dumy. Kilku świadków

złożyło druzgoczące zeznania na mój temat, ale nie miało to wpływu na bezinteresowną postawę mojej żony. W końcu Emilienne zgodziła się - na mój

wniosek - zachować wszystkie swoje dobra ruchome i nieruchome. Następnie sędzia

oznajmił, że próba pojednania zakończyła się fiaskiem. Adilee  
czekająca na mnie  
w pobliskiej kawiarni, pogratulowała mi. Ale do końca życia  
prześladować mnie  
będzie obraz Emilienne, samotnej, przygarbionej i skulonej z zimna,  
kiedy  
przechodziła przez Boulevard du Palais z chustką nasuniętą na oczy i w  
ostatniej  
chwili odskoczyła na bok przed pędzącym samochodem.

10 listopada zjawiała się w domu z chmarą tragarzy, aby zabrać  
to, co należało do niej. Ja zaś rozpocząłem u boku Adilee - mutatis  
mutandis - nowe życie małżeńskie.

Tak więc Algierka grała teraz rolę przykładnej żony. Czy okres  
pociągu do kobiet należał już u niej do przeszłości? Abstrahując od  
pewnej pobożnej sprzątaczkii, przychodzącej do nas co jakiś czas, nie  
było widać na Brouillards innej osoby jej płci, ani nawet owych  
obojnaków, spośród których rekrutowali się dawniej jej przyjaciele.  
Żadnych podejrzanych listów, żadnych niepokojących telefonów,  
żadnych dwuznacznych wycieczek - co najwyżej jeszcze, aby nie  
dopuścić do całkowitego stępienia popędu, kilka nieprzyzwoitych  
książek, o których zresztą wyrażała się potem z wyraźnym  
lekceważeniem. Jedynie sodomia, którą zainteresowała się jeszcze w  
Sanary, intrygowała ją, była to jednak sodomia mieszczańska,  
rutynowa, wnosząca - jak to określiła Adilee - „nieco głębi w stosunki  
seksualne“. A jeśli od czasu do czasu wystawiała na pokaz swój

tyłeczek bez majtek, to tylko, by przypomnieć mi znowu, na czym polega głębszy sens mych osobistych zobowiązań. „W ten sposób jesteśmy zespoleni. To jest silniejsze niż cokolwiek innego. A poza tym - wielkie związki wymagają niezwykłych więzi“. Niezależnie od tego, dbała należycie o dziecko, dom i kuchnię. Jeżeli chodzi o prowadzenie domu, była owładnięta jedną żądzą: przewyższyć to wszystko, co oferowała Emilienne w dziedzinie sztuki kulinarnej i elegancji strojów. Z gorszym skutkiem naśladowała ją też w nieco wymęczonych intelektualnych rozmowach, do których tematy czerpała co tydzień z „Figaro Litteraire“.

Ten typ szczęścia nie przewyższał jednak wcale szczęścia, jakiego zaznałem przy Emilienne - wprost przeciwnie! Nawet jeśli sprawy łóżkowe przedstawiały się teraz trochę bardziej podniecająco (choć nawet najbardziej ekscytujący wariant odmienny traci urok, kiedy staje się rytuałem), to kulał trochę poziom naszych rozmów. Ani stopień inteligencji Adilee, ani jej wrażliwość czy wykształcenie nie pozwalały na wzniesienie się ponad powierzchowność. Nigdy jeszcze nie doskwierała mi bardziej owa samotność, która - jak powiadają - jest właściwa mężczyznom żonatym, a jej straszliwej pustki nie zdoła wypełnić ani sztuka ani dobrane towarzystwo.

Od mojej byłej żony nie miałem żadnego znaku życia, nie pozostała mi też po niej nawet jedna pamiątka! Pierwszą czynnością Adilee było całkowite przemeblowanie mieszkania na Brouillards, tak żeby zatrzeć wszelki ślad po swojej pokonanej rywalce. Następnie zaczęła robić wszystko, żeby zerwać ostatnią nić łączącą mnie z „tą

drugą“; nie kończące się wizyty u adwokatów miały przyspieszyć proces rozwodowy, co do którego mogły istnieć obawy, że prędzej znudzi mi się to wszystko, niż usłyszymy tak upragnione orzeczenie. Wypadki następowały bardzo szybko po sobie, jak gdyby Adilee obawiała się, że nie wytrzyma długo tak nadludzkiego obciążenia, jakie stanowiły jej przykładowy teraz tryb życia i liczne cnoty pani domu i matki zarazem. Wrażenie takie odnosiłem wielokrotnie w Marlotte, dokąd pojechaliśmy, bo pieniądze, jakie zostałyby po przeprowadzonym rozwodzie, chciałem odłożyć na podróż do Włoch. Podczas gdy ja malowałem na

brzegu Mare-aux-Fees, Adilee ślęczała nad jakąś robótką w renesansowym hotelu obok śpiącego Oppor-tuna. Kiedy wychodziliśmy razem, denerwowała się widząc, że zżymam się na ślimacze tempo, jakie musieliśmy zachować przy wózku pchanym po piaszczystej, leśnej ścieżce. Zbyt często mówiła o Lago Maggiore i Wenecji, abym miał uwierzyć, że czuje się szczęśliwa. - Ach - westchnęła któregoś dnia - oby to wesele nadeszło jak najszybciej! - Jak to, czyżbyś się nudziła? - zapytałem. - Nie, oczywiście że nie, ale boję się, że ty się nudzisz. A to byłoby o wiele gorsze.

Krótko mówiąc, mieliśmy dosyć czasu, aby zanudzić się wzajemnie do woli. Nawet spieszny powrót do Paryża nie pomógł tu nic a nic, nie wyleczył nas z nudów letniego wypoczynku, ale za to ogłoszono wreszcie werdykt - rozwód z mojej winy przy jednoczesnym uwolnieniu z obowiązku świadczeń finansowych. Ku zdumieniu Adilee nie okazałem szczególnej radości, kiedy 1 października 1951

roku otrzymałem odpowiednią wiadomość telegraficzną z Pałacu Sprawiedliwości. - Co to za mina! - powiedziała z wyrzutem. - Można by pomyśleć, że się nie cieszysz. A przecież już za kilka tygodni będę mogła iść obok ciebie z wysoko podniesioną głową.

Zaledwie zarejestrowano mój rozwód, zaczęliśmy wykorzystywać pierwsze dni okresu, w jakim prawo dopuszcza zawarcie nowego związku - związku, który wzbudził mą trwogę niczym najstraszliwsza katastrofa. Sypiałem potwornie, robiłem co mogłem, by odwlec ów fatalny moment. Czułem się jak skazaniec, kiedy 12 listopada - po gorączkowym zgromadzeniu wszelkich niezbędnych dokumentów - zostałem zaciągnięty przed oblicze urzędnika stanu cywilnego z XVIII okręgu, który bez większego entuzjazmu ogłosił, że uznaje nas za płaczonych więzami małżeńskimi. Owa legalizacja, która prawdopodobnie nie miała zmienić wiele w najbliższej przyszłości, przyniosła mi przynajmniej znajomość z przyrodnim bratem Adilee, przybyłym z Blidy po to, by - jak powiedział - zastąpić pannie młodej rodziców.

Stanowił coś pośredniego pomiędzy francuskim Algierczykiem i Włochem, nazywał się Riccardo - dandys i kupiec handlujący daktylami, który jednak, sądząc po wyglądzie, mógłby trudnić się równie dobrze przemytem narkotyków czy też handlem żywym towarem.

Podczas naszego pożycia we troje czy we dwoje Adilee zawsze skąpiła informacji o swojej rodzinie, ja zaś nie męczyłem jej pytaniami. Z jej słów wynikało, że jest córką owdowiałego i żonatego na nowo

kolonisty, że z powodu różnicy zdań z macochą na temat jej kształcenia przyjechała - zanim mnie jeszcze poznała - z Algieru do Lyonu. Nieroztropna paplanina Riccarda odsłoniła prawdę zupełnie inną. Po pierwsze ojciec Adilee nie był posiadaczem ziemskim, lecz zarządcą, który nie wywiązywał się ze swych obowiązków jak należy. Po drugie nigdy nie był mężem matki Adilee, lecz po prostu przegnał ją po dwudziestu latach współżycia na kocią łapę, aby ożenić się następnie z matką Riccarda, którego uznał za swego syna. Z takim to podejrzanym człowiekiem i jego nie wzbudzającą zaufania towarzyszką, jaskrawo wyszminkowaną dziewczyną a imieniu Ra-chela, przyszło mi spożyć weselny posiłek w „Coquet“. Ponieważ jednak ze strony mojej rodziny nie było nikogo, (musiałem nawet poprosić mego zapomnianego już niemal przyjaciela, aby zgodził się być świadkiem na ślubie), ucieszyłem się prawie na widok wchodzącej do środka kuzynki Tatiany, która została zaproszona do Paryża. Koszty podróży miała pokryć Adilee, czyli ja.

Tatiana zasypała nas nowinkami: w butiku „Z wszystkiego po trochu“ pod koniec sezonu brakowało już po trochu wszystkiego;

Gustaw, dla którego muza poezji surrealistycznej nie była ostatnio zbyt łaskawa, rozmyślał o wcześniejszym niż zwykle powrocie do Paryża ze swoim młodym Meksykaninem. Wyraziła też żal, że nie ma przy sobie dwóch lub trzech innych ekstraseksualistów. Ale Adilee nie odczuwała chyba zbyt ich braku, była bowiem zajęta trzymaniem w ryzach nieco wulgarnych Riccarda i Racheli. Tego samego wieczoru wyruszyłem z nową madame Claude des O. w kierunku Lago Maggiore



i Wenecji. Riccardo i Rachela musieli wracać nazajutrz do Marsylii, Tatiana zaś, pod opieką której zostawiliśmy Oppor-tuna, urządziła się na dwa tygodnie w domu na Brouillards. Godne podziwu zaufanie! A jednak po powrocie z wycieczki, podczas której częściej zaglądaliśmy do przewodnika turystycznego niż do „Sztuki miłości“, zastaliśmy dziecko całe i zdrowe. Wyglądało na to, że jego kaprysy dały się Tatianie we znaki tak mocno, że postanowiła oddać je do bardzo surowo prowadzonego żłobka. Cienie w nowym małżeństwie Przez kilka następných tygodni Adilee rozmyślała - jak się zdawało - przede

wszystkim o tym, jak zawładnąć moim kontem w banku. U schyłku roku 1951 zgrzyty! Zaproponowała abyśmy spędzili sylwestra w „Tabarin“: - Już tak dawno nie widziałam, jak tańczą kankana. To by mnie odmłodziło. Nie musimy przecież, mój drogi, siedzieć tu jak szczury w norze tylko dlatego, że jesteśmy małżeństwem! Wszyscy dokoła nas idą się zabawić.

– A mały? - zapytałem.

– Och, przez jedną noc może spać sam. A zresztą Tatiana miała rację - nam też należy się od czasu do czasu dzień wytchnienia...

Najwidoczniej lalka, którą rozpieszczała od miesięcy, już się jej znudziła. 1 lutego 1952 powiedziała do mnie: - Naprawdę myślisz, że to taka przyjemność, być tu więzionym przez cały dzień? Ach, za czasów Emilienne nie nudziłam się aż tak bardzo!

- A ja - odparłem - nie miałem przy sobie za czasów Emilienne  
zrządzającej zony,  
która umie się tylko uskarżać.

Zerwała się z miejsca.

- No, to idź do niej, do tej twojej Emilienne, skoro tak ci jej brak!

Trzeciego dnia wieczorem, kiedy wróciła późno do domu, oznajmiła, że była na

Saint-Germain-des-Pres „na spotkaniu z przyjaciółmi“. Odważyła się nawet

wspomnieć o owym poecie, Gustawie, oraz

jego kochaniu z oceanu. - Należy mi się chyba jakaś dawka cyganerii - powiedziała. - To mieszczańskie życie... och, wiesz, w zasadzie... - uczyniła ruch, jakby odrzucała coś daleko.

W ciągu kilku kolejnych dni otrzymała sporo listów, we wtorek cztery strony od Tatiany, która informowała o korzystnej likwidacji interesu. Ponieważ jej mieszkanie w Lyonie było nadal zajęte przez „Epiphane’ów“, poprosiła o udzielenie jej gościny na Montmartre, „dopóki nie zadomowi się w stolicy“. Daremnie protestowałem przeciw tej inwazji. - A przecież dawniej bardzo ją cenileś, również jej przyjaciół i dom - wytykała mi.

W końcu pojechaliśmy 2 marca na Dworzec Lyoński po Tatianę. Już piątego okazało się, że odzyskała swe złowieszcze panowanie nad naszym domem. Nie chodzi nawet o to, że „kuzynki“ (potem dopiero dowiedziałem się, że nie łączą ich żadne więzy krwi) nawiązały ze sobą od razu stosunki seksualne, nie; ale stały się konspiracyjnymi współniczkami pod każdym względem. Zaczęło się od ironicznych uwag Tatiany na temat naszego stylu życia, nie mającego

według niej przyszłości. Pewnego dnia, kiedy sądziła, że nie ma mnie w pobliżu, usłyszałem jej słowa: - Moja droga Adilee, w końcu zgrzybiejesz z tym swoim starcem. Trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby w samym środku epoki egzystencjałizmu brać sobie na kark brodatego dziadka i bachora. Ale już wiem, o co chodzi: on posługuje się dzieckiem, aby korzystać z twojej urody i młodości.

– Ale ja wcale nie mam zamiaru przyprawiać mu rogów - odparła naiwnie Adilee.

– Kiedy ty wreszcie zrozumiesz, że dziś liczy się tylko suma szczęścia poszczególnych ludzi i że zdrada małżeńska jest usprawiedliwiona, gdyż

uszczęśliwia dwoje, a tylko jedno czyni nieszczęśliwym! Ale nie o tym chciałam z tobą porozmawiać. Proszę, przeczytaj to drobne ogłoszenie w „Figaro“: „Stateczna pani z najlepszymi referencjami mieszkająca na północnym skraju miasta, zajmie się zdrowym małym dzieckiem. Warunki do uzgodnienia. Oferty zgłaszać pod: Nr 40317“. Dlaczego nie miałabyś napisać pod ten numer 40317?

- Ja miałabym pozbyć się dziecka? - obruszyła się Adilee. - A w jaki sposób utrzymałabym wtedy Claude'a przy sobie?

Taka odpowiedź pozwoliła mi sądzić, że przynajmniej zapyta mnie o zdanie. Nic z tego! Kiedy 19 marca wróciłem do domu, stwierdziłem, że Opportun zniknął. Mogliśmy odwiedzać go teraz w niedzielę, tak często, jak będziemy mieli na to ochotę, w Soisy-sous-Montmorency, wiejskie powietrze miało wpływać korzystnie na młode

płuca dziecka, a spokój - na nasze nerwy.

Moje uczucia wobec tego mazgajowatego malca znacznie osłabły, kiedy przeszła mi już pierwsza euforia dumnego ojca, ale to dziecko i Adilee, o którą nadal byłem zazdrosny, stanowili moje najwyższe dobro. Czyżbym miał dla mego potomka poświęcić wszystko, nawet pierwszą żonę, zdecydowanie lepszą od drugiej - po to, aby w końcu utracić i jego? Ta zniewaga skierowała me myśli znowu na niedocenioną, pokrzywdzoną przecież Emilienne. Nie zrobiłem żonie żadnej sceny, to nie miałyby sensu; dowiedziałbym się tylko, jaki to ze mnie nieludzki ojciec

- w zamian za to zaszyłem się w swą samotność, gdzie bez przeszkód mogłem kontemplować, własne wyrzuty sumienia i żal.

Co się działo z moją biedną, kochaną Emilienne, odkąd wpadłem w sidła prostackiej zmysłowości? Ona przecież kochała je, kochała to dziecko, które miało być teraz porzucone. Nie, za żadną cenę nie powinienem był pozwolić na takie potraktowanie tej czulej i wrażliwej towarzyszkii mego życia! Ale gdzie

mogłem ją teraz odnaleźć? Wiedziałem tylko, że po rozstaniu szukała schronienia u swojej starej, słabowitej ciotki w Dol, której nawet nie znałem. Od tamtej pory przestałem otrzymywać jakiegokolwiek wieści - albo też Adilee niszczyła jej listy.

Na początku kwietnia jeden z tych przypadków, jakie rozsądek nie chce uznać za ślepe, sprawił, że spotkałem madame Safo, spacerującą z psem. Czytelnik z pewnością pamięta ową pośredniczkę

niektórych miłostek, której Emilienne zawdzięczała kontakt z Wandą Pergolaską. Poznałem ją od razu - te żółte oczy i nieczystą cerę - i zapytałem o losy jej akcji pomocy dla „kobiet pozbawionych kobiet“.

– Och - odparła stara - stale odnajdujemy nieszczęśliwe kobiety i jeśli tak dalej pójdzie, owa pomoc dla opuszczonych lesbijek okaże się bardzo przydatna.

– A propos, czy nie wie pani przypadkiem, co słyhać u mojej byłej żony, pani klientki i - jeśli mogę tak powiedzieć - przyjaciółki z Allee des Brouillards?

– U pańskiej byłej żony? Ach, to lesbijka z prawdziwego zdarzenia. No cóż, w ubiegłym tygodniu, mój drogi panie, otrzymałam od niej pocztówkę z Saint-Michel. Napisała mi tylko kilka słów: mieszka w Bretanii, odzyskała „równowagę ducha, ale czuje się jak więzień“. Jeżeli pójdzie pan ze mną do mego biura, dam panu jej adres.

Piesek przestał już unosić łapę, udałem się więc z madame Safo do jej salonu,

gdzie po złożonym przeze mnie przyrzeczeniu o dotrzymaniu sekretu podyktowała mi

tajemny adres:

„Madame Emilienne de K. de T. de S. de N.

u kapitana Hermance de Champsale

Zamek de la Grignotiere

Bonnemain (Ile-et-Vilaine)“,

Uznałem, że wiadomość ta jest warta dwóch tysięcy franków, bez żalu wyjąłem więc

z portfela banknoty, wkładając na ich miejsce kartkę z adresem;  
nie sądziłem

zresztą, bym miał z niego skorzystać w najbliższym czasie.

W domu obnosiłem się nadal ze swoją urażoną miną, a poza ta  
skierowana była

głównie przeciw obecności Tatiany, która udawała z kolei, że  
nie wie, o co

chodzi - nad domem na Brouillards zbierały się już jednak nowe  
chmury. Pewnej

kwietniowej niedzieli, po powrocie z przygnębiającej wycieczki  
do

Soisy-sous-Montmorency gdzie dowiedzieliśmy się, że  
Opportun ma problemy ze

swoimi mlecznymi zębami, otrzymaliśmy telegram od Estelle,  
lyońskiej towarzyszk

życia Epiphane'a, saksofonisty:

„Epiphane stracił tu posadę. Przyjeżdżamy czwartek godz.  
22.20.“

Tym razem nie miałem zamiaru dać się zaskoczyć i zrobić z  
siebie głupca.

— Dla pani to dobra nowina, droga Tatiano - powiedziałem. -  
Nareszcie będzie pani mogła wrócić do swego mieszkania na Montee  
Neyret.

— W każdym razie pójdę w czwartek na Dworzec Lyoński -  
odparła.

– Mam nadzieję, że nie po to, by przyprowadzić tu swoich przyjaciół.

– Ale na Groix-Rousse nie miał pan nic przeciw zamieszkaniu z nimi.

– Nigdy, rozumie mnie pani? Nigdy - powiedziałem tak stanowczo, jak już dawno nie reagowałem - ta para nie przestąpi progu mego domu!

– Chciałeś chyba rzec - naszego domu! - zauważyła zgryźliwie Adilee.

– Nie chciałabym siać tu zamętu - wtrąciła Tatiana. - Jeżeli macie się pobić z mego powodu, to wolę od razu wynieść się stąd.

– Nigdy bym ci tego nie wybaczyła - krzyknęła Adilee. - Wprost przeciwnie; musisz tu zostać, aby mnie popierać.

– Czy to bunt? W takim razie ja przeprowadzam rewolucję - jestem zmuszony wezwać panią, Tatiano, aby zamieszkała pani ze swoją hałastrą, gdzie się pani żywnie podoba, byle nie tu!

– Mógłby pan przynajmniej wyrażać się z większym szacunkiem o moich znajomych. To, że nic tu już nie znaczę, odkąd nie potrzebujecie opieki do dziecka, zauważyłam już wcześniej. Żegnaj pana. Do widzenia, moja droga.

Spakowała szybko walizki i zatrzasnęła za sobą drzwi.

- Wspaniale! - odezwała się Adilee. - Skoro nie wolno mi przyjmować u siebie tych, których lubię, zacznę spotykać się z nimi na mieście.

Tego wieczoru, kiedy do Paryża przyjechali Epiphane i Estelle,

czekałem na nią daremnie o zwykłej porze - wróciła do domu dopiero o drugiej w nocy. Przez kilka kolejnych tygodni wychodziła coraz częściej - i to bez uprzedzenia. Czasem przyrządzała mi wieczorem jakiś posiłek, częściej jednak zdarzało się, że czekałem na nią do północy, a nawet dłużej. Kiedy przy naszych coraz rzadszych i coraz bardziej wymuszonych pojednaniach w łóżku pytałem, jak spędza czas, odpowiedziała: - Mówiłam ci przecież, z przyjaciółmi.

- A gdzie się z nimi spotykasz?

— W Saint-Germain oczywiście. Epiphane i Estelle mieszkają w hotelu Madison.

— A więc jednak nawiązałeś kontakt z tym Murzynem?

— Skoro to mnie bawi! - odparła, pokazując mi język.

Wspomnienie owego okropnego wieczoru na Montee Neyret podnieciło mnie do tego stopnia, że zapomniałem o przepełniającej mnie złości i okazałem jak bardzo jej pragnę. Potem nazwała mnie swoim „dużym głuptaskiem“, bo naprawdę uwierzyłem, że zadaje się z tym Murzynem, i zmusiła mnie, bym ucałował jej niewinną dłoń. Był to ostatni przebłysk miłości, którą zazdrość trzymała tak długo przy życiu, wkrótce jednak miała ją zabić.

W środku nocy z 2 na 3 maja poczułem nieodpartą chęć udania się taksówką na Saint-Germain, gdzie zamierzałem przeszukać wszystkie lokale. Po „Florę“ i „Deux Magots“ miałem już obejrzeć „Rhumerie Martiniàlaise“, gdy nagle ujrzałem wychodzącą stamtąd trójkę ludzi, którzy na pierwszy rzut oka nie pasowali do tych, o jakich mi chodziło, a mimo to zaintrygowali mnie: gruba, walcowata



Murzynka w chustce na głowie w żółte i niebieskie prążki, odziana w długą, odpowiednią do tego szatę trzymała pod ręką dwóch młodych ludzi, wątych w porównaniu z nią. Idąc za nimi, widziałem kolczyki Murzynki; dyndały miarowo nad jej obnażonymi ramionami. Przyśpieszyłem kroku i już miałem wyprzedzić tę grupkę, kiedy raptem wydało mi się, że w jednym z owych młodych ludzi rozpoznaję rysy Adilee, a jednocześnie zdradziło ją brzmienie jej nieco ostrego głosu. i Spojrzenie, jakie rzuciłem na drugiego mężczyznę, przekonało mnie, że to jasnowłosa Estelle, w męskim, źle dopasowanym garniturze. Teraz można już było bez trudu odgadnąć, że ową Murzynką, idącą z nimi pod rękę, jest Epiphane. O ile widoczne pod turbanem włosy, nie różniące się niemal u czarnych kobiet i mężczyzn, mogły jeszcze

stwarzać pewne złudzenia, to na pewno nie spełniały tej roli ani wypchane biodra i piersi, ani zbyt nienaturalny falset.

Cała trójka weszła po schodach do „Club Antillais“ (wstęp wyłącznie dla wtajemniczonych!). Oczekałem moment kiedy czarny odzwierny w czerwonej czapce, sprawdzający karty członkowskie, odwrócił się w inną stronę i przemknąłem obok niego do środka. Piwnica była ponura i pełna dymu, na ławkach widziałem niewyraźne jasno - i ciemnoskóre postacie, złączone w pary. Powiodłem wzrokiem po całym szeregu białych kobiet i kolorowych mężczyzn, którzy spoczywali w bezruchu na poduszkach - poruszały się tylko ich ręce, błędzące gorliwie po plecach partnerów i niżej. W głębi sali „moja“ gruba Murzynka zabawiała się z dwoma zalotnikami; ich policzki opierały się o jej ramiona, a lewa ręka jednego i prawa drugiego stykały

się jawnie w określonym miejscu pod zadartą spódnicą. Gruby Szwajcar o twarzy lubieżnika rozpoczął z nimi rokowania, usłyszałem jak Estelle mówi sztucznie niskim głosem: - Hermafrodyta. - Czy to możliwe, że obie kobiety, udając alfonsów, oferowały temu naiwniakowi fałszywego obojnika w postaci Epipha-ne'a? Szwajcar odliczył już dla nich kilka banknotów, a potem nachylił się, aby wymacać pod materiałem owo podniecające zgrubienie. Niestety w tym momencie ujrzał mnie Murzyn, jakkolwiek rozkosz przysłoniła mu już oczy mgłą, i trącił ostrzegawczo swoje współniczki. Spódnica fałszywej Murzynki opadła błyskawicznie z powrotem, zawisła jednak z przodu, jakby zaczepiła o coś sterczącego. Dłonie fałszywych młodzieńców umknęły spiesznie na boki. Przywitałem się z nimi na odległość i odszedłem, wyglądało jednak na to, że ich spłoszyłem, dostrzegłem bowiem, że wychodzą na zewnątrz. Przeszli na drugą stronę ulicy i zniknęli za drzwiami hotelu „Madi-son“, skąd Adilee wyłoniła się w kobiecym ubraniu dopiero po dłuższym czasie. Kiedy stanęła na rogu i zamachała ręką, by przywołać taksówkę, podszedłem do niej.

– A więc to tak, panie d'Adilee! Teraz handluje się kolorowymi kobietami!

– Nie zgrywaj się, idioto! Mużna by pomyśleć, że nie znasz życia. Z czego oni mieliby żyć, ci biedacy?

– Niech sobie żyją ze swoich łajdactw, proszę bardzo, nie chcę jednak, byś maczała w tym palce!

– Och, wiesz, to, czy jesteś z tego zadowolony czy nie, obchodzi mnie tyle, co nic.

Mówiła spokojnie, głosem kobiety, która postawiła wszystko na jedną kartę. Zakryłem dłonią jej usta:

- Tym razem przebrałaś miarkę - krzyknąłem. - Naszą umowę, z której ja wywiązywałem się dotąd bez zarzutu, uważam za rozwiązana. Od tej pory możesz sobie robić, co chcesz. Co do mnie, wyjeżdżam jutro rannym pociągiem.

- Wspaniale, wracaj do swojej starej! Mam już dosyć tego wiszącego nade mną

miecza Damoklesa i życia zakonnicy, jakie chciałeś mi narzucić! A więc jutro śpisz poza domem? Świetnie, ja w każdym razie spędzę dzisiejszą noc w hotelu „Madison“.

I rzeczywiście: wróciła i weszła do środka, nie zatrzymywana przez nikogo. Mogłem ją sobie teraz tylko wyobrazić, jak leży naga między tymi dwiema wstrętnymi kreaturami. Pojechałem do domu i nastawiłem budzik. Za dziesięć dziewiąta z rana wsiałem do pociągu do Rennes, zdecydowany za wszelką cenę odzyskać moją dobrą, utraconą tak nierozsądnie żonę. Porażka w Bretanii

W Dol przesiadłem się i bez przeszkód dotarłem do Bonnemain. Po pełnej godzinie marszu dotarłem przed zamek skryty w zielonej gęstwinie. Dosyć mały, ale niezwykle gęsty park otoczony był żywopłotem z trzmieliny i głębokim rowem. Na tabliczce przeczytałem nazwę „La Grignotiere“. Ciągająca się na przestrzeni dwustu metrów aleja wiodła od furtki do drzwi domu. Zadzwoiłem. Otworzyła mi

jakaś głuchoniema służąca i wydając niezrozumiale, gardłowe dźwięki zaprowadziła mnie do innych drzwi, w jakich stała natychmiast wysoka, chuda kobieta o krótko ostrzyżonych czarnych włosach i wyniosłej, kościstej twarzy. Zwiędła cera, wyraźne zmarszczki i odznaczające się żyły zdradzały wiek; miała pewnie sześćdziesiąt lat. Krój spokojnej garsonki, jak również węzeł krawatu miały w sobie coś męskiego. Wrażenie to potęgowały nikle wąsiki, rosnące nad zapadłymi, ale grubymi wargami oraz rozetka Legii Honorowej w dziurce od guzika. Wprawnym okiem rozpoznałem w niej natychmiast lesbijkę - co potwierdził chłód bijący z jej głosu, kiedy zwróciła się do męskiego intruza:

- Słucham? Z kim mam zaszczyt?

Uprzejme słowa nie były w stanie mnie zwięść. Jej skłonności były aż nadto

widoczne po ogólnym napięciu, które - można by rzec - sięgało od wrogiej

mężczyznom pochwy aż po bezkrwiste wargi.

Przedstawiłem się jako dawny przyjaciel madame Emilienne de K. de T. de S. de

N., która z pewnością znajduje się teraz w tym domu.

Kobieta jakby zmieszana się:

— Tak, oczywiście, madame de K. przebywa teraz u mnie, ale w tej chwili wypoczywa i wątpię nawet, czy... Czy pan przybył może w sprawach handlowych?

— Coś w tym rodzaju - odparłem.

- Ale madame de K. jest rozwiedziona, nieprawdaż?
- Tak, jestem jej eks-małżonkiem.
- Cóż, proszę wejść, monsieur - powiedziała owym typowym dla przedstawicieli dawnej Francji tonem, w jakim mieszały się uprzejmość i wrogość. - Proszę spocząć, a ja zapytam madame de K., czy będzie mogła pana przyjąć.

Sposób, w jaki szła przede mną, zdradzał, że ma sztuczną nogę. Zniknęła na schodach, ja zaś powiodłem wzrokiem po salonie, gdzie portrety udekorowanych medalami wojskowych, wiszące na ścianie szable i obrazy o tematyce batalistycznej prezentowały spadkobierczynię owych licznych trofeów jako córkę przynajmniej wyższego oficera. Nad fortepianem dostrzegłem oprawiony w ramkę dyplom honorowy starszej siostry, kapitan Hermance de Champsale, która w trakcie walk w Indochinach, kiedy to musiała opatrzyć rannego na polu bitwy, sama utraciła nogę. Inny dokument przedstawiał ją jako przewodniczącą Stowarzyszenia Inwalidów Wojennych. W tym jednak momencie dobiegła mnie z pokoju nade mną przytłumiona dyskusja, która bez reszty zaprzątnęła mą uwagę:

- W końcu on był moim mężem! - mówił znajomy głos. - Nie mogę odmówić mu spotkania ze mną, skoro aż tu przyjechał...

- A kto mógł mu powiedzieć, że tu jesteś? Przecież przyrzekłaś mi, że nigdy się o tym nie dowie!

- Niezależnie od tego, w jaki sposób zdobył ten adres, mówię ci jeszcze raz - skoro przyjechał tu, musiało wydarzyć się coś bardzo ważnego.

– Ale ja nie chcę, żeby coś się wydarzyło.

– Tak, wiem, Hermance, to twój dom, możesz więc zamknąć przed nim drzwi. Ale nie od mojego pokoju.

– Mam do tego prawo w obawie przed skandalem. Czy wszyscy mają zacząć myśleć, że przyjmujemy tu teraz mężczyzn?

– Jednakże, mój były mąż...

– To prawda, nie mogę ci zabronić, zobaczyć się z nim. Ale pamiętaj o tym, że jestem tu obok i że słyszę każde słowo.

W chwilę później czyjaś ręka odsunęła na bok kotarę, zasłaniającą schody. Na wypastowanych stopniach pojawiła się Emilienne, tak zmieniona, że mimo naszych dwudziestu lat małżeństwa mógłbym zakochać się w niej od nowa. Miała pełniejsze kształty, bardziej poważne, niemal uroczyste rysy, w każdym razie jej cera była doskonała. Obca była mi tylko kokieteria jej stroju, na przykład zielona chu-

des Olbes Claude - Emilienne stka, widoczna w dekolcie szlafrocza, która miała imitować krawat - czuło się, że te wdzięki są obliczone na gust kobiety, że nie są przeznaczone dla mężczyzny. Usiadła naprzeciw mnie.

– Wprawiasz mnie w zdumienie - powiedziała. - Myślałam, że jesteś u swojej egzotycznej przyjaciółki. Czyżby cię rozgniewała? A może odwiedziłaś mnie tylko przypadkowo, aby powiedzieć mi, jak czuje się mały?

– Mały czuje się świetnie - odparłem. - Ma dobrą opiekę, rosną mu już zęby. Ale mówią o niesnaskach z kobietą, która - niestety

- zajęła twoje miejsce, przejawiasz zadziwiającą zdolność przeczuwania.

– Bo to było łatwe do przewidzenia! - odpada Emilienne tonem tak obojętnym, jakby rozprawiała o pogodzie.

– Jeżeli o mnie chodzi, to bardzo żałuję tego, co się stało, możesz mi wierzyć.

– Spóźniony żal!

– Ale głębszy, niż myślisz - powiedziałem, ścisząc głos - tym bardziej, gdy widzę cię teraz tak piękną, tak odmienioną, tak podniecającą... Spiesznym ruchem obciągnęła suknię, którą w zapale podsunąłem wyżej, na uda.

– Mów głośniej, proszę cię. Nie mam nic do zatajenia przed panią kapitan. Odniosłem wrażenie, jakbym uderzył głową o mur - niewidzialny, lecz nie do przebycia. Świadomość, że nie mogę dotknąć kolana kobiety, którą przez tyle lat miałem przy sobie w łóżku, zbiła mnie z tropu, a następnie rozżłościła.

– Żarty na bok! - szepnąłem. - Gdzie moglibyśmy spotkać się i porozmawiać bez przeszkód? Chodzi o całą naszą przyszłość!

– Powiedziałam już, nie próbuj żadnych sztuczek! Madame de Champsale ma prawo uczestniczyć w naszej rozmowie. Muszę cię prosić, abyś zgodził się na jej obecność, wtedy sytuacja nie będzie tak kłopotliwa. Hermance! Hermance zjawiała się przy nas błyskawicznie, co świadczyło, że musiała stać przez cały czas tuż za kotarą.

– Może napije się pan herbaty, monsieur? Kawalek tortu? Emilienne często opowiadała mi o panu i jestem niezmiernie

wdzięczna, że obrzydził pan jej mężczyzn raz na zawsze. Jakikolwiek żal ma do pana, ja ze swej strony z prawdziwą radością wyświadczyłabym panu jakąś przysługę. Głuchoniema jędrza wniosła herbatę. Madame de Champsale stanęła za plecami siedzącej Emilienne i ostentacyjnie położyła dłoń na szyi mojej byłej żony. 154

– Przed wszystkim - powiedziałem i odchrząknąłem - przynoszę wieści o dziecku, którym madame de K. interesowała się przez dłuższy czas.

– To stara, niemiła historia! - odparła Hermance. - Ale może zechciałby pan sprecyzować cel swojej wizyty, monsieur! To dobrze, że przyniósł pan wieści o swoim dziecku i o małżeństwie; zwłaszcza te ostatnie świadczą o tym, że poniósł pan zasłużoną karę. Gdyby jednak nosił się pan z zamiarem powrotu do przeszłości, to muszę panu zakomunikować, że użyję wszelkich środków, aby do tego nie dopuścić. Uczynię tak w interesie Emilienne, to oczywiste, ale również przez wzgląd na łączące nas teraz ze sobą więzi, nieprawdaż, kochanie?

– Tak, najdroższa - odparła tamta posłusznie, jakby wypełniała rozkaz.

– Czyżby chodziło o więzi cielesne? - zapytałem.

– Właśnie o nie, monsieur - zagrzmiała Hermance - panu zaś, który pierwszy uświadomił żonie jej skłonności, nie przystoi podawać w wątpliwość wartości takich uczuć. Powinien pan czuć się szczęśliwy, widząc ją dziś w rękach wystarczająco silnych i przyzwoitych, by podbudować ją na nowo, po tym, jak pan zamierzał wrzucić ją do rynsztoka. Ale, moja droga - zwróciła się do Emilienne, ściskając ją za



ręce - czy nie byłabyś tak dobra i zostawiła nas samych na kilka minut? Zdaje się, że muszę omówić z tym panem kilka spraw, które nie nadają się dla uszu młodych kobiet.

Emilienne wyszła z pokoju, A Hermance odprowadziła ją, aby upewnić się, że będzie wystarczająco daleko od nas. Po chwili wróciła i przeszła od razu do sedna sprawy:

- No cóż, monsieur, przyjechał pan po to, by wy badać sytuację.

Oto ja, pani, jestem bogata, cierpiąca i samotna. Potrzebna mi była dama do towarzystwa i znalazłam

ją w pobliskim zamku, gdzie przy zmarłej potem na białaczkę ciotce usiłowała

zapomnieć o swoim wielkim bólu. Opowiedziała mi całą swoją nieszczęsną

historię, wiem więc wszystko o panu, jak również o tej nikczemnej kobiecie,

która wodziła pana za nos. W ostatniej chwili udało mi się powstrzymać Emilienne

od popełnienia samobójstwa, a po śmierci ciotki przeprowadziła się do mnie.

Cóż

jeszcze mogę panu powiedzieć? Poznałyśmy się i rozumiemy bardzo dobrze,

zawarliśmy też związek małżeński, w którym wzajemny szacunek liczy się

bardziej,

niż wszelkie inne uczucia. Jestem córką generała, monsieur, jak

również

katoliczką. Chyba domyśliłby się pan tego, nie widząc nawet tej szabli.

Pochodzę

z rodziny, która w sprawach religii i honoru nigdy nie godziła się na żadne

### Strona 89

des Olbes Claude - Emilienne kompromisy. Jeśli więc powiem panu, że Emi-155 lienne jest moją żoną, potraktuje pan tę wiadomość bez wątpienia z całą powagą.

– Oczywiście - odparłem - jakkolwiek nie widzę żadnego związku między wiarą katolicką a tego rodzaju stosunkiem.

– A jeśli powiem panu, że aprobeuje go nasz wspólny spowiednik, że udziela nam rozgrzeszenia, pod warunkiem, że będziemy zawsze działać w duchu miłości do bliźniego? Jeśli powiem, że na własne oczy widziałyśmy, jak figurka Madonny z Lourdes na nasze pytanie, czy postępujemy słusznie, wiążąc się ze sobą, skinęła twierdząco głową? Bardzo proszę, zapomnijmy o tych dawnych, sztucznych podziałach płci i wróćmy do przypadku Emilienne. Pan, mon-sieur, opuścił ją dla dziwki, rzucił na pastwę najbardziej niebezpiecznych nurtów, pozbawił wsparcia moralnego, a w pewnym sensie nawet materialnego. Czy to nie oznacza, że oddał ją mnie? Dlatego przybył pan tu w najbardziej odpowiedniej chwili; mogę bowiem powierzyć panu bardzo ważne zadanie. Chodzi o to, by uświadomić madame de K., że całe moje życie, całe ciało i cały majątek należy do niej, że może być pewna, iż za mego życia i później też

będzie znajdować się w sytuacji godnej pozazdroszczenia - pod warunkiem, że będę mogła liczyć na jej ab-so-lut-ne przywiązanie, na ab-so-lut-ną wierność. Powiem wprost: ja sama nosiłam mundur wojskowy i podczas gdy pan w Paryżu dokonywał swych bohaterskich czynów w łóżku, ja znajdowałam się w pobliżu Dien Bien Phu. Oto misja, mon-sieur, jaką panu powierzam. Jeżeli wywiąże się pan z niej należycie, będzie pan mile widzianym gościem kapitana Hermance de Cham-psale.

– Nie wiem... - wyjąkałam - ... czy jestem godzien... Pani kocha ją tak bardzo?

– Tak jak jedna kobieta potrafi kochać drugą. Poza tym wśród nas, oficerów, bardzo silnie rozwinięte jest uczucie zazdrości. Chyba rozumiemy się, prawda? Proszę podać mi dłoń, monsieur.

Wyciągnąłem ku niej zwiotczalą rękę, po czym Hermance wskazała na zegar, na którego wahadle pod insygniami cesarskimi widniało słońce Austerlitz.

- Kolacja o 19.15, jak w wojsku. Proszę dać mi trochę czasu, a oswoję  
Emilienne  
z pańską obecnością u nas. Jutro po obiedzie powie pan jej to, o czym z panem rozmawiałam.

W tej oto osobliwej atmosferze zostałem dopuszczony wieczorem, przy wodnistej zupie i skąpo okraszonym makaronie, do towarzystwa dwu adeptek zimnego, spartańskiego sofizmu. Wcześniej położyłem się do łóżka z baldachimem, przydzielonego mi na

pierwszym piętrze wieży, ale nie mogłem się opanować. O pierwszej zakradłem się na palcach pod drzwi pokoju, gdzie - jak wiedziałem - leżały 156

obie kochanki. Czy zbudziło je skrzypnięcie podłogi? Po chwili usłyszałem prowadzoną półgłosem rozmowę: Emilienne: - Śpisz?

Hermance: - Nie. Nie mogę przestać myśleć o tym upiorze, który nas dziś nawiedził. A ty? Czy nie jesteś oszołomiona? Emilienne: - Och, Hermance! Co ci przyszło do głowy?

Hermance: - A czego się spodziewałaś? To silniejsze ode mnie, jestem po prostu nieufna. Nie widziałaś, jak on pożerał wzrokiem twoje usta i ramiona! Emilienne: - Ale przecież dałaś mu do zrozumienia, że należę do ciebie. Hermance: - Bądź spokojna, nie pozostawiłam mu co do tego żadnych złudzeń. Zastanawiam się jednak, jak mogłaś żyć z istotą tego gatunku?

Emilienne: - Nie powinnaś się na niego złościć, najdroższa, gdyż w pewnym sensie to on rzucił mnie w twoje ramiona. Czy mam zdjąć koszulę?

Usłyszałem trzask kontaktu, w szparze pod drzwiami pojawiła się smuga światła. Obie milczały przez chwilę, a potem dobiegł mnie znowu głos żeńskiego oficera:

— Mimo to wolę nie gościć pod tym dachem żadnego mężczyzny. Osobnicy tej płci są zawsze zdolni do mordowania innych... Co to był za odgłos? Gdyby nie to, że odczepiłam już nogę, poszłabym sprawdzić.

— Czego się obawiasz?

– Wyobraź sobie, że chciałbyś posiąść cię na moich oczach. Wolałabym już umrzeć, niż ujrzeć coś takiego!

– Bądź spokojna. Claude to okropny śpioch, a drzwi są zamknięte na zasuwę... Ale powiedz, dlaczego nie założyłaś dzisiaj swojej rozety na lewą pierś? To szalenie podniecające, widzieć ją na gołym ciele!

– To dlatego, że byłam trochę roztargniona, myślałam o tym twoim nieboraku, czy tak będzie lepiej? Po chwili usłyszałam „pu-pu-pu“, co mogło stanowić odgłosy pocałunków na sutku.

– Trochę głębiej, bądź tak dobra! - odezwał się niski głos.

W tym momencie tuż obok mnie przemknął szczur. Ponieważ bałam się, że zaalarmuje kobiety, wycofałem się spieszenie do swego pokoju.

## Strona 90

-Czy wie pan, monsieur - zapytała Hermance przy śniadaniu - że między pańskim pokojem a naszym odkryłam ślady stóp?

Zrobiłem nieokreślony gest, mający oznaczać, że nie wiem o co chodzi.

- Są kobiety - mówiła dalej pani kapitan - które lubią być podglądane. Ale ja nie cierpię ciekawskich!

Skarcony w ten sposób, zachowałem milczenie i cały ranek spędziłem samotnie w parku. Po obiedzie, na który podano frykadele cielejące ze szczawiem, Hermance udała się ostentacyjnie na

odpoczynek, pozostawiając mnie i Emilienne przy kawie.

– Kochanie - wyszeptalem, ujmując ją w talii i próbując daremnie obnażyć jej ramiona i piersi - zaklinam cię: uciekaj z tego więzienia. Potem zrobimy wszystko, co zechcesz, ale teraz chodź ze mną, chodź!

– Puść mnie w tej chwili! - wykrzyknęła. - Zostaw mnie w spokoju! Wracaj do tej przeklętej mulatki, może ona cię zechce, ale mnie zostaw w spokoju!

W pokoju zjawiała się nagle Hermance. Jednym ruchem zdjęła ze ściany szablę swego ojca, generała, potem jednak rzuciła ją na sofę.

– Nie, monsieur, pan nie zasługuje nawet na to, abym się z panem zmierzyła! Czy tak zachowuje się gość? Coś podobnego! To ja podejmuję pana jako gościa, powierzam poufną misję, a pan za to wszystko usiłuje ukraść mi żonę!

– Proszę mi wybaczyć - powiedziałem - ale przyzwyczajenie...

– Nie, to żadne przyzwyczajenie. Proszę przyjąć do wiadomości, monsieur, że tu u nas nie ma miejsca dla jakiegoś tria. W moim domu musi panować całkowita czystość moralna. Idziemy zawsze prostą drogą. A teraz chciałabym powiedzieć coś pańskiej byłej żonie. Emilienne, ja sama wykonam misję, jaką powierzyłam temu panu, i proszę cię, abyś odpowiedziała mi w jego obecności. Jeżeli zostaniesz ze mną, uczynię cię moją żoną i wyłączną spadkobierczynią, przepiszę też na ciebie oficjalnie połowę mojego majątku.

– A ja, Emilienne - wtrąciłem - ożenię się z tobą po raz drugi, jeśli wyjedziesz ze mną, a w ogóle obdarzę cię dawnym szacunkiem i

uczynię naprawdę wszystko, aby naprawić zło, jakie ci wtedy wyrządziłem.

Emilienne uścisnęła mocno dłoń pani kapitan Hermance.

- Zostaję! - powiedziała.

Wojskowy uścisk dłoni był odpowiedzią na jej gest. Mój los był przesądzony, porażka sprawiła, że pozostała mi już tylko ucieczka. Głuchoniema gospodyni odprowadziła mnie aż do końca alejki. Z wysokości schodów zewnętrznych pilnowały mnie dama o ciemnych włosach i cudowna blondynka, która nie należała już do mnie. Przekraczając bramę, odwróciłem się i ujrzałem końcowy moment ich pocałunku weselnego.

- Są kobiety - mówiła dalej pani kapitan - które lubią być podglądane. Ale ja nie cierpię ciekawskich!

Skarcony w ten sposób, zachowałem milczenie i cały ranek spędziłem samotnie w parku. Po obiedzie, na który podano frykadele cielejące ze szczawiem, Hermance udała się ostentacyjnie na odpoczynek, pozostawiając mnie i Emilienne przy kawie.

— Kochanie - wyszeptałem, ujmując ją w tali i próbując daremnie obnażyć jej ramiona i piersi - zaklinam cię: uciekaj z tego więzienia. Potem zrobimy wszystko, co zechcesz, ale teraz chodź ze mną, chodź!

— Puść mnie w tej chwili! - wykrzyknęła. - Zostaw mnie w spokoju! Wracaj do tej przeklętej mulatki, może ona. cię zechce, ale mnie zostaw w spokoju!

W pokoju zjawiała się nagle Hermance. Jednym ruchem zdjęła ze ściany szablę swego ojca, generała, potem jednak rzuciła ją na sofę.

– Nie, monsieur, pan nie zasługuje nawet na to, abym się z panem zmierzyła! Czy tak zachowuje się gość? Coś podobnego! To ja podejmuję pana jako gościa, powierzam poufną misję, a pan za to wszystko usiłuje ukraść mi żonę!

– Proszę mi wybaczyć - powiedziałem - ale przyzwyczajenie...

– Nie, to żadne przyzwyczajenie. Proszę przyjąć do wiadomości, monsieur, że tu u nas nie ma miejsca dla jakiegoś tria. W moim domu musi panować całkowita czystość moralna. Idziemy zawsze prostą drogą. A teraz chciałabym powiedzieć coś pańskiej byłej żonie. Emilienne, ja sama wykonam misję, jaką powierzyłam temu panu, i proszę cię, abys odpowiedziała mi w jego obecności. Jeżeli zostaniesz ze mną, uczynię cię moją żoną i wyłączną spadkobierczynią, przepiszę też na ciebie oficjalnie połowę mojego majątku.

– A ja, Emilienne - wtrąciłem - ożenię się z tobą po raz drugi, jeśli wyjedziesz ze mną, a w ogóle obdarzę cię dawnym szacunkiem i uczynię naprawdę wszystko, aby naprawić zło, jakie ci wtedy wyrządziłem.

Emilienne uściśnęła mocno dłoń pani kapitan Hermance.

- Zostaję! - powiedziała.

Wojskowy uścisk dłoni był odpowiedzią na jej gest. Mój los był przesądzony, porażka sprawiła, że pozostała mi już tylko ucieczka. Głuchoniema gospodyni odprowadziła mnie aż do końca alejki. Z wysokości schodów zewnętrznych pilnowały mnie dama o ciemnych



włosach i cudowna blondynka, która nie należała już do mnie. Przekraczając bramę, odwróciłem się i ujrzałem końcowy moment ich pocałunku weselnego.

Przyjęcie na Brouillards

Czwartego maja przyjechałem z Dol pociągiem popołudniowym i tuż po północy

znalazłem się przed moim domem na Brouillards. Z pewnym zdumieniem ujrzałem, że

wszystkie okna są oświetlone i uświadomiłem sobie, że już wtedy, gdy skręcałem w

naszą ulicę, dobiegł mnie jakiś niezwykły gwar, i to z mojego domu. Wyjąłem

klucze i otworzyłem furtkę. Przechodząc przez ogród, usłyszałem chór jakby

rozbawionych biesiadników - nad resztą męskich i kobiecych głosów wznosił się

przenikliwy tembr Adilee. Trafiłem akurat na zakończenie sprośnej piosenki:

„Nie pie...sz jej, zięciu?

Ach, powiedz, dlaczego?

Toż ona już twoja,

Nikogo innego.“ i nieuchronną odpowiedź:

„Tak, lecz gdy tylko wy...ę twą córkę,

To ona natychmiast...“

Przykucnąłem obok schodów. Szczelnie zaciągnięte podwójne

kotary pozwalały

dojrzeć jedynie część tego, co działo się wewnątrz. Gruby materiał tłumił głos

Algierki, która zaintonowała pierwszą strofę wyliczanki:

Ależ gorąco tu, w tej dziurze,

odepnę zatem jeden guzik.

Piosenka obfitowała w śmiałe oferty. Sepleniący głos, prawdopodobnie mego

niby-szwagra Riccarda, kontynuował wierszyk:

Jeśli odepniesz pierwszą haftkę,

ja zdejmę swoją marynarkę.

Teraz odezwała się Tatiana, poznałem ją po południowym akcencie:

Jeżeli ściągniesz marynarkę,

zrzucę spódnicę, no i halkę. Potem poznałem głos Murzyna

Epiphane'a:

Jak tylko będziesz bez haleczki,

ja zdejmę, zaraz swe porteczki. Zaraz po nim zabczała Estelle,

jego jasnowłosa

towarzyszka:

Zdejmij spodnie, mój kochany,

a ja zrzucę z siebie stanik.

Nosowa, typowa dla Amerykanina wymowa, zdradziła teraz Jim-my'ego,

niezapomnianego „kumpla“ Gustawa, poety:

Skoro biust masz obnażony,  
ja zdejmuję kalesony.

Brzmiący z arabska świergot Racheli, mojej niedoszłej półszwagierki,

odpowiedział:

Świetnie, zdjąłeś kalesony, a ja ściągam pantalonny.

To oświadczenie pozostało bez dalszego ciągu. Gustaw zaczął wprawdzie:

Skoro zdjąłeś już majteczki zabrakło mu jednak pomysłu i rymu, aby dokończyć wierszyk.

Wspinając się na palce, wpatrywałem się pożądlawie w scenę ogólnej rozbieranki,

jaka towarzyszyła deklamacji. Muszę przyznać, że istotnie wszyscy obracali słowa

w czyn - poczynając od Adilee, która pierwsza rozpięła bluzkę.

Po czwartym

dwuwierszu wszyscy byli już nadzy, oprócz dwóch czy trzech osób, nie

nadażających za rytmem. Jak na tak pasjonującą scenę, stanowczo zbyt wiele

umykało mej uwadze; za wszelką cenę musiałem dostać się do środka. Przecież

ostatecznie miałem swoje prawa jako pan domu, występowałem więc nie tylko jako

człowiek lubieżny. Korzystając z hałasu, który zagłuszał me  
kroki, wślizgnąłem  
się do przedsiönka. Nie opisałem jeszcze, jak wyglądał teraz  
dom na Brouillards,  
odkąd Adilee urządziła go na nowo. Korytarz na parterze  
przedzielony był dwiema  
orientalnymi portierami. Pierwsza, tuż za progiem, tworzyła  
kącik na wieszak,  
druga zakrywała schody. Pomiędzy nimi znajdowało się coś w  
rodzaju gabinetu,  
ozdobionego miedziorytami. Po lewej stronie znajdowały się  
podwójne drzwi do  
dawnej jadalni i salonu - oba pomieszczenia przekształcone były  
teraz w jeden  
duży pokój. Kanapa pod jedną ścianą i sofa pod drugą  
pozostawiały jeszcze  
wystarczająco dużo miejsca na spory stół i dwa masywne fotele.  
Odchyliłem trochę  
na bok pierwszą portierę i ujrzałem kilka nagich postaci. Oprócz  
tych, których  
rozpoznałem już po głosie, dostrzegłem jeszcze trójkę  
ekstraseksualistów z  
Saint-Tropez: Jean-Paula, Jean-Claude'a i Marie-Claire.  
Rozpoczęła się właściwa  
ceremonia.

Stół, rozsunięty przedtem do posiłku, ustawiono teraz pod ścianą. Na środku sali znalazł się fotel, w którym usiadła Adilea, przodem do oparcia, z głową opuszczoną i nogami przewieszonymi przez poręcz. Na drugim fotelu, umieszczonym tak, że tworzył wraz z pierwszym coś w rodzaju wanny, usiadła okrakiem Wanda, z tyłkiem uniesionym nieco do góry. W ten sposób zadbano o wstęp do najrozmaitszych pozycji, które były dopasowane do najbardziej wymyślnych odmian rozpusty i w których egoistyczny zapal każdego z uczestników orgii dostosował się do altruistycznej harmonii całości.

Wypięte postacie centralne, leżące postacie peryferyjne oraz klęczące lub przykucnięte sylwetki między jedną częścią a drugą formowały jakby ozdobny fronton świątyni Zeusa gdzie centaurów i lapitów zastępowali święci kochankowie z fresku w Khajuraho - układ uczestników tworzył dzieło o olimpijskiej wręcz harmonii. W Indiach, gdzie genitalia obdarzone nazwami „linga“ i „yoni“ mają wartość ozdobną, kompozycja ta wyglądałaby na logiczną i przyzwoitą. Niestety niewczesny ruch zburzył układ linii, Wanda i Adilee przewróciły się, co spowodowało, że ta wspaniała konfiguracja rozpadła się, a na dywanie zapanował ogólny chaos ciał. Rozpoczęły się najróżnorodniejsze manewry, w trakcie których każdy usiłował, w miarę swych sił, wprowadzić statek do portu albo samemu zaoferować przystań. Teraz chodziło już tylko o to, aby wziąć i dać możliwie jak najwięcej - z przodu i od tyłu. Poszczególne części stopiły się w jedną całość, spójną jak mrowisko. Scena, jaka z pewnością mogła zachwycić artystę, nawet gdyby była to tylko płaskorzeźba... Przywodziła na myśl

zdolnego do akrobacji Polytaokoon, prehistoryczne zwierzę o dwunastu grzbietach i dwudziestu czterech pośladkach. W dziedzinie etyki można by ją uznać za groteskową alegorię rozpusty. Piramida składająca się z kontrastujących ze sobą kolorów skóry, figura, jaką tworzyły ciała chude i tłuste, gładkie i owłosione - masa, która pulsowała, zmieniając kształt w zależności od tego, w jakim stopniu sterzące części ciała dostosowały się do zagłębień u partnerów - wkrótce ów monstrualny twór był tak ścisły, że nie weszłaby tam nawet jedna ręka.

Nie mniej intrygujące byłyby dla muzyka odłósy. Słysząc było uderzenia ciała o ciało, dźwięki wydawane przez ssące wargi, jęki bolesnej rozkoszy, gorączkowe dyszenie, sapanie, urywany śmiech, rzężenie, szlochanie, przekleństwa, a nieraz słowa:

- Czyj to tyłek? - i pytający wgryzał się w ciało, aby móc zidentyfikować osobę po okrzyku.

Ktoś inny wołał: - Kogo tu mam, do diabła?

- Na pewno nie papieża!

Czy muszę jeszcze mówić o zapachu unoszącym się w pokoju? Ten wielogłowy mamut przypominał pod tym względem menażerię, przykry fetor wielbłąda mieszał się z gryzącym odorem lwa, smród kozła z piżmem pantery, zapachy wydzielane z szyi, pach i genitaliów, woń żywicy, majeranku i fiołków - wszystko to łączyło się z zapachem wina, tworząc prawdziwą symfonię dodekafoniczną.

Raptem owa dygocząca gorączkowa ciżba rozpadła się. Jedni

chrząkali jak świnie, inni parskali jak morsy, jedni spluwali, drudzy krwawili. Ktoś odpychał czyjeś ciało, aby zawładnąć pośladkami innego, tam znowu czyjeś wargi sunęły łączywie od jednego do drugiego sąsiada. Ten i ów odsuwał się na bok, trzymając się za obolały tyłek lub pocierając podbite oko. Formowały się już pary i trójki. Jimmy i Gustaw padli na sofę, zagrzewani przez Adilee klaskaniem

w dłonie i rytmicznymi podrzutami bioder. Na kanapie Wanda wlewała szampana w imitującą naczynie Tatianę, aby po chwili wychłęptać wszystko łączywie. Pragnienie doprowadziło rozpustników do butelek, z których wypijali wyborny szampan jak wodę, a potem szli po schodach na górę, gdzie szukali łóżka, aby przespać rausz, lub pojemnika, aby się wysuszać. Moje położenie stawało się coraz bardziej niebezpieczne, zwłaszcza że niektórzy mówili już o wyjściu na świeże powietrze, a w takim przypadku z pewnością natknęliby się na mnie. Na razie mogłem się jeszcze ulotnić. Popełniłem największe głupstwo, jakie można sobie wyobrazić - dałem się zauważyć.

Wszedłem do salonu, gdzie zabawiały się jeszcze dwie grupy: Gu-staw-Jimmy i Adilee oraz Wanda z Tatianą. Estelle wymiotowała do klosza na ser. Epiphane, masturbując się z całkowitym bezwstydem, trwał w budzącym grozę pogotowiu.

- Hola! - zawołałem donośnie. - O ile wiem, ten dom należy do mnie. Nie pozwolę, by zamieniano go w burdel!

Byli tak zaskoczeni, że znieruchomieli: Adilee w swoim tańcu brzucha, Wanda w lubieżnym chłęptaniu, Estelle w trakcie kolejnych

mdłości, Epiphane w swej ekstazie. Dźwięk mego głosu i cisza jaka potem nastąpiła, skłonił tych z góry do zejścia na dół. Miałem teraz siedmiu pijanych dzikusów przed sobą, a za plecami pięciu innych. Nie zdając sobie sprawy z tego, co mi grozi, zacząłem od nowa.

– Jazda, ubierać się, ale już, bo sprowadzę policję! Groźba sprawiła, że w tamtych wstąpiło znowu życie.

– Masz szczególnie upodobanie do gniewnych wystąpień - powiedziała Adilee.

– Out! - wykrzyknął Jimmy. - Back to America!

– On jest tu trzynasty! Może przynieść nam pecha - zauważyła Wanda.

– Poznają go - dodał Jean-Paul. - To ten hetero...

– Nie - sprostował Jean-Claude. - To ten grupowy lesbijczyk z „Saint-Tropp“!

– Rozebrać go! - zawołał Gustaw.

Na moje nieszczęście większość zaaprobowała ten zamiar. Część obnażała mnie od góry, część od dołu, i wkrótce miałem już na sobie tylko skarpetki i podwiązki.

- A la cazerole! - pisał radośnie Riccardo.

Ponieważ wszyscy oprócz Estelle (która jednak została, aby przyjrzeć się dokładnie) ucieszyli się z tego pomysłu, rzucono mnie na sofę twarzą w dół. Wśród głośnych wybuchów śmiechu pchnięto na mnie Murzyna, wyposażonego hojnie w olbrzymią męskość: był teraz niczym taran, uderzający w mur, jaki ja uosabiałem.

Przejęty niesłychaną zgrozą i bólem usłyszałem jeszcze tylko



przeraźliwy krzyk Estelle:

– Szybko! Dajcie coś, żeby zatamować krew!

– Tam, w apteczce - odparła niedbale Adilee. Zużyto cały sztyft ałunu, zhańbił mnie jeszcze bardziej.

– Zostawmy go teraz, niech odpocznie - powiedział Gustaw.

Wyszedł pierwszy. Adilee położyła dłonie na jego ramionach i poczekała, aż Epiphane oprze swoje ręce na niej. Inni poszli w ich ślady i w ten sposób cała dwunastka utworzyła łańcuszek, śpiewając niezbyt zgrabnym chórem: Znowu jedna szyba zbita, a szklarz jest tuż, tuż. Znowu jedna szyba zbita, a szklarz poszedł już! Stworzenie nowego tria

Tylko ten, kto doświadczył podobnego losu, zrozumie, jak się czułem, kiedy doszedłem do siebie. Wydawało mi się, że jestem pajacem o wykręconych kończynach, naznaczonym już przez upadek i hańbę. Z trudem dowlokłem się do łazienki, doprowadziłem się jakoś do porządku, nafaszerowałem aspiryną i wreszcie usnąłem, dręczony we śnie straszliwymi majakami. Obudziłem się z poczuciem głębokiego poniżenia. Ta upokarzająco przyjemna ociężałość wewnątrz lędźwi, silniejsza niż ten groteskowy ból! Pograżony w swej hańbie, której nie można już było zmyć, wziąłem kąpiel, po raz pierwszy jako obojnak, a potem, bijąc się z myślami, wziąłem do ręki stary pistolet, kiedy nagle - a było już koło jedenastej - ktoś zadzwonił do drzwi. Zadrzałem na samą myśl o tym, że może to Adilee; okazało się jednak że przyszła Estelle. Oburzona na wstrętny sposób, w jaki mnie potraktowano, chciała dowiedzieć się, jak się czuję. Wychodząc przedtem z mojego domu, pokłóciła się nie na żarty ze swoim niegodnym partnerem, ten

zaś zostawił ją w końcu samą, aby udać się z Adilee do hotelu. Również reszta towarzystwa nie chciała już mieć z nią nic wspólnego, nie spodobała im się bowiem jej otwarta krytyka - i w końcu Estelle obudziła się w poczekalni Dworca Wschodniego, nie wiedząc nawet, jak się tam znalazła. Była to jej najpoważniejsza sprzeczka z dzikim, brutalnym Murzynem, który traktował ją okropnie, odkąd poznał Adilee - teraz uważała się więc za kobietę wolną.

Nie dałem się złapać na przynętę, jaką zarzuciła na mnie ta zuchwała osóbką, pozwoliłem jej jednak zostać i zająć się zmywaniem naczyń, gotowaniem i dogładaniem mnie. Uparła się, abym wezwał lekarza; ten przyzwyczajony do tego typu przypadków, posmarował bolące miejsce maścią, zostawił resztę tuby na drugi raz i przepisał środek przeciwbólowy, po czym wyszedł. Estelle, która z własnej woli została moją pielęgniarką, przenocowała w moim domu, wyszła skoro świt i wróciła późnym wieczorem. Jak mi opowiedziała, przeprowadziła z Epiphanem i Adilee rozmowę o decydującym znaczeniu; podjęła mianowicie decyzję, że nie będzie już żyła z tym czarnuchem, może najwyżej pozostać u nowej pary jako gosposia. Nazajutrz nie przyszła do mnie, przysłała jednak list, w którym informowała, że wspomniana para opracowuje pewien plan, aby mi go przedstawić. Czwartego dnia zjawiła się wreszcie z wiadomością od Adilee, która zapowiedziała się z wizytą na piąty dzień, w bardzo ważnej sprawie. Byłem na tyle szalony, że ucieszyłem się, jako że moje zmysły pragnęły już znowu jej ciała, mimo osobliwego uczucia żądz tam, gdzie doskwierał mi jeszcze ból. Przyszła punktualnie o dwunastej, z torbą pełną przysmaków, które

wyłożyła na stół w kuchni, tak jakby nigdy nic.

- No jak? - zapytała pogodnie. - Jak się czujesz?

Miałem ochotę uderzyć ją, zdobyłem się jednak tylko na potok łez.

- A widzisz - powiedziała. - To wcale nie trwało długo a już płaczesz jak

kobieta!

Jej słowa dotknęły mnie boleśnie. Załkałem jeszcze żałośniej, ona zaś karciała mnie łagodnie: - Chyba nie będziesz robił problemu z powodu utraty tego drobiazgu, jaki w Paryżu tracą dzień w dzień dziesiątki tysięcy takich jak ty. Powinieneś się raczej cieszyć, że to, co udało ci się zachować tak długo, utraciłeś w tak miłych okolicznościach!

- To są według ciebie miłe okoliczności? - wykrzyknąłem przez łzy.

- Och, mój drogi, znam setkę mężczyzn w twoim wieku, którzy oddaliby majątek, aby tylko Epiphane zechciał uraczyć ich tym samym. Zresztą wydaje mi się, że go nie doceniasz. Wtedy był trochę wstawiony, ale to naprawdę fajny facet. Przede wszystkim bardzo utalentowany. Gra porywająco na saksofonie i maluje, tak, tak, on też, różne abstrakcje. Pisze dla mnie wiersze, wyobraź sobie; nie rymują się wprawdzie, ale i tak to bardzo miłe z jego strony. A jakie ma dobre serce! Właśnie teraz, kiedy wychodziłam od niego, był niepokieszony z powodu tego, co między wami zaszło. - Zęby tylko Claude nie pogńiewał się na mnie! - powiedział. Musiałam go długo

uspokajać. Poczekaj trochę, aż mu się tam zagoi - tłumaczyłam.  
- Wtedy Claude sam przyjdzie do ciebie. - Tak myślisz? - zapytał z uśmiechem ulgi na tej swojej pocziwej, naiwnej twarzy dziecka. - Wyjaśnij mu, że nie chciałem źle i że od tamtej pory polubiłem go jeszcze bardziej.

To wszystko było tak niesłychane, że przez dłuższą chwilę nie wiedziałem, co powiedzieć. Z głupią miną spoglądałem na kobietę, która wydała mnie na tortury, a potem sama leżała najwidoczniej w ramionach mojego kata. Adilee czekała chyba na inną reakcję, bo w końcu wzruszyła ramionami, jakby w obliczu tępoty mego umysłu, po czym zaczęła przyrządzać obiad.

— Spójrz, przyniosłam ci ostrygi... po bretońsku, żebyś odzyskał szybko siły. Ale ja nie mogłem nic przełknąć.

— Coś podobnego, ty jesteś naprawdę chory! - zawołała. - Bądź dzielny, zjedz to, bo zawołam Epiphane'a!

Sama myśl o tym czarnym potworze wystarczyła, by przeszedł mnie zimny dreszcz. W milczeniu opróżniłem butelkę Bordeaux, którą odkorkowała, po czym udałem się na spoczynek, czując już działanie alkoholu. Adilee spędziła całe popołudnie w moim gabinecie, pisząc niez mordowanie. Około szóstej była gotowa do odczytania mi tego oto, nowego epizodu z „Mnais i Phyllodocis“:

„I wtedy właśnie bogowie sprawili, że bezpłodna Phyllodocis stała się z czasem za sprawą swego coraz surowszego usposobienia i wędnących wdzięków osobą niepożądaną w łóżu, a miejsce jej zajęła Mnais, która obdarzyła szlachetnego Phaona wspnianiałym potomkiem.

Pewnego razu Pha-on kupił numidyjskiego niewolnika, pięknego mężczyznę książęcej krwi. Ten, zmuszony żyć bez kobiety, nie odstępował ukochanej pani nawet na krok, a wkrótce poczuł wobec niej tak silne pożądanie, że na jej widok bił się w piersi, wołając bezustannie: „Trulala! Trulala!“ Biedak budził w niej litość, aż wreszcie, widząc, jak marnieje z dnia na dzień, zapytała go:

- Co cię tak dręczy, Termopilu? (Nosił to imię, gdyż Phaon kupił go w rocznicę tej bitwy.)

Termopil odparł:

– O, pani, gdyby szlachetny Phaon wiedział, co mnie dręczy, uciałby mi to.

– Bądź spokojny - powiedziała wzruszona Mnais. - Szlachetny Phaon nie dowie się o tym. Ale skoro tak bardzo dręczą cię żądze cielesne, czemu nie pójdziesz raczej do niego, aby się zaoferować, niż do mnie?

– Możesz być przekonana, o pani, że to już się stało. Szlachetny Pha-on nie kupiłby niewolnika o mojej wartości tylko po to, by pracował w ogrodzie. Mnais wpadła w zadumę. Z jednej strony czuła do Phaona złość, że tak z niej zakpił, z drugiej zaś miała chęć potraktować to jako pretekst do odplącenia

pięknym za nadobne. Podobnie jak ci mężczyźni, którzy marzą o wzięciu udziału w igraszkach lesbijek, ona też radowała się na samą myśl o tym, że mogłaby posiadać mężczyzn nie jednego po drugim, ale obu naraz.

Pewnego wieczoru, kiedy leżeli w łóżku, powiedziała, korzystając z dobrego humoru Phaona:

– Szlachetny Phaonie, wydaje mi się, że od jakiegoś czasu ukrywasz coś przede mną. Tutaj zaś, pod moim palcem, czuję zdumiewająco nikły opór twego ciała. Jesteś niekiedy rozmarzony, wyglądasz niedobrze. A z drugiej strony nie mogłam nie zauważyć twych spojrzeń, jakie rzucasz nieustannie na gładkie ramiona tego czarnego Apolla.

– To przecież należy do obyczajów greckich - odparł Phaon. - Nie rozumiem, dlaczego cię to zainteresowało.

– Interesuje mnie to nawet na tyle, że poproszę cię, abyś wybrał pomiędzy mną a nim. Chyba że...

– Chyba że co? - zapytał niecierpliwie Phaon.

– Chyba że pozwolisz mi zakosztować z nim tych samych rozkoszy, jakich sam z nim zażywasz.

– O tym nie może być nawet mowy! - wykrzyknął Phaon, zrywając się na równe nogi.

. - A jednak będę o tym mówiła, a nawet muszę wyznać ci coś jeszcze - miałabym chęć ujrzeć was obu w trakcie zabawy, tak jak ty widziałeś mnie z Phyllodocis.

– Nie wiem nawet - odparł Phaon - co powstrzymuje mnie od zabicia cię za tę propozycję... Zrobić to na twoich oczach! Z niewolnikiem!

– Zastanów się nad tym - powiedziała Mnais. - W takim przypadku nie musiałbyś już trzymać go jako niewolnika!

– Dobrze więc, nadaję mu wolność! - oświadczył Phaon, nie tając rozdrażnienia.

– Teraz nie widzę już powodu - zakończyła spór Mnais - dla którego nie miałabym położyć się między wami.“

- No i proszę - powiedziała Adilee, odkładając kartkę papieru. -  
Tak mają się sprawy. Jeżeli masz ochotę, możesz dopisać zakończenie, to należy już do ciebie.  
Ale chyba nie muszę ci mówić, jaki pozostał ci ostatni, jedyny sposób na zatrzymanie mnie przy sobie.

Wyłożyła karty na stół. W ten sam stół uderzyłem teraz pięścią z całej siły, jaka mi jeszcze pozostała.

on nie kupiłby niewolnika o mojej wartości tylko po to, by pracował w ogrodzie. Mnais wpadła w zadumę. Z jednej strony czuła do Phaona złość, że tak z niej zakpił, z drugiej zaś miała chęć potraktować to jako pretekst do odpłacenia pięknym za nadobne. Podobnie jak ci mężczyźni, którzy marzą o wzięciu udziału w igraszkach lesbijek, ona też radowała się na samą myśl o tym, że mogłaby posiadać mężczyzn nie jednego po drugim, ale obu naraz.

Pewnego wieczoru, kiedy leżeli w łóżku, powiedziała, korzystając z dobrego humoru Phaona:

– Szlachetny Phaonie, wydaje mi się, że od jakiegoś czasu ukrywasz coś przede mną. Tutaj zaś, pod moim palcem, czuję zdumiewająco nikły opór twego ciała. Jesteś niekiedy rozmarzony,

wyglądasz niedobrze. A z drugiej strony nie mogłam nie zauważyć twoich spojrzeń, jakie rzucasz nieustannie na gładkie ramiona tego czarnego Apolla.

– To przecież należy do obyczajów greckich - odparł Phaon. - Nie rozumiem, dlaczego cię to zainteresowało.

– Interesuje mnie to nawet na tyle, że poproszę cię, abyś wybrał pomiędzy mną a nim. Chyba że...

– Chyba że co? - zapytał niecierpliwie Phaon.

– Chyba że pozwolisz mi zakosztować z nim tych samych rozkoszy, jakich sam z nim zażywasz.

– O tym nie może być nawet mowy! - wykrzyknął Phaon, zrywając się na równe nogi.

– A jednak będę o tym mówiła, a nawet muszę wyznać ci coś jeszcze - miałabym chęć ujrzeć was obu w trakcie zabawy, tak jak ty widziałeś mnie z Phyllodocis.

– Nie wiem nawet - odparł Phaon - co powstrzymuje mnie od zabicia cię za tę propozycję... Zrobić to na twoich oczach! Z niewolnikiem!

– Zastanów się nad tym - powiedziała Mnais. - W takim przypadku nie musiałbyś już trzymać go jako niewolnika!

– Dobrze więc, nadaję mu wolność! - oświadczył Phaon, nie tając rozdrażnienia.

– Teraz nie widzę już powodu - zakończyła spór Mnais - dla którego nie miałabym położyć się między wami.“

- No i proszę - powiedziała Adilee, odkładając kartkę papieru. -



Tak mają się sprawy. Jeżeli masz ochotę, możesz dopisać zakończenie, to należy już do ciebie. Ale chyba nie muszę ci mówić, jaki pozostał ci ostatni, jedyny sposób na zatrzymanie mnie przy sobie.

Wyłożyła karty na stół. W ten sam stół uderzyłem teraz pięścią z całej siły, jaka mi jeszcze pozostała.

– Chcesz zrobić ze mnie pedała?

– A nie myślisz, co zrobiłeś ze mnie? Po tym wszystkim co musiałam przejść, kolej na ciebie.

– Mogłabyś być z dwoma mężczyznami?

– Dlaczego nie? Ty też byłeś mężczyzną z dwiema kobietami.

– I w dodatku z dwoma mężczyznami, którzy...

– Och, to w końcu nic takiego!

des Olbes Claude - Emilienne

– Widać - odparłem nadąsany - że nie wiesz jeszcze, co to oznacza!

– Nie, doprawdy, drogi przyjacielu, chyba przesadzasz. Miałam niejedną okazję, by przekonać się na własnej skórze, co to znaczy (chyba masz złą pamięć), a ty sam żądałeś, abym czerpała z tego przyjemność. Za pierwszym razem zacisnęłam zęby, i już, ty zaś przyjąłeś mą ofiarę bez żadnych skrupułów. Epiphane był może trochę zbyt raptowny, jak na pierwszy raz, ale co chcesz - to Murzyn. Musiałbyś być bardzo zasadniczy, gdybyś miał się gniewać na niego.

No, przyznaj się, to wcale nie było takie złe, co?

– Łatwo ci mówić!

– Dąszasz się wbrew własnej woli... Ale skoro twierdzisz, że mnie kochasz, a ja przyczyniłam się do tego wszystkiego, to znaczy, że musiało być ci przyjemnie. Otarła się o mnie plecami, po czym objęła mnie za szyję:

– Powiedz, czy żądam od ciebie więcej, niż ty żądałeś ode mnie? Mnie też nie było do śmiechu, kiedy zabawiałam się z Emilienne.

– Przecież kochałaś ją!

W trakcie rozmowy rozbierała się, wreszcie stanęła naga i z miną na wpół pobłażliwą, na wpół gniewną skrzyżowała ręce na obnażonych piersiach.

– Idiota! Naprawdę myślisz, że darzyłam twą żonę choćby cieniem uczucia? To dla ciebie odgrywałam ten teatr, tylko dla ciebie! To ciebie pragnęłam! Och, gdybyś mnie wtedy zrozumiał! Gdybyś już wtedy wystąpił o rozwód, nie wplątując mnie w te wszystkie skomplikowane układy! Gdybyś zrobił to od razu, dziś nie byłoby konieczne, żeby...

– A co jest dziś konieczne? No, powiedz wreszcie!

– Że musimy stworzyć nowe małżeństwo we troje, trio z Epiphane, które będzie bardziej normalne, jeśli mogę to tak nazwać jako kobieta, i bardziej szczęśliwe!

– Nie sądzisz, że moglibyśmy po prostu wychować nasze dziecko sami, we dwoje, a nawet postarać się o drugie?

– Za późno, mój drogi. A to dlatego, że Opportun będzie miał za sześć miesięcy siostrzyczkę. Przełknąłem ślinę. 167

– Siostrzyczkę Mulatkę?

– To już twoja wina. Gdybyś nie zostawił mnie samej... A zresztą słyszałam, że mieszańcy są bardziej inteligentni, musisz zaś przyznać, że jej ojciec to przystojny mężczyzna. Tym razem naprawdę opadły mi ręce.

– Zobaczysz - szczebiotała - jaki to będzie śliczny widok, kiedy razem, jedno obok drugiego, pójdą do szkoły. A jaki to dla ciebie nowy powab erotyczny!... A więc, załatwione, wezwę tu Epiphane'a, czy tak? Miał czekać na mnie około siódmej w kawiarni na rue Girardon.

Wyszła z domu i wróciła rozpromieniona po dziesięciu minutach, które ja spędziłem w zupełnym bezruchu, zaskoczony takim obrotem sprawy.

– Poszedł jeszcze kupić jakiś drobiazg, potem przyjdzie do nas - oświadczyła.

– A jeśli wyrzucę go za drzwi, tego twojego bohatera? - zagrzmałem, usiłując po raz ostatni odwieść ją od tego zamiaru.

– Jest wystarczająco silny, aby ciebie wyrzucić. Ale ty i tak byś tego nie zrobił, prawda, mój mały Claude? Czekają nas przecież tak piękne chwile! - dodała dwuznacznie. - Poza tym on byłby naszym służącym, podczas gdy Estelle, nie mieszkając z nami, opiekowałaby się Opportunem. To biedactwo nie ma na wsi zbyt wielu wygód, a my płacimy za niego mnóstwo pieniędzy! Estelle będzie tu przychodzić na

godziny, pozwolimy jej sypiać z nami z soboty na niedzielę, żeby nie zmieniać za bardzo obyczajów. I wszystko będzie takie proste! Twoje atelier dopiero teraz rozkwitnie. Epiphane będzie ci pozował, ze mną na kolanach, ty zaś będziesz tworzył arcydzieła.

Jej argumenty były nie do pogardzenia. Miałem jednak jeszcze coś: własną godność.

– A nie mógłby pełnić tylko roli modela i służącego? - spróbowałem jeszcze raz.

– Terefere! Jak już zakosztowało się czegoś więcej... A poza tym jestem zupełnie spokojna - jeszcze trochę a zaczniesz cenić tego Murzyna bardziej niż mnie. On już wie, jak to zrobić, zna się na rzeczy.

Tego już było dla mnie za wiele. To wszystko, co zachowało się we mnie mimo tarapatów z kobietami, mimo lat słabości i wreszcie mimo niedawnego poniżenia mej męskości - to wszystko wezbrało teraz w porywie buntu. Pojąłem raptem całą ohydę machinacji, skierowanych przeciw mnie. Ujrzałem czekającą mnie perspektywę: zniewolenie i życie bez czci - to, co szykowała mi ta podła dziewczyna. Uświadomiłem sobie wreszcie cały rozmiar mej własnej sła-168

bości i ich przebiegłości. Ogarnęła mnie wściekłość, straciłem panowanie nad sobą, rzuciłem się na nią i ścisnąłem za gardło, krzyząc:

Strona 97

-Zabiję cię, ty nędzna żmijo!

Widziałem już, jak moje paznokcie wbijają się w miękkie ciało, jak z jej ust wysuwa się sinoczerwony język, a oczy zachodzą mgłą -

kiedy Epiphane przekręcił klucz w zamku (okazało się, że miał swój klucz). Spiesznie odstawił na bok butelkę szampana, owiniętą w bibułę.

– Co tu się dzieje? - wrzasnął. - Co tu się dzieje? Czyżbyście się bili? Dusząc mnie moim własnym krawatem, zmusił, bym puścił Adilee, po czym wykręcił mi ręce. Krótko mówiąc, sprawił mi niezłe cięgi, a Algierka, która doszła już do siebie, pomagała mu gorliwie.

– A teraz dosyć, ani mru-mru! - oświadczył ten ludożerca, szczerząc białe zęby.

– Pozostaje jeszcze policja - mruknąłem.

– Policja, a to dobre! - roześmiał się na całe gardło.

– Słyszałaś coś podobnego: policja! Policja zajęłaby się przede wszystkim twoimi odciskami: wiem nawet, gdzie by je znaleźli. A jeżeli jeszcze opowiem im, jak próbowałeś zabić tę kobietę, to dopiero się sierżant ucieszy! A teraz jazda! Możesz wziąć się za obieranie kartofli.

Chwycił mnie za ucho i wepchnął do kuchni. Odbywając przy ziemniakach

pańszczyznę obolałymi rękami, oddałem się rozmyślaniom. To władcze zachowanie

wobec mnie odbiło się jakimś nieokreślonym echem w mych lędźwiach. Z drugiej

strony nadal pożądałem Adilee, właśnie dlatego, że była tak perwersyjna. Czy

miałem zerwać z tym wszystkim, zdobyć się na heroizm i uciec?

Ale wtedy

pozostawiłbym im całe pole działania. Oczyma wyobraźni  
widziałem już siebie

wygnanego z własnego domu, wynajmującego pokój w jakiejś  
kamienicy, uwikłanego w

jakiś poniżający proces o niepewnym zakończeniu, skazanego  
potem może na jeszcze

większe udręki.

Epiphane zjawił się w progu, znowu udobruchany.

– No jak, czujesz się już lepiej? - zapytał, po czym klepnął  
mnie po ramieniu. W nagłym przystępie uczuć przycisnął swoje  
szerokie, pachnące korzennie usta do moich warg.

– Już dobrze, nie musisz się bać. Ta mała cię nie zaskarzy.

Stół w jadalni był już nakryty. Adilee, z niemal obnażonymi  
piersiami i jeszcze piękniejszymi ramionami, niż zawsze, ozdobiła de-  
kold różyczką. Na jej szyi widniały jeszcze ślady moich palców. Nie  
okazując urazy za to, co jej zrobiłem, ofiarowała mi wilgotny  
pocałunek, do którego przyłączył się również Murzyn. Niczym  
ujarzmione zwierzę, usiadłem posłusznie naprzeciw nich. Po posiłku,  
który upłynął w milczeniu, napiliśmy się szampana, po czym zgodnie  
ze zwyczajem stukliśmy kieliszki, potwierdzając w ten sposób pakt,  
który czynił mnie najkrótszym bokiem nowego trójkąta. Bez dalszych  
słów udaliśmy się do sypialni, gdzie Epiphane, natychmiast po  
przekroczeniu progu, zsunął szelki, prezentując tors boksera. I tak oto,  
jako kara za wszystkie moje błędy, rozwarło się przede mną piekło, w

porównaniu z którym to piekło, jakie przeżyłem pomiędzy mymi dwiema lesbijkami, można określić jako szczęście i niewinność.

## Spis treści Część pierwsza

Przesłanki 5

Osobliwe skłonności 8

Mnais i Phyllodocis 12

Spotkanie obu dam 17

Decydujące kroki 22

Zawieszenie broni 28

Wielki dzień 31

Pierwsza burza 35

Coraz bardziej napięta atmosfera 38

Wydarzenia 46

Premiera „Mnais i Phyllodocis“ 50

Miesiąc miodowy 53

Majowe wycieczki 58

Rozwój mistyki 62

Adilee wprowadza się 64

Burze na Montmartre 67

Deszcz nad Ouessant . 71

Burza nad Lesbos 75

## Część druga

Ouessant na Montmartre 81

Upadek Emilienne 85

Wieści o Adilee 91

Misja na Saint-Tropez 95  
Pobyt w Sanary 104  
Powrót Adilee 108  
Rysy w spoiwie 114  
Poczęcie Opportuna | 118  
Spór przy kołysce 125  
Urlop w Porquerolles 129  
Porwanie Opportuna 132  
Towarzystwo w Lyonie 137  
Pozbywam się Emilienne 141  
Cienie w nowym małżeństwie 146  
Porażka w Bretanii 152  
Przyjęcie na Brouillards 159  
Stworzenie nowego tria 163  
FOTO FIX

00-678 Warszawa

ul. Wilcza 43, tel. 21-99-20

zdjęcia

do wiz, paszportów 3 minuty

ORWO-CHROM

wywołanie 1 dzień

odbitki na papierach firm zachodnich

Również za zaliczeniem pocztowym

00-957 Warszawa, ul. Kierbedzia 4 telefax 40-56-07

Przedsiębiorstwo Reklamy i Wydawnictw Handlu Zagranicznego



„Agpol“ oferuje:

– wszelkie formy reklamy w kraju i za granicą tej. 26-47-42,  
tlx 813567 agpol pl,

– pośrednictwo w imporcie i eksporcie (zakres pośrednictwa  
do uzgodnienia z Biurem Obrotu Towarowego naszego  
przedsiębiorstwa)

tel. 41-63-21, tlx 813364 agpol pl,

– materiały poligraficzne z magazynu konsygnacyjnego tel.  
41-78-01, tlx 813364 agpol pl,

– usługi wydawnicze i poligraficzne (kalendarze, plakaty,  
katalogi, prospekty, ulotki, instrukcje obsługi, etykiety samoprzylepne  
itp.)

tel. 41-78-31, tlx 813364 agpol pl,

– inseraty we własnych czasopismach przeznaczonych dla  
zagranicy tel. 26-77-10, tlx 813567 agpol pl,

– usługi foto-video

tel. 41-22-51, tlx 813364 agpol pl.

Zapraszamy do współpracy

przedsiębiorstwa państwowe,

spółdzielcze i osoby prywatne.

**ORBIS**

**Biuro Imprez Specjalnych ORBIS BIS**

zrealizuje wycieczki Twoich marzeń:

– Rio de Janerio i Copacabana,

– Wyspy Karaibskie,

- Seszele,
- Malediwy,
- safari fotograficzne w Kenii,
- safari ekologiczne w Amazonii,
- Grań Canaria,
- Perły Dalekiego Wschodu

i inne wspaniałe kierunki wypraw,

- przygotowuje imprezę promocyjną dla Twojej firmy \ zrea\zu\e

inne

indywidualne

zamówienia.

ORBIS BIS czeka na Ciebie!

So-950aWrzawa, ul. Krakowskie Przedmieście 13 tel 635-49-24, telefax 273487,

telex 812353, 814853

des Olbes Claude - Emilienne ORB|S Biuro Imprez Specjalnych

ORBIS BIS

zrealizuje wycieczki Twoich marzeń:

- Rio de Janerio i Copacabana,
- Wyspy Karaibskie,
- Seszele,
- Malediwy,
- safari fotograficzne w Kenii,
- safari ekologiczne w Amazonii,
- Grań Canaria,
- Perły Dalekiego Wschodu

i inne wspaniałe kierunki wypraw,  
- przygotowuje imprezę promocyjną dla Twojej firmy i zrealizuje  
inne indywidualne  
zamówienia.

ORBIS BIS czeka na Ciebie!

i ul Krakowskie Przedmieście 13

S“ 635-49-24rtel. 273487,

telex 812353, 814853’-\*~

Biuro Podróży i Turystyki ZSP „Almatur“

oferuje swoje usługi w zakresie organizacji:

- wczasów i wycieczek krajowych oraz zagranicznych;
- obozów turystyki kwalifikowanej;
- rajdów i spływów;
- wyjazdów weekendowych, świątecznych i sylwestrowych.

Prowadzimy również:

- wynajem autokarów - tel. 25-79-99;
- sprzedaż biletów lotniczych;
- wymianę walut. Zapraszamy

do naszego Działu Wyjazdów Zagranicznych  
w Warszawie,

ul. Kopernika 23, tel. 26-35-12, 26-33-66,

telex 813474 alma pl, telefax 262353.

Z KSIĄŻKĄ WE DWOJE, Z „ALMATUREM“ WE TROJE

Warszawa 1990, Alma-Press“ Wydanie I Ark. wyd. 13,5. Ark.

druk. 5,5 Skład

wykonały

Prasowe Zakłady Graficzne w Ciechanowie Druk i oprawa:

Zakłady Graficzne w Gdańsku Zam. 70/90 A-96

Warszawa 1990

„Alma-Press“ Wydanie I

Ark. wyd. 13,5. Ark. druk. 5,5

Skład wykonały

Prasowe Zakłady Graficzne w Ciechanowie

Druk i oprawa:

Zakłady Graficzne w Gdańsku

Zam. 70/90 A-96